CENCKIEWICZ ODSŁANIA KULISY

Kto drżał przed ujawnieniem zbioru zastrzeżonego IPN?

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 26/228 26 CZERWCA–2 LIPCA 2017

Oto jak wrabiają polski naród w Holokaust

SZUKAJ WYDANIA Z FILMEM DVD O KS. KACZKOWSKIM

Matthew Tyrmand: „Gazetę Wyborczą" wykończę finansowo

LISTA ŁYSIAKA

Czyli nowy leksykon polityczny i obyczajowy

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
Nakład: 111 tys. egzemplarzy

sprasa.pl c42400a7a8

Dynamikę rozwoju
łączymy z doświadczeniem lidera

W PGNiG cenimy wiarygodność i stabilność. Wieloletnie doświadczenie w obszarze handlu gazem ziemnym sprawia, że jesteśmy odpowiedzialnym partnerem biznesowym, dostarczającym gaz do największych przedsiębiorstw w kraju.

Dobrze funkcjonujący przemysł, to ten oparty na solidnych podstawach. Oferta PGNiG, jako niezawodnego kontrahenta, to gwarancja konkurencyjności i wysokiej jakości, które przyczyniają się do rozwoju polskiej gospodarki.

pgnig.pl

PGNiG

eprasa.pl c4240ca7a8

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Cynizm prezydenta Francji

Ilekroć słyszę o wywiadach udzielanych przez ważnych polityków jednocześnie kilku (kilkunastu) gazetom naraz, czuję, że mamy do czynienia z maskaradą. Chodzi o to, by po pierwsze pokazać, jak bardzo dany lider się trudzi i jak ciężko pracuje – nie ma czasu, biedak, żeby odpowiedzieć osobno na poszczególne pytania, tylko zbiera je łącznie, oszczędzając cenny czas. Po drugie, w ten sposób może zaznaczyć swoją siłę i znaczenie. Patrzcie, ilu to jest chętnych, by usłyszeć, co mam do powiedzenia! Taki to jestem ważny, że różne media godzą się wystąpić razem, byle tylko usłyszeć moje mądrości. Doskonale to rozumieją spece od PR i zakładam, że to za ich poradą nowa głowa państwa francuskiego postanowiła udzielić wywiadu jednocześnie ośmiu gazetom europejskim. W Polsce łaska Macrona spadła na „Gazetę Wyborczą".

Prezydent Macron, podobnie jak jego poprzednik François Hollande oraz inni przywódcy europejscy, do perfekcji opanował sztukę odwracania kota ogonem, co doskonale widać w jego wywiadzie. Jak można się było spodziewać, dużo mówił w nim o wartościach, tyle że nie bardzo wiadomo, na czym one polegają i o które mu konkretnie chodzi. Obecny gospodarz Pałacu Elizejskiego nie wahał się atakować: „Kiedy dziś słyszę niektórych wschodnioeuropejskich polityków, to myślę, że dopuszczają się oni zdrady podwójnej. Decydują się na porzucenie zasad, na odwrócenie się plecami do Europy, na cyniczne podejście do UE, która miałaby służyć do rozdawania kredytów, ale nie znaczyłaby nic w sensie wartości". Brzmi to mocno, tyle że jak zwykle w takich sytuacjach siłę oskarżenia łagodzi jego niejasność. Kim są „niektórzy wschodnioeuropejscy politycy"? Chodzi mu o Polaków? O Węgrów? A może o Słowaków i Litwinów? Rumunów?

Można się jedynie dowiedzieć, że chodzi o polityków, którzy nie przestrzegają reguł Europy. „Tymczasem Europa nie jest supermarketem. Europa ulega osłabieniu, gdy godzi się na odrzucanie jej zasad. Kraje Europy, które nie przestrzegają jej reguł, muszą wyciągnąć z tego wszystkie konsekwencje polityczne".

To się nazywa chyba bezczelność? Oskarżając innych o odwracanie się plecami do Europy, pouczając ich i zarzucając im zdradę, prezydent Francji wchodzi w nie swoją rolę. Jakie ma prawo ganić polityków Europy Środkowej? Zarzuca im zdradę tak, jakby był ich panem, przełożonym, sędzią. Czy na tym polega zasada równości? Unia zasadza się na równości uczestników, nie przypominam sobie, żeby ktoś obsadził prezydenta Macrona w roli arbitra lub pana Europy. Dawno temu w takiej roli występował inny Francuz, cesarz Napoleon, ale wygrał wcześniej kilka kampanii wojennych. Z tego, co mi wiadomo, pan Macron wygrał wybory w swoim kraju. I tyle.

Zresztą o jakich wartościach i o jakiej wierności mówi? Czy jest wierny wizji gen. de Gaulle'a, wizji Europy Ojczyzn? Czy jest wierny wizji ojców założycieli Unii – Schumana, de Gasperiego i Adenauera – wizji Europy chrześcijańskiej? Takiej, o której tyle razy wspominał Jan Paweł II? To Europa, która umie ocalić swoją tożsamość i przechować dziedzictwo prawne oraz moralne minionych pokoleń, dba o godność osoby od poczęcia do śmierci, pilnuje wartości małżeństwa jako związku mężczyzny i kobiety, pamięta o znaczeniu prawa naturalnego. Kto o tych wartościach zapomniał: politycy Europy Środkowej czy lewicowi liberałowie tacy jak prezydent Macron?

A na koniec pytanie: Jak ma się do zasad Unii korzystanie z własnej przewagi gospodarczej i politycznej po to, by swoje zdanie narzucić innym? Wydawało mi się dotąd, że właśnie taka postawa to przejaw cynizmu i podwójnej moralności. I zręczność retoryczna prezydenta Francji tego nie zmieni. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl c4240ca7a8

TEMAT TYGODNIA

18 WALDEMAR ŁYSIAK
LEKSYKON POLITYCZNY I OBYCZAJOWY

KRAJ

26 PROF. RYSZARD TERLECKI
WIELE PYTAŃ O REFERENDUM
Z wicemarszałkiem Sejmu z PiS rozmawia Wojciech Wybranowski

28 ŁUKASZ WARZECHA
ROSZADA KONSTYTUCYJNA

30 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
KONIEC „ZETKI"

34 MARCIN MAKOWSKI
WRABIAJĄ NAS W HOLOKAUST

36 WOJCIECH WYBRANOWSKI
RODZINNY SYSTEM

38 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
MNICH, KTÓRY URATOWAŁ KOŚCIÓŁ

40 ŁUKASZ ZBORALSKI
LETNIA MAPA RADOŚCI

KULTURA

44 PIOTR GOCIEK
Z PAMIĘTNIKA RATOWNIKA
Kino na lato, kino lekkie, kino niemądre i szczypta nostalgii – nowy „Słoneczny patrol" już w kinach

46 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
OPOLE JEDNAK W OPOLU

48 WOJCIECH ENGELKING
POKOLENIE WINY

50 ROZMOWA Z MICHAŁEM ZABŁOCKIM
ŻYCIORYS W 33 WIERSZACH

NIE PRZEGAP

52 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY

OPINIE

58 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
EUROPA KANONIEREK
Unia Europejska nie radzi sobie z rzeczywistymi problemami wspólnoty krajów członkowskich, ale wciąż śni o potędze

62 ROBERT BOGDAŃSKI
CZY ROY LARNER OCALI EUROPĘ?

64 ROZMOWA Z MARKIEM SAWICKIM
NIE CHCĘ BYĆ PREZESEM

HISTORIA

66 JAN OLSZEWSKI
4 CZERWCA SPADŁO WIELE MASEK
Z byłym premierem rozmawia Piotr Semka

70 SYLWETKA HELMUTA KOHLA
NIEMIECKI DĄB

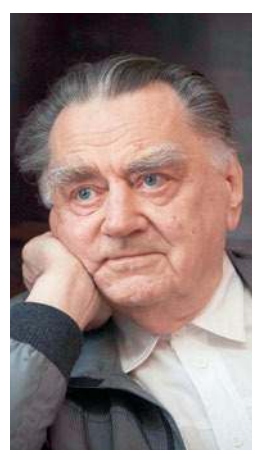

ŚWIAT

74 MACIEJ SZYMANOWSKI
NIEDOCENIONY SUKCES
Grupa Wyszehradzka rozwija się gospodarczo lepiej niż reszta UE, a jednocześnie jest coraz mniej znana wśród mieszkańców tworzących ją państw

77 ROZMOWA Z GEORGE'EM NEUMAYREM
GROZI NAM SCHIZMA

EKONOMIA

80 ROZMOWA Z ROBERTEM GWIAZDOWSKIM
DOBRZE, ŻE TO KONIEC OFE
Z szefem rady Warsaw Enterprise Institute rozmawia Stefan Sękowski

82 AGNIESZKA ŁAKOMA
SUROWCE: CENA WOLNOŚCI

STYL

86 JACEK PRZYBYLSKI
SKRZYDŁA WŁADZY
Polska ma już pierwszy z nowych samolotów do przewozu najważniejszych osób w państwie. Podobnymi latają prezydent USA oraz władcy Szwecji i Kuwejtu

ŻYCIE I NAUKA

90 KATARZYNA PINKOSZ
LEKI BIOLOGICZNE ZAMIAST SKALPELA
Nowoczesne leczenie schorzeń jelit

FELIETONY:
SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, KOWALCZUK (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (16), POSPIESZALSKI (56), ZALEWSKI, WOLSKI (61), ZYCHOWICZ, KOPER (72), GABRYEL, RYBIŃSKI (84), KOMUDA (92), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl c4240ca7a8

Technologie jutra

PROMASTER SATELLITE WAVE GPS CC9025-51E

Zegarek zasilany światłem, odbierający sygnał wzorca czasu z satelitów GPS zapewnia niebywałą precyzję wszędzie na świecie.

Eco-Drive
Satellite Wave

citizen.pl

CITIZEN®

BETTER STARTS NOW

eprasa.pl c4240ca7a8

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu dwa odległe od siebie tematy: Smoleńsk i program „Mieszkanie Plus". Zapraszamy na naszą stronę: www.dorzeczy.pl, na której znajdą Państwo bieżące informacje i komentarze.

„Smoleńsk: Trzy opowieści"

Redaktor Warzecha pisze („Do Rzeczy" 24/2017), że tezy dotyczące przyczyn katastrofy właściwie się wykluczają. Trudno się z tym zgodzić. Wytrawnego publicystę zawodzi logika i wyobraźnia.

Jeśli był to zamach, to przeprowadzono go tak inteligentnie, żeby wyglądał na katastrofę. Gdyby np. wybuch termobaryczny miał miejsce wysoko w powietrzu w sporej odległości od lotniska, nie byłoby wątpliwości, że to zamach. Kontrolerzy więc, sterowani z zewnątrz, doprowadzili samolot na taką wysokość i w takie miejsce, że taki wybuch jest stosunkowo trudny do udowodnienia. Zawsze można powiedzieć, że samolot zawadził o jakąś przeszkodę (np. pancerną brzozę) i rozbił się w drobny mak, i wszyscy musieli zginąć (vide oba raporty). Trudno zrozumieć, co do tego ma bałagan w polskim wojsku. Jeśli złamano liczne procedury i nie dopełniono wielu obowiązków, ktoś powinien za to odpowiedzieć, nawet jeśliby do żadnej katastrofy nie doszło.

Łączę pozdrowienia

Z.C.
(imię i nazwisko do wiadomości redakcji)

„Mieszkanie Plus czy Minus"

Pragnę rozwiać wątpliwości, jakie pojawiły się w felietonie Piotra Gabryela „Mieszkanie Plus czy Minus" („Do Rzeczy" 25/2017), i odpowiedzieć na pytania, które autor postawił.

BGK Nieruchomości SA zarządza funduszem odpowiedzialnym za część komercyjną programu „Mieszkanie Plus", jedną ze składowych Narodowego Programu Mieszkaniowego. Od połowy października ubiegłego roku podpisaliśmy listy intencyjne z przeszło 70 gminami w całej Polsce – w tym gronie znajdują się zarówno mniejsze miejscowości, jak i największe polskie miasta, takie jak Kraków, Łódź, Wrocław, Poznań, Szczecin, Katowice. Obecnie najbardziej zaawansowane w realizacji programu są Biała Podlaska i Jarocin, ale już wkrótce ruszą kolejne budowy, także w dużych polskich miastach.

BGK Nieruchomości SA ma doświadczenie we wdrażaniu inwestycji mieszkaniowych, od lat realizujemy inwestycje w ramach Funduszu Mieszkań na Wynajem. Na chwilę obecną zakontraktowanych zostało blisko 3,5 tys. lokali w Poznaniu, Piasecznie, Krakowie, Gdańsku, Warszawie i Katowicach. Jeszcze w 2017 r. udostępnione zostaną kolejne projekty w Poznaniu, Warszawie, Krakowie i we Wrocławiu. W 2018 r. planowane są pierwsze inwestycje funduszu w Łodzi oraz kolejne w Gdańsku, Krakowie, Poznaniu i Warszawie.

Realizując program „Mieszkanie Plus", BGK Nieruchomości stawia na współpracę z samorządami, ale jest także otwarty na innych partnerów przy realizacji inwestycji mieszkaniowych, czego dowodem są cztery umowy zawarte z podmiotami prywatnymi. Liczymy także na współpracę ze spółkami Skarbu Państwa, z którymi do tej pory podpisaliśmy kilka umów. Prowadzimy z nimi rozmowy i analizujemy wskazane przez nie grunty pod kątem możliwości wykorzystania ich w programie. Jednak by mogło dojść do szybkiej realizacji inwestycji na tych terenach, konieczne są zmiany w prawie, które może nieść ustawa o funduszu ziemi, nad którą obecnie trwają prace.

Ważną informacją dla przyszłych najemców jest to, że szczegółowe kryteria najmu będą dostosowane do lokalnych uwarunkowań. BGKN ograniczy się do kryteriów dochodowych – musimy mieć przekonanie, że nasi najemcy będą w stanie płacić czynsz. Chcemy jednak – w przeciwieństwie do banków – uwzględniać w dochodach także „500+", aby tym samym obniżyć próg wejścia dla rodzin z dziećmi, a przy tym zachować synergię z innym kluczowym programem rządu. Kryteria demograficzne, społeczne, lokalne są po stronie samorządu. To samorząd wie najlepiej, jak wykorzystać narzędzie, jakim jest BGKN do realizowania polityki mieszkaniowej.

Ewa Syta,
rzecznik prasowy BGK Nieruchomości

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępcy redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści: **Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**

DoRzeczy.pl redaguje
Antoni Trzmiel (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem:
Zofia Magdziak (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**

Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedzielko** (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **oprac. graf.: SUNDAY/JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro: **Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY:
Michał Staszewski (kierownik marketingu i sprzedaży)reklama@dorzeczy.pl; tel. + 48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS:
Anna Pawłowska-Pojawa (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA: **Adam Borzęcki** (kolportaż); **Karolina Olchowik** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu nakładu podstawowego 288829
Nr indeksu nakładu z filmem 296430
Nakład 111 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl c4240ca7a8

CZY WIESZ, ŻE...

NAJBARDZIEJ POCZYTNE ANGLOJĘZYCZNE PODRĘCZNIKI DO HISTORII JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO OKREŚLAJĄ MIANEM FASZYSTY

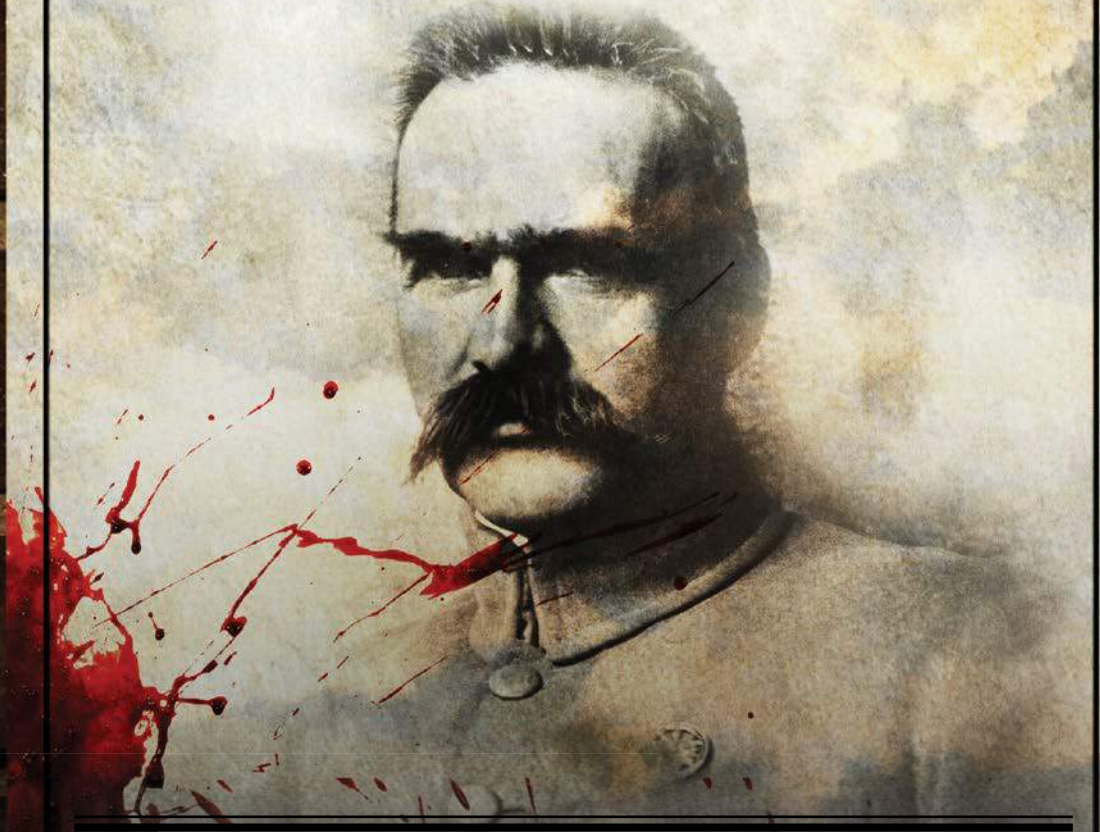

TAKICH PRZEKŁAMAŃ JEST ZNACZNIE WIĘCEJ. OD 11 LAT TRWAJĄ JEDNAK SPOTKANIA NAUKOWCÓW Z NAJBARDZIEJ PRESTIŻOWYCH UNIWERSYTETÓW NA ZACHODZIE POD HASŁEM „RECOVERING FORGOTTEN HISTORY". UCZENI OMÓWILI I ZREWIDOWALI DOTYCHCZAS PONAD 70 PODRĘCZNIKÓW.

KANCELARIA PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Fundacja Przestrzeni Obywatelskiej i Polityki Społecznej

www.civicspace.org.pl

rozgrzewamypolskieserca.pl
pgnig.pl

PGNiG

ROZGRZEWAMY POLSKIE SERCA
Fundacja PGNiG

eprasa.pl c4240ca7a8

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Niepokoje bez wyjaśnień

Od blisko dwóch tygodni duża część mediów nawiązuje do kazań trzech hierarchów polskiego Kościoła, w których znalazły się wezwania do pomocy dla przybyszy z rejonów świata dotkniętych nieszczęściami.

Wszystkie te trzy wypowiedzi wygłoszone w trakcie procesji Bożego Ciała były dosyć ogólnikowe. Kardynał Nycz wskazywał, że czasami nie rozpoznajemy Chrystusa, choć ma on dziś bardzo często także twarz „człowieka bezdomnego, uchodźcy, odrzuconego, potrzebującego naszej pomocy". Prymas Polski Wojciech Polak pytał wiernych, czy wyjście Jezusa „do biednych i ubogich, do odtrąconych, uchodźców i przybyszy, jest również naszą postawą". I wreszcie abp Wiktor Skworc mówił, że „ręka Kościoła z chlebem na dłoni, wyciągnięta (jest) do wszystkich, zaproszenie skierowane do każdego człowieka, do migrantów i uchodźców również".

Mam świadomość, że stylistyka kazań w Boże Ciało jest wezwaniem skierowanym do sumień i nie może być wyczerpującym referatem.

A jednak wierni, uznając te wskazania moralne, mają prawo do odpowiedzi na pytania uszczegółowiające te generalne postulaty etyczne. Choćby o to, czy mówimy o obowiązku pomocy jedynie wobec uchodźców czy też szerzej – imigrantów szukających już nie ucieczki przed wojną, ale lepszego życia materialnego. Kardynał Nycz mówił o uchodźcach, ale już abp Polak o „uchodźcach i przybyszach". Podobnie jak abp Skworc wspominał zarówno o „migrantach", jak i o „uchodźcach".

Kolejna wątpliwość dotyczy skali przyjmowania przybyszy ze świata. Czy ma być ona jakoś limitowana, czy jej poziom wyznaczać ma wielkość strumienia osób przybywających do Europy?

Wytwarza się dość niedobra sytuacja. Padają słowa o bardzo daleko idącym radykalizmie moralnym bez jednoczesnego ustosunkowywania się do pytań, jak takie przyjmowanie rzesz osób z zagranicy miałoby wyglądać. Czy dotyczyć ma tylko uchodźców czy imigrantów także? Jak ma się cały problem do zagrożenia terroryzmem? Jak egzekwować od przybyszy szacunek dla norm kulturowych w kraju, który ich gości?

Trudno nie odnieść wrażenia, że episkopat jest podzielony w kwestii uchodźców i stosunku do polityki rządu. Jedni hierarchowie używają języka nagany moralnej, a inni milcząco uznają linię Beaty Szydło za optymalną wobec potencjalnych zagrożeń. Symptomatyczne były dwa wydarzenia. Na wspomnianej już konferencji pod patronatem kard. Nycza Janina Ochojska mówiła, że wstydzi się za polskich polityków, a na konferencji u abp. Marka Jędrzejewskiego jego gość – bp Antoine Chbeir z Syrii – poparł ideę „pomocy na miejscu" i wyjaśniał: „To zły pomysł, aby uchodźców zabierać z ich rodzinnych krajów".

Rozpoznawanie takich subtelnych różnic stanowisk hierarchów to domena obserwatorów życia Kościoła. Wśród zwykłych wiernych umacnia się rozdźwięk między ewangeliczną retoryką a nasuwającymi się pytaniami o realia ewentualnego napływu przybyszy. Od tych pytań nie uda się uciec. ©℗

FOT. MARCIN OBARA/PAP

SĄD REJONOWY KONTRA TRYBUNAŁ

Warszawski sąd rejonowy rozpatrywał sprawę przedsiębiorcy, którego skargę odrzucił wcześniej Trybunał Konstytucyjny. Jak poinformowało Radio RMF FM, sędzia Wojciech Łączewski odroczył proces, bo uznał, że obecne władze Trybunału mogły zostać wybrane niezgodnie z prawem. Minister sprawiedliwości uznał taką decyzję sądu za rażące naruszenie prawa. – Sądy cywilne nie są władne oceniać, czy prezes sądu konstytucyjnego jest wybrany właściwie, czy nie – powiedział Zbigniew Ziobro. ***(luz)*** ©℗

eprasa.pl c4240ca7a8

CBA w ZCh Police

Działający w czasie rządów koalicji PO-PSL zarząd należącej do Skarbu Państwa spółki Zakłady Chemiczne Police (Grupa Azoty) miał trwonić pieniądze i narazić firmę na straty w wysokości co najmniej 30 mln zł.

21 czerwca br. szczecińskie CBA zatrzymało trzech byłych członków zarządu Zakładów Chemicznych Police, kilku byłych menedżerów spółki oraz kooperujących z firmą biznesmenów. Prokuratura Regionalna w Szczecinie postawiła zarzuty 13 podejrzanym. Chodzi głównie o działanie na szkodę ZCh Police. W oświadczeniu prokuratury czytamy m.in., że podejrzani dokonywali wypłat pieniędzy, mając świadomość, że usługi nie były wykonane. Tak miało być w sprawie zakupu kopalni fosforytów w Senegalu. Mieli także podpisywać umowy bez przeprowadzenia przetargów. Wśród osób z prokuratorskimi zarzutami jest m.in. były wojewoda zachodniopomorski Marcin Zydorowicz (wyraził zgodę na publikację danych osobowych). Prokuratura regionalna zarzuca mu, że wspólnie z Markiem P. przywłaszczyli 200 tys. z Fundacji Zakładów Chemicznych Police na rzecz Rozwoju Piłki Siatkowej Kobiet. To jednak jeden z mniej istotnych wątków – jak się wydaje – potężnej afery.

Tak zwana afera policka wybuchła wiosną 2016 roku, kiedy nowy zarząd spółki zweryfikował sprawozdanie finansowe za rok 2015. Okazało się wówczas, że w sprawozdaniu finansowym za rok 2015 był wielomilionowy „błąd"; zamiast 165 mln zł zysku netto była strata w wysokości 72 mln zł. „Różnica" ta wynika z zawyżonej wartości aktywów spółki African Investment Group, w której ZCh Police kupiły pakiet większościowy akcji (za 29 mln zł). Już pod koniec 2014 r. spółka nie eksploatowała własnych złóż, lecz pośredniczyła w zakupach surowca od podmiotów trzecich z Afryki.

– Do Senegalu przywożono delegacje z Polski i… pokazywano im nie naszą kopalnię! – mówił przed rokiem obecny prezes zarządu ZCh Police Wojciech Wardacki.

Treść audytu, który zlecił nowy zarząd, wywołała szok. Okazało się, że niemal stu pracowników miało karty kredytowe. Niektórzy z nich otrzymali karty z limitami nawet 100 tys. zł miesięcznie. Jedna osoba wydała w ciągu trzech lat 1,2 mln zł. Inny z uprzywilejowanych pracowników kupował miesięcznie po kilka par butów, klocki Lego, płyty DVD, zegarki za 48 tys. zł i usługi w ośrodkach SPA. Były również faktury na wydatki w klubach go-go.

Z powodu – jak podejrzewa CBA – świadomie podjętej decyzji o zakupie po zawyżonej cenie udziałów w spółce zarządzającej senegalską kopalnią „bez złóż" państwowa spółka utopiła miliony w afrykańskim piachu. Owe straty prezes Wardacki w ubiegłym roku określił na „ponad 200 mln zł".

Wśród zatrzymanych byli także dwaj działacze zachodniopomorskiej Platformy Obywatelskiej – Maciej G. oraz Robert Z.

Mimo dużego kalibru zarzutów szczeciński sąd nie zastosował wobec zatrzymanych środka zapobiegawczego w postaci tymczasowego aresztu. ©℗ ***Roman Ciepliński***

Z głębokim smutkiem zawiadamiam, że 14 czerwca 2017 roku zmarł w Gryficach

ŚP.

mjr Andrzej Kiszka
ps. Leszczyna, Dąb, Bogucki

urodzony 21 listopada 1921 roku w Maziarni. Od 1941 roku członek Batalionów Chłopskich, a następnie Armii Krajowej na placówce w Hucie Krzeszowskiej. Od 1943 roku żołnierz oddziału NOW-AK por. Franciszka Przysiężniaka „Ojca Jana". Od sierpnia do listopada 1944 roku na rozkaz przełożonych pełnił służbę jako milicjant na posterunku MO powstającym w Hucie Krzeszowskiej. Po dezercji z szeregów Milicji Obywatelskiej powrócił do Maziarni. Od jesieni 1945 roku współpracował z partyzantami z oddziału NOW-NZW Józefa Zadzierskiego „Wołyniaka" i Adama Kusza „Garbatego". Po ogłoszeniu amnestii, w kwietniu 1947 roku, ujawnił się. Po nieudanej próbie aresztowania przez UB od września 1947 roku ukrywał się. Od jesieni 1949 roku do sierpnia 1950 roku członek oddziału Adama Kusza ps. Garbaty, od wiosny 1951 roku w grupie zbrojnej Józefa Kłysia ps. Rejonowy. Od lata 1952 roku do aresztowania w dniu 30 grudnia 1961 roku ukrywał się samotnie na Lubelszczyźnie. Wyrokiem Sądu Wojewódzkiego w Lublinie skazany na karę dożywotniego więzienia, złagodzoną przez Sąd Najwyższy w Warszawie do 15 lat pozbawienia wolności. Karę odbywał w Zakładzie Karnym w Strzelcach Opolskich i Ośrodku Pracy w Potulicach, z którego został zwolniony warunkowo w sierpniu 1971 roku.

Uhonorowany Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Armii Krajowej, Krzyżem Partyzanckim oraz wieloma innymi odznaczeniami.

Niech odpoczywa w pokoju wiecznym. Cześć Jego pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
p.o. Szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

eprasa.pl c4240ca7a8

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Tusk sypnął Tuska

Na przesłuchanie Michała Tuska przez komisję badającą aferę Amber Gold opozycja przygotowała narrację: „To jest tylko polityczna hucpa, PiS poluje na syna Tuska, moralna obrzydliwość" etc. Nawet próbowała jej użyć, ale słabo to wyszło. „Gdyby Michał Tusk nie nazywał się Tusk, na pewno by go przed komisję nie wzywano" – mówił np. Grzegorz Schetyna. I nawet miał rację, bo faktycznie, gdyby pan Tusk junior nie był synem Tuska seniora, to na pewno by mu pracy gdziekolwiek, a zwłaszcza w przedsięwzięciu powiązanym z Amber Gold, nie zaproponowano.

Bierność premiera Tuska w tej sprawie doskonale wpisuje się w cały okres jego rządów

O jego umiejętnościach specjalisty od public relations i marketingu najlepiej świadczą słowa o „lipie", które naturalną rzeczy koleją zdominowały cały przekaz o wydarzeniu.

To, że zdominowały, ma jednak merytoryczne uzasadnienie. Świadomie czy nie Michał Tusk „sypnął" swojego ojca – przyznał, że to, czym jest Amber Gold, doskonale wiedział, zanim dowiedzieli się inni. Nieważne skąd – zdawał sobie sprawę, że to interes podejrzany, że musi zbankrutować, a więc że jego klienci zostaną okradzeni. A mimo to nic nie zrobił. W tym czasie, kiedy on, premier, któremu Polacy powierzyli w wyborach władzę, jakiej nie miał nikt od czasów Jaruzelskiego, nic nie robił, podlegli mu funkcjonariusze państwowi robili wiele, żeby oszusta ochronić, dać mu możliwości działania i zapewnić bezkarność. Czy możliwe jest, że tylko wskutek bałaganu i nieudolności? Chyba nikt w to nie wierzy.

Niestety, bierność premiera Tuska w tej sprawie doskonale wpisuje się w cały okres jego rządów, których nadrzędną zasadą było „nikomu się nie narazić". Ani wyborcom, ani Rosji, ani Niemcom, ani żadnej wpływowej mafii, sitwie czy korporacji. Dobro państwa, jego interesy, elementarne powinności wobec obywateli – wszystko to poświęcał Donald Tusk, byle utrzymać popularność i zwiększyć swoje szanse na załatwienie sobie synekury w Brukseli.

Próby zrobienia z młodego Tuska męczennika i niewinnej ofiary, którą PiS prześladuje, bo nie może sięgnąć wysoko usadzonego ojca, o tyle więc skazane są na porażkę, że przesłuchanie Michała Tuska okazało się jednak coś ważnego do wiedzy o sprawie wnosić. I jest to wiedza obciążająca jego ojca, nie jego samego. ©℗

PIOTR KOWALCZUK Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Kochaj islamistę swego

Gdy w zeszłym roku w Nicei islamista rozjechał ciężarówką blisko 300 osób, włoski dziennikarz Filippo Facci się wściekł i napisał w „Libero": „Nienawidzę islamu. Każdego islamu. Nienawidzę islamskiej nienawiści, której nienawidzić mi nie pozwalają, burki, teokracji, odwetu i Koranu – regulaminu wojskowego fanatycznych brodaczy". Postępowy włoski związek dziennikarzy zawiesił go za to w prawach wykonywania zawodu na dwa miesiące, co oznacza też utratę dwumiesięcznych zarobków.

W uzasadnieniu wyroku wydanego przez srogi trybunał czytamy, że Facci okazał się rasistą, obraził jedną czwartą ludzkości, system islamskich wartości i kultury, a w dodatku Koran, który „ma większą wartość dla muzułmanów niż święte księgi dla wyznawców innych religii".

Bałwaństwa dotyczącego Koranu nie sposób pojąć, ale łatwo je wytłumaczyć. Facci jest antyreligijny. Przedtem wypisywał podobne rzeczy o Biblii, chrześcijaństwie i papieżu. Jednak wówczas związek dziennikarzy nie dopatrzył się niczego zdrożnego. Trzeba się więc było z tych podwójnych standardów jakoś wytłumaczyć. Wyszło, jak wyszło. Stanął pomnik hipokryzji poprawnego europejskiego człowieka.

Podobną jednostronnością popisało się stowarzyszenie pięknoduchów Welcome to Europe. Wydali właśnie poradnik dla migrantów „Welcome to Italy". Praktycznie jest to instrukcja, jak otrzymać pomoc socjalną i azyl w Italii. Na przykład: „Jak przygotować swoją opowieść?" wraz z sugestiami, na co się skarżyć, i cenna wskazówka: „Jeśli nie byłeś prześladowany, to możesz opisać prześladowania członka twojej rodziny". Czyli wszystko o prawach. A obowiązki? Ani słowa. Róbta, co chceta. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl c4240ca7a8

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Przywrócić miasta zwykłym ludziom

Władze stolicy ogłosiły właśnie, że zamierzają wybudować kilka podziemnych parkingów. Z internetowego obrazka, który tę przełomową decyzję zapowiada, wynika, że wybudowanie jednego miejsca będzie kosztowało 100 tys. zł. Pierwszy parking zaś wcale nie powstanie tam, gdzie najbardziej potrzebują go zwykli ludzie, ale tam, gdzie miasto zamierza ulokować kolejne zagłębie biurowe, a deweloperom nie chce się budować wystarczającej liczby miejsc parkingowych (miasto zaś ich do tego nie zmusza).

Obietnica Hanny Gronkiewicz-Waltz to kpina w żywe oczy. HGW rządzi miastem od 2006 r., a podziemne parkingi obiecywała przed swoją pierwszą kadencją. Nie zbudowała ani jednego przez 11 lat, za to przerobiła miasto na nowoczesną modłę: maratony, skwerki, trawniczki, rowerki, duperelki. Zwykli ludzie są na ostatnim miejscu po biegaczach, rowerzystach, hipsterach, ekologach i innych produktach indoktrynacji „Gazety". Nie jest to specyfika Warszawy. To samo znają mieszkańcy Łodzi, Poznania, Wrocławia i wielu innych polskich miast. Bzdurne mody i objazdowi spece od „nowoczesnej urbanistyki", na spółkę z lewackimi ruchami miejskimi, narzucają sposób urządzania miast. Coraz dziwaczniejszy, coraz bardziej uciążliwy i nieżyciowy. Zyskują tylko centra handlowe, m.in. dlatego, że tam da się normalnie zaparkować.

Zapowiedź warszawskiego ratusza nie jest przypadkowa – to wstęp do kampanii samorządowej. Wybory w 2018 r. będą ostatnią okazją, żeby zatrzymać lewackie fanaberie miejskie i zwrócić polskie miasta zwykłym ludziom z ich zwykłymi potrzebami. Ludziom, którzy nie pomykają na „ostrym kole" między kawiarenkami, tylko odwożą dzieci do szkoły, robią duże zakupy, chcą normalnie wrócić do domu, niewstrzymywani przez kolejny maraton, przejazd rolkarzy czy paradę hodowców kanarków. Przyszłoroczne wybory będą też wielką szansą dla tych kandydatów, którzy dostrzegą, że na to właśnie jest popyt: na normalność. Wahających się zapewniam, że zwykłych wyborców jest więcej niż wielbicieli dróg rowerowych, imprez biegowych i sadzenia drzew na miejscach parkingowych. Trzeba im tylko przedstawić jasną ofertę. ©℗

POLSKIE F-16 PRZECHWYCIŁY ROSYJSKIE MASZYNY

FOT. YOUTUBE

Aż trzy rosyjskie samoloty przechwyciły w zeszłą środę nad Bałtykiem polskie myśliwce F-16 pełniące dyżur w ramach NATO-wskiej misji Baltic Air Policing. Jak poinformowało Dowództwo Operacyjne Rodzajów Sił Zbrojnych przechwycone w pobliżu granic państw sojuszu maszyny to nieuzbrojony Tu-154 oraz dwa Su-27 uzbrojone w rakiety powietrze-powietrze. Rosyjskie maszyny nie reagowały na wezwania z wieży kontrolnych.

Jak się potem okazało, na pokładzie przechwyconego nieuzbrojonego samolotu znajdował się rosyjski minister obrony Siergiej Szojgu, który wraz z dziennikarzami leciał do obwodu kaliningradzkiego. I to najprawdopodobniej właśnie reporterzy uwiecznili na filmie moment, w którym F-16 zbliża się do rosyjskiej maszyny, a także pokazali, jak Su-27 podlatuje do naszego myśliwca i przechyla się na skrzydło, demonstrując swoje uzbrojenie.

Według NATO nad Bałtykiem coraz częściej dochodzi do niebezpiecznych incydentów z udziałem rosyjskich samolotów. Na początku zeszłego tygodnia Pentagon oskarżył Rosjan o to, że uzbrojony w rakiety powietrze-powietrze myśliwiec Su-27 w przestrzeni międzynarodowej nad Bałtykiem w „niebezpieczny sposób" przechwycił amerykański samolot zwiadowczy RC-135. ***(jap)*** ©℗

NASZA AUTORKA WYRÓŻNIONA

FOT. RYSZARD STĘPCZYŃSKI

Katarzyna Pinkosz została wyróżniona w konkursie dla dziennikarzy „Kryształowe pióro" w kategorii choroby serca za artykuł „Zatrzymać udar", który ukazał się na łamach tygodnika „Do Rzeczy".

Nasza autorka otrzymała również I nagrodę specjalną za książkę „Wybudzenia. Powrót do życia. Polskie historie". ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl c4240ca7a8

MĘSTWO NERGALA

Podczas niedawnego koncertu zespołu Guns N' Roses w Polsce doszło do zaskakującego spotkania. A właściwie – jak donoszą plotkarskie media – nie doszło, ale dojść mogło. Chodzi o Dodę, która wystąpiła na scenie tuż przed Guns N' Roses, i jej eksnarzeczonego Nergala, który bawił się na koncercie wśród publiczności. Nieomal wpadli na siebie, gdy Doda skończywszy śpiewać, także znalazła się wśród bawiącej się publiki pod sceną. A że para nie rozstała się w przyjaźni, przypadkowe spotkania nie są jej na rękę. – Doszło do komicznej sytuacji. Nergal szedł do znajomych, Doda wprost na niego – relacjonuje świadek sytuacji w rozmowie z portalem Gwiazdy.wp.pl. – Kiedy ją zobaczył, natychmiast odwrócił się na pięcie i uciekł. Widać było, że ona nie ma nic przeciwko spotkaniu twarzą w twarz, ale on zdecydowanie nie miał na to ochoty. Potem sytuacja się powtórzyła. Doda pozowała do zdjęć z fanami, Nergal chciał przejść obok, ale w ostatniej chwili postanowił zawrócić i iść naokoło. Miał nietęgą minę – czytamy w relacji. Prawdziwe męstwo bowiem Dody się nie boi tylko w wywiadach dla kolorowej prasy! Spotkanie twarzą w twarz to bohaterstwo, którego od Nergala nie można przecież wymagać!

PANI REDAKTOR CELEBRYTKA

Aktorka serialowa Aleksandra Szwed, znana głównie z roli w „Rodzinie zastępczej", w jednym z wywiadów przyznała, że chciałaby też spróbować swoich sił w dziennikarstwie. Nic dziwnego, że została zapytana o to, z kim chciałaby przeprowadzić wywiad. – Cristiano Ronaldo nie jest na liście osób, które chciałabym spotkać – powiedziała. Kto zatem jest? Okazuje się, że lider PiS! – Jarosława Kaczyńskiego zapytałabym, jak się dzisiaj ma. Wydaje mi się, że nikt go o to nie pyta. Bardzo chętnie przeprowadziłabym rozmowę z tym człowiekiem – wyznała. Ciekawe, czy dociekliwa redaktor Szwed zapytałaby także o ulubioną potrawę. Bez tego przecież wywiad byłby do niczego.

ODWOŁAĆ LATO!

Uwaga! Dawno nie było nic o Krecie Jarosławie i Tadli Beacie. Nadrabiamy więc zaległości. Pamiętamy, że para po tym, jak dosięgła ją dobra zmiana w TVP, miała przejściowe problemy, ale chyba zostały one już zażegnane. Tadla odnalazła się w jakimś niszowym programie informacyjnym w stacji, której nazwy nikt nie pamięta, a Kret poświęcił się pisaniu książek. Na razie podróżniczych, ale na tym poprzestać nie zamierza. Niestety. W ostatnim wywiadzie zapowiedział, że ma już gotowe dwa scenariusze powieści. – Zawsze chciałem kręcić filmy przyrodnicze, a przez przypadek zostałem pogodynkiem. Mam plan B, piszę książki. Wszystkie takie światopoznawcze, które miałem napisać, to już napisałem i teraz postanowiłem pisać kryminały – zapowiada. – Właśnie dzisiaj napisałem kolejny scenariusz książki kryminalnej. Mam już dwa scenariusze takich kryminałów. Teraz czekam na lato, gdy będzie ciepło, wtedy napiszę więcej – mówi. O rany, czy da się zrobić cokolwiek, by odwołać w tym roku lato?

FOT. PAWEŁ GROMADA

POKAZAĆ SIĘ ŚWIATU!

Dziewczyna piłkarza reprezentacji Polski Arkadiusza Milika – niejaka Jessica Ziółek – nieustannie szuka dla siebie miejsca w showbiznesie. Ostatnio, gdy dziennikarz TVN24 pytał ją, jak powinien ją przedstawić na antenie, sama miała z tym problem. – Nie, nie modelka – zaprotestowała. – Partnerka Arkadiusza Milika, no niech tak będzie, modelka to nie to słowo [...] nie lubię tego określenia. WAG's? O to też nie pytajcie – wyliczała, nie zdając sobie sprawy, że jest już na antenie. A więc „niemodelka" i „nie-WAG's" Jessica Ziółek wyjawiła swój przepis na sukces i podzieliła się planami na przyszłość. – Bycie sobą to jest mój przepis na sukces – wyznała Jessica, która co prawda żadnego sukcesu jeszcze nie odniosła, ale przepis na niego już ma, więc będzie z górki. – Pracuję nad sobą, rozwijam się, staram się nie wzorować na innych – opowiada Ziółek. W ramach bycia sobą i własnego rozwoju uwielbia na przykład... robić zakupy. Jak przyznaje, ma słabość do drogich marek. – Stawiam na wygodę, gdyż ciągle jestem w biegu – mówi. Po czym skromnie wylicza luksusowe marki i projektantów, w których gustuje. To nie koniec, bo Jessica ma wobec świata wielkie plany. Zamierza uruchomić jakieś własne, na razie owiane tajemnicą, projekty. – Byłam na kilku ważnych imprezach i pokazach mody, chcę bardziej poznać świat show-biznesu i mody oraz ludzi z nim związanych – zdradza. – Chcę bardziej pokazać się światu – zapowiada. Brzmi ciekawie. Zwłaszcza że przeglądając jej zdjęcia w Internecie (żeby nie było – sama je tam umieszcza!), mamy wrażenie, iż niewiele zostało rzeczy, których Jessica jeszcze światu nie pokazała. ©℗

FOT. ALEKSIEJ WITWICKI / FORUM

eprasa.pl c4240ca7a8

Dla ARiMR najważniejsi są rolnicy

Rozmowa z Dariuszem Golcem, p.o. Prezesa Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa

Panie prezesie, czy może pan uspokoić rolników, że otrzymają wszystkie należne im płatności obszarowe za 2016 r.?

Zapewniam, że w ustawowym terminie, czyli do końca czerwca 2017 r., pieniądze trafią na konta bankowe rolników. Do wyjaśnienia pozostaną jedynie skomplikowane przypadki, w których toczą się postępowania sądowe albo z jakiejś przyczyny wypłata środków nie jest możliwa. Oceniam te przypadki na ok. 1,5 proc. całości. Nie ma żadnych zagrożeń wypłaty pieniędzy, powiem więcej – tempo przekazywania tych środków jest szybsze niż rok temu. Świadczą o tym twarde dane. Do 20 czerwca Agencja wypłaciła rolnikom w ramach płatności bezpośrednich 14,243 mld zł, co stanowi 97,5 proc. puli środków przeznaczonych na ten cel. I jest to kwota wyższa o 235 mln zł od kwoty wypłaconej w tym samym okresie za rok 2015. Z tytułu ONW przekazaliśmy do tej pory rolnikom 1,264 mld zł. Stanowi to 96,27 proc. kwoty całkowitej puli na te płatności. Stan realizacji płatności rolnośrodowiskowych, rolnośrodowiskowo-klimatycznych i ekologicznych za 2016 r. jest także lepszy niż w kampanii 2015 r. Do 20 czerwca 94,38 proc. rolników ma wydaną decyzję o przyznaniu tych płatności, rok temu było ich o 7,03 proc. mniej.

A jak wygląda sytuacja z wnioskami o dopłaty za 2017 r.?

Tegoroczny nabór przebiegł sprawnie. Do Agencji trafiła podobna liczba wniosków jak w roku ubiegłym. O dopłaty bezpośrednie ubiega się ponad 1,33 mln rolników. Ta liczba może się zwiększyć, bowiem dzisiaj, 26 czerwca, upływa ostateczny termin dostarczenia dokumentów do ARiMR. Wszystkie wnioski z tegorocznego naboru są na bieżąco digitalizowane, co pozwoli m.in. na szybsze niż do tej pory ich rozpatrywanie. To nowość i konsekwencja uruchomionego 16 maja programu zmierzającego do pełnej cyfryzacji Agencji. W porównaniu z ubiegłym rokiem o prawie 50 proc. wzrosła liczba wniosków złożonych przez Internet. To zasługa m.in. zmodyfikowanej aplikacji e-wniosek, do której wprowadziliśmy wiele udogodnień.

W tym miesiącu mija półmetek wdrażania Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2014–2020. Jaki jest stan jego realizacji?

Prawie wszystkie działania z tego programu zostały już uruchomione. Odbywają się kolejne ich edycje. Od 29 czerwca producenci prosiąt, mleka krowiego i bydła mięsnego będą mogli ubiegać się o pomoc na modernizacje swoich gospodarstw rolnych, z kolei 5 lipca rusza nabór wniosków na tzw. małe przetwórstwo. Agencja stara się także reagować na bieżącą sytuację rolników. Dla tych, którzy gospodarują na terenach objętych afrykańskim pomorem świń, by zwiększyć szanse na otrzymanie pomocy, przygotowaliśmy odrębne nabory wniosków na restrukturyzację małych gospodarstw i rozpoczęcie pozarolniczej działalności gospodarczej na terenach wiejskich. Ruszą one jeszcze w tym miesiącu.

Panie prezesie, porządkuje pan system informatyczny ARiMR. Co w tej pracy jest najważniejsze?

Wśród celów strategicznych, jakie sobie wyznaczyłem, są m.in. rozwój i utrzymanie systemu informatycznego Agencji w oparciu o własne kadry IT. To pozwoli uniknąć różnego rodzaju perturbacji, uniezależni nas od zewnętrznych wykonawców. Wychodzę bowiem z założenia, że instytucje państwowe muszą być silne, nie mogą poddawać się presji komercyjnych firm i różnego rodzaju organizacji. Częścią tego planu jest m.in. utworzenie w Lublinie zamiejscowego wydziału Departamentu Informatyki ARiMR. Zatrudnieni tam programiści mają m.in. tworzyć rozwiązania informatyczne potrzebne nam do sprawnej dystrybucji płatności obszarowych. Jesteśmy w stanie wiele zrobić własnymi siłami. I są już na to dowody. Dzięki podjętym przeze mnie decyzjom samodzielnie uruchomiliśmy m.in. Portal Ogłoszeń ARiMR, opracowaliśmy oprogramowanie do obsługi pożyczek udzielanych w ramach pomocy krajowej. Przejmujemy kolejne części systemu informatycznego od zewnętrznych partnerów. Mogę zapewnić, że to nie koniec naszych samodzielnych projektów. Obecnie w Lublinie pracuje ok. 40 osób. Docelowo chcielibyśmy, by kadra naszych programistów liczyła ok. 100 osób, dlatego będziemy szukać zdolnych pracowników IT, którym zaoferujemy bardzo ciekawą pracę.

Od 1 września 2017 r. ARiMR będzie jedyną akredytowaną agencją płatniczą w Polsce. A to oznacza nowe zadania i więcej pracy.

ARiMR powstała po to, by służyć pomocą rolnikom. I to jest dla mnie najważniejsze. Przyjęte przez rząd rozwiązanie, by uporządkować system agencji rolnych w kraju, jest korzystne i dla budżetu państwa, i dla rolników. Przejmowanie nowych obowiązków jeszcze chwilę potrwa, ale już mogę powiedzieć, że jesteśmy dobrze przygotowani do realizacji zwiększonego zakresu zadań.

eprasa.pl c4240ca7a8

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, chcieliśmy sobie poświeckować poprzedni długi weekendzik, ale jeszcze w piątek rano w drodze po bezglutenowe bułeczki do piekarni prowadzonej przez buddyjskie osobolesbijki natknęliśmy się na zbłąkanych uczestników procesji Bożego Ciała.

W związku z tym całe 30 sekund musieliśmy zaczekać na przejście przez jezdnię na środku skrzyżowania (taki nawyk z podróżowania na rowerze, pasy są too mainstream).

Zastanawiamy się więc, jak długo będziemy czekać na świeckie państwo, w którym churchingowe procesje nie będą nam utrudniały życia w mieście i swobodnego prowadzenia takich aktywności jak rowerowa albo rolkarska masa krytyczna? A co jeśli jakiś osobouchodźca chciałby w tym czasie pójść po zasiłek? Musiałby stać i czekać, aż procesja przejdzie? Przecież jak tak będzie, to oni wszyscy od nas pouciekają do Francji i tyle.

Jedna z niemieckich gazet zasmuciła się, iż ten kraj próbuje zepchnąć odpowiedzialność za Holokaust na Niemców i uczynić z niego czysto niemiecką zbrodnię.

Cóż, do znudzenia więc chyba trzeba przypominać, iż w latach 1933–1945 wszyscy Niemcy wyjechali za granicę na szparagi, a II wojna była sprawą między nazistami i tym krajem. Był jeszcze co prawda bohaterski Niemiec Stauffenberg, ale źli naziści szybko się go pozbyli.

Rozumiemy więc oburzenie i rozgoryczenie Niemców. Nie dość, że premier Polski ośmiela się zabierać głos w Auschwitz, to jeszcze w dodatku między słowami sugeruje takie przykre rzeczy. Na marginesie – na pewno nie buduje to naszej silnej pozycji w Zjednoczonej Przecież Europie.

Jesteśmy w szoku i nie wiemy, co należy myśleć. Trybunał Sprawiedliwości UE zamachnął się bowiem na wegejedzenie i uderzył w serki tofu oraz sojowe mleko.

Otósh ten kryptofashystoffski Trybunał uznał, iż nazwy „mleko" i „ser" mają dotyczyć wyłącznie produktów pochodzenia osobozwierzęcego. W tej sytuacji będziemy mieli pewnie po prostu „tofu" zamiast „serka tofu" oraz jakiegoś „sojowego napoju". Widzicie to, jak w Starbuniu zamawiacie frappé na „napoju sojowym"? Nie? No właśnie.

A przecież ser i mleko to wyłącznie konstrukty pojęciowe, które jedynie w drodze tradycji i ewolucji w patriarchalnych, mięsożernych społecznościach zaczęły przynależeć do produktów odosobozwierzęcych. Nie możemy więc się umówić, iż od teraz będzie inaczej, a np. mleko zostanie „napojem odosobokrowim", a ser „postprodukcją mleka"? Tak byłoby łatwiej i niewątpliwie bardziej postępowo, ze świeckim duchem czasów.

Wygląda w ogóle na to, że poza naszym Konstytucyjnym mamy kolejny Trybunał do odbicia. Co prawda nie chciało nam się śledzić, kto i kiedy mianował tam sędziów, ale ich orzecznictwo w sprawie tofu daje sporo do myślenia.

Martwimy się tylko, czy Europa zechce nas wesprzeć w walce o praworządność wobec wegańskich produktów i wyśle specjalnego Guya do skontrolowania porządku prac europejskiego Trybunału. Nurtuje nas też pytanie, iż Petru, Kijowski i Schetyna wstawią się w naszej sprawie, czy będzie nas czekała samotna walka o możliwość nazywania tofu tofu? W razie czego sprawdzimy na szybko na wiki, gdzie Trybunał UE ma siedzibę, wsiądziemy na holenderki i sami pojedziemy walczyć o swoje prawa!!!! Kolejnego Trybunału nam, fashyści, nie zabierzecie!!! ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

eprasa.pl c4240ca7a8

TYLKO U NAS!

BLISCY OFIAR OPOWIADAJĄ O BESTIALSTWIE BOLSZEWIKÓW

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

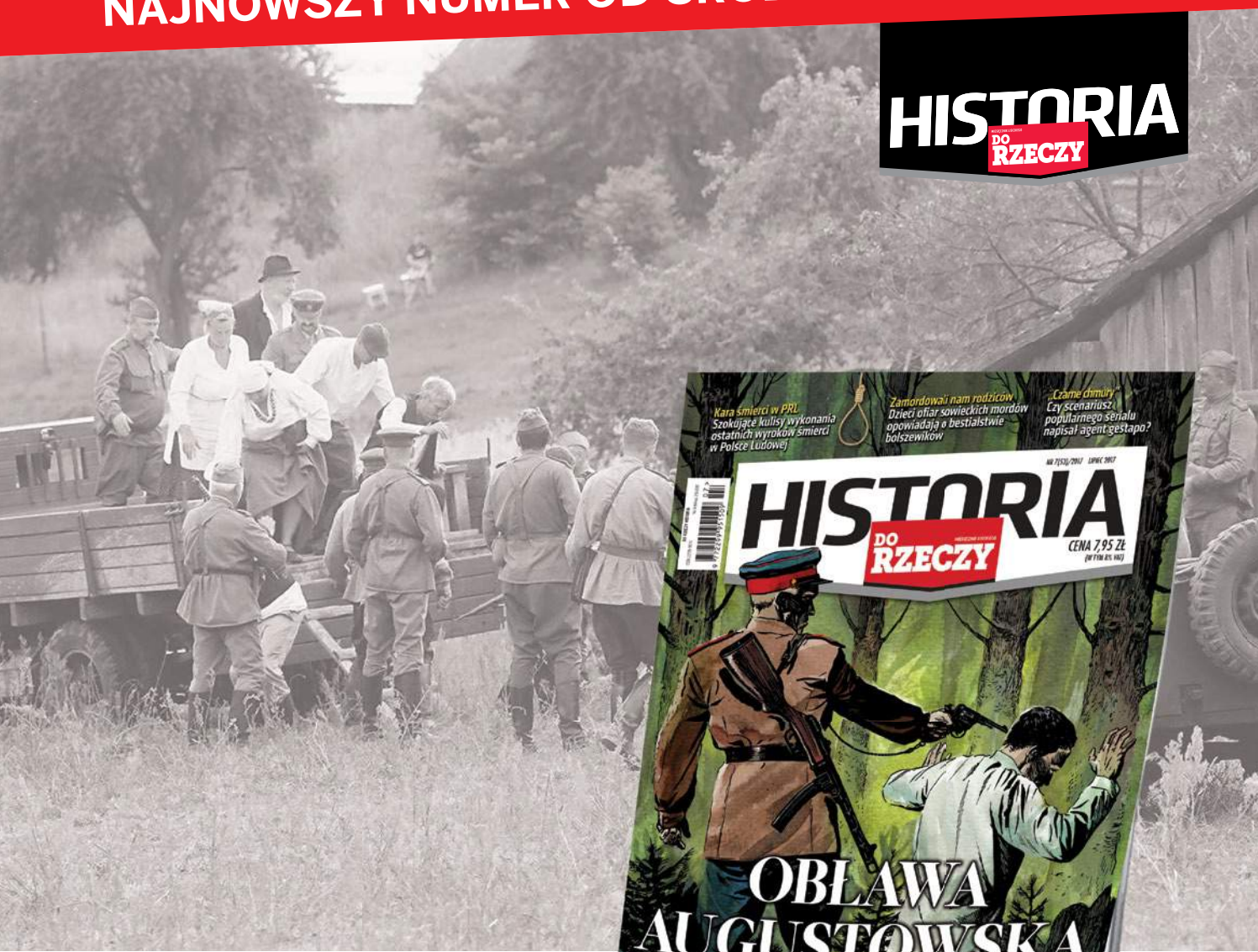

NAJCHĘTNIEJ CZYTANY
MIESIĘCZNIK HISTORYCZNY

Krzysztof Jasiewicz – **Zginęli, bo byli Polakami** / Mary Beard – Upadek Imperium Rzymskiego / **Marcin Bartnicki** – **Ostatnie wyroki śmierci w PRL** / Rafał A. Ziemkiewicz – Niepotrzebny bombowiec Łoś / Piotr Zychowicz – Ludobójstwo sowieckich jeńców / Piotr Semka – Saga Vidkuna Quislinga / **Jakub Ostromęcki** – **Kłamstwa „Czarnych chmur"**

i wiele, wiele więcej

eprasa.pl c4240ca7a8

dwaj panowie g

Z życia Srebrnego Lisa Dyplomacji. Nie jest łatwo. Trwa tropienie kreta, który wystawił Waszcza na rzeź. Jak bowiem inaczej nazwać podjudzenie Waszcza, żeby awanturował się z prezydentem Andrzejem Sebastianem o nominacje ambasadorów, które leżały już sobie podpisane w kancelarii premier Bełaty? Wiewiórki z KPRM wskazują winnych w MSZ, wiewiórki z MSZ wskazują winnych w KPRM, a Waszczowi zewsząd nędza.

Pewna polskojęzyczna kolorowa gazeta opinii twierdzi, że Waszczu obraził się na prezydenta Andrzeja Sebastiana, bo nie został wpuszczony do jego gabinetu. Było zabawniej. Spotkanie umówiono w sali na parterze. Srebrny Lis posiedział tam trochę, a kiedy czekanie mu się dłużyło, zdecydował, że pójdzie z niespodziewaną wizytą na piętro. Nie mamy piętra, ale w tej sytuacji też byśmy go nie wpuścili.

Po tym, jak okazało się, że jakiś kret wpuścił go w maliny, Srebrny Lis Dyplomacji poszedł do PAP, żeby wszystko odkręcić. Opowiadał, że to wszystko drobne nieporozumienia i w ogóle łagodził. Nie dziwimy się. Ministrem się tylko bywa, a gdy przychodzi koniec misji i pora wybrać się na placówkę zagraniczną, kto podpisuje nominacje? Bingo. Andrzej Sebastian.

Pomorze Zachodnie rządzi. W Kancelarii Prezydenta Andrzeja Sebastiana po transferze Haliny Szymańskiej na stanowisko szefowej kancelarii jest silna grupa szczecińska. Halina, Paweł Mucha i Paweł Soloch. Zapytaliśmy wpływowego przedstawiciela grupy krakowskiej, czy nie czuje się zaniepokojony: – Polanie są w mniejszości, ale mają prezydenta – odpowiedział. Chyba jednak Wiślanie.

Z uwagą (i zgodnie z obietnicą) uważnie obserwujemy pierwsze kroki nowej szefowej Kancelarii Prezydenta Andrzeja Sebastiana. Spodobało nam się, że zaczęła korzystać z dużego gabinetu w pałacu, bo za czasów Gośki Sadurskiej wszyscy musieli łazić na zebrania do biur na Wiejską. A przecież nikt normalny nie chce chodzić na Wiejską. Pod żaden adres.

Wracając na Pomorze Zachodnie. CBA przymknęło Krzysztofa J., byłego prezesa Polic ,i jeszcze dziewięć innych osób w tym dwóch polityków PeŁo. Z tej okazji przypomniały nam się usilne zabiegi pewnego wpływowego faceta na prawicy, który już po wyborach 2015 r. mocno lobbował, by prezesa Polic za wszelką cenę zostawić na stanowisku. Wspomniany prezes obiecał sypać kasą na wszelkie media tzw. prawicowe. Niestety, Joachim ze Szczecina wiedział więcej o tej postaci i nie krył swego sceptycyzmu. A CBA podzieliło to uczucie.

Ciekawostka. Okazuje się, że Police utopiły gigantyczną kasę w Senegalu. Jak to było? „Uchodźcom trzeba pomagać na miejscu".

À propos pięknego miasta Police. Jest tam podobno najlepszy w Zachodniopomorskiem szpital położniczy. Córki elit szczecińskich najczęściej właśnie tam chcą rodzić. Jest tylko jeden problem. W iele z nich dopiero po fakcie zdaje sobie sprawę, jak skrzywdziły swe dzieci wpisem w paszporcie „place of birth – Police". Police są też znane z licznych odwiedzin zagranicznych turystów, którzy padli ofiarą jakiegoś przestępstwa w Szczecinie. Są przekonani, że drogowskazy „Police" wskazują drogę na komisariat.

Sensacja. Władek Kosiniak-Kamysz, wódz naszych zielnych braci z PSL, ma poczucie humoru! Odkryliśmy to, gdy skomentował słowa herr Pawła Zalewskiego z PeŁo o wspólnej liście PeŁo, Nowoczesnej i PSL w Świętokrzyskiem. – Jeśli

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl c4240ca7a8

Paweł Zalewski chce startować z list PSL, to oczywiście zapraszamy – rzekł Władek.

Dwa słowa o innym Władku. Król dolnośląskich szos wezwał do założenia nowej partii, prawdziwie antypisowskiej, bo te dotychczasowe są do de. A gdy nowa partia będzie, Władek poświęci się jej 24 godziny na dobę. Obawiamy się, że żadna partia nie byłaby w stanie tego przetrzymać.

Władek zaapelował i stał się cud – powstała nowa partia. Nazywa się Śląska Partia Regionalna. Tworzą ją chopy, synki i baby z Ruchu Autonomii Śląska oraz Związku Górnośląskiego. Gdy Władek do niej wstąpi, będzie mógł założyć Frakcję Dolnośląską.

Tymczasem w Sosnowcu manifestowali nasi czerwoni bracia. Działacze SLD protestowali przeciw zdekomunizowaniu ronda im. Edwarda Gierka. W sumie mają rację. Cóż tam z Gierka był za komunista?! Ot, zwykły utracjusz oportunista, lubiany za maniery na Zachodzie. Czyli taki pre-Donald.

À propos Donalda. Donald wiedział i jego syn Michaś też wiedział. Że linie lotnicze OLT to lipa, że Amber Gold to złodzieje. Wiedział, ale nie powiedział. Michaś to nawet kasę brał. A kto nie wiedział, ten frajer-pompka. Bo przecież wszyscy wiedzieli. W imieniu klientów, wyborców i politologów chcieliśmy podziękować Michasiowi za ten krótki wykład, dzięki któremu wreszcie udało się jasno wyłożyć istotę gdańskiego liberalizmu.

Prace komisji Amber Gold mogą mieć konsekwencje nie tylko dla rodu Donalda. Na przykład okazało się, że przyszła koalicja PiS-Kukiz'15 po 2019 r. jest zagrożona. A wszystko przez jedno krzesło.

Wiceprzewodniczącemu komisji, kukiście Tomaszowi Rzymkowskiemu, należało się z racji funkcji krzesło tuż obok szefowej, czyli Gośki Wassermann. Miejsce to jednak zajęła posłanka Kopcińska z PiS. Dzięki temu lepiej ją widać w telewizji. Gdy Rzymkowski podjął działania w celu odzyskania krzesła, zapowiedziała, że zrzucenia z telemiejsca nie podaruje. No i jak tu wierzyć w przyszłą koalicję?

Nasz news. TVP Info zmienia nazwę na wInfo.pl – tak tylko można wyjaśnić fakt, że publiczna telewizja transmitowała start prywatnej telewizji internetowej naszych braci mniejszych. Czekamy, aż TVP1 zacznie transmitować Polsat, a radiowa Trójka – TOK FM. Chociaż właściwie w tym drugim przypadku mało kto zauważyłby różnicę.

Nasz news. Posłanka Nowoczesnej Kropki Joanna Scheuring-Wielgus, komentując londyńskie zamachy, przypomniała dane, że w latach 2000–2014 tylko 2,6 proc. ofiar zamachów na świecie było Europejczykami. Więc właściwie nie ma się czym martwić. Niestety, prowadzącemu rozmowę w Polsat News nie udało się ustalić, jaki procent ofiar byłby dla Joanny niepokojący.

Martwi nas przyszłość Adama Bodnara. Rzecznik praw obywatelskich uważa, że Polacy odpowiadają za Holokaust. A przecież Adam Bodnar jest Polakiem. Chyba powinien w tej sytuacji zrezygnować ze stanowiska. W polityce wszak nie ma miejsca dla antysemitów.

Martwią nas słowa Emmanuela Macrona. Prezydent Francji odkrył, że nacjonalizmy są bardzo niedobre i szkodzą demokracji. To straszne odkrycie w kraju, w którym wszyscy ministrowie i urzędnicy muszą jeździć tylko francuskimi samochodami. Jak to teraz odkręcić? Może na początek trochę krytyki ze strony wolnej prasy – gdyby tak pozwolić Niemcom na posiadanie gazet, we Francji debata publiczna bardzo by się ożywiła.

Na koniec jak zwykle o kulturze. Do ciekawej dyskusji doszło na krakowskim Kongresie Tłumaczy. Pewna pani z Bułgarii podczas dyskusji o polskiej poezji ogłosiła, że Jarosław Marek Rymkiewicz podlizywał się wierszami komunistom, więc to zrozumiałe, że podlizuje się tak samo dobrej zmianie. Przypomnienie, że nowe wiersze polityczne J.M.R. powstały głównie w 2010 r., czyli kiedy PiS nie tylko nie był u władzy, lecz także był uznawany za formację, która nigdy nie będzie rządzić, nie zepsuło pani z Bułgarii humoru. „Widocznie musiał coś przewidywać" – oświadczyła z godnością. ©℗

eprasa.pl c4240ca7a8

Słownik wyrazów obcych

Bolesław Prus:
„Nie trzeba przywiązywać się do wyrazów, ale patrzeć na ludzi".

eprasa.pl c4240ca7a8

Waldemar Łysiak

Niestety — mój PWN–owski **„Słownik Wyrazów Obcych"** daleki jest od doskonałości. Nie chodzi nawet o listę braków (brak terminów/haseł: egeria, pareidolia, paruzja, polipragmazja, itd.). Bardziej mnie martwią anachroniczne objaśnienia zawartych w nim *„obcych wyrazów"*. Postanowiłem więc usensownić tudzież uaktualnić ponad dwie setki terminów wziętych z owego słownika. Niżej efekt mojego wysiłku leksykograficznego:

A

absorbcja — łykamy promile, i tyle.

aerodynamika — latamy z donosami do Brukseli.

aklamacja — głosujemy za zniesieniem podatków.

akrostych — układamy wersy druku tak, by początkowe litery każdego wersu czytane z góry na dół dokopywały przeciwnikowi.

akumulacja — tracimy (znowu) w lotto.

amputacja — decydujemy się na abstynencję płciową wyzerowaną.

anarchizacja — chuliganimy kuluarowo i plenarnie.

antyklerykalizm — nie gustujemy w toruńskich piernikach.

arogancja — stroimy miny rzeplińskie.

asymetria — nie hołdujemy bliźniaków po równo.

autorytaryzm — synonimujemy go z merkelaturą.

B

bachantka — domyślamy się, że dama chlapnęła sobie *„coś tam, coś tam"*.

balneologia — jeździmy balować do spa służbowo.

bandera — wymachujemy flagą ludobójców.

benefisantka — dotujemy komediantkę, która nas opluwa.

bilateralizm — dokonujemy wzajemnie korzystnej wymiany biseksualnej.

biuletyn — czytamy w postwyborczej gazecie bieżące komunikaty broniącego demokracji Salonu.

bohemistyka — popełniamy *„czeskie błędy"*.

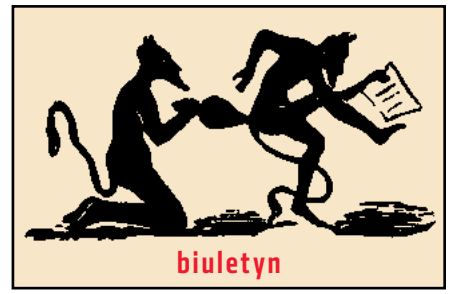

burgrabina — fetujemy lub dymisjonujemy HGW.

C

camera obscura — oglądamy pokłosie filmowe.

cenzus — bolejemy nad emerytowo–rentowym rozziewem między oprawianymi a oprawcami.

cesja — sarkamy na powyzwoleniowe legalne uwłaszczenie się czerwonej nomenklatury.

charakteropatia — małpujemy Niesioła.

chromatyka — kolorujemy szare szeregi opozycji.

chroniczność — doznajemy pisofobii przewlekłej.

chronologia — obchodzimy święto Sześciu Króli zgodnie z obowiązującą dziś Konstytucją 3 Maja.

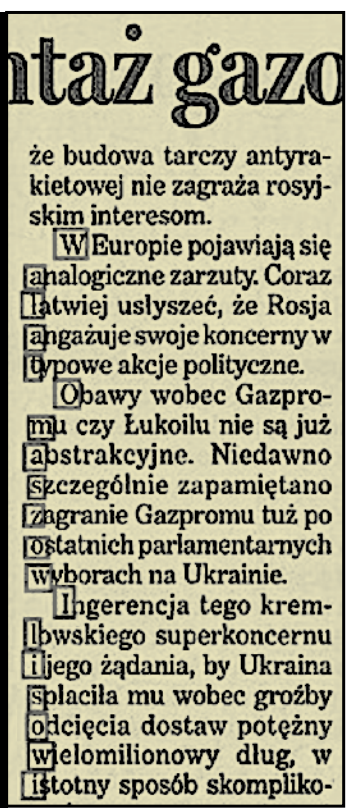

ntaż gazo

że budowa tarczy antyrakietowej nie zagraża rosyjskim interesom.

W Europie pojawiają się analogiczne zarzuty. Coraz łatwiej usłyszeć, że Rosja angażuje swoje koncerny w typowe akcje polityczne.

Obawy wobec Gazpromu czy Łukoilu nie są już abstrakcyjne. Niedawno szczególnie zapamiętano zagranie Gazpromu tuż po ostatnich parlamentarnych wyborach na Ukrainie.

Ingerencja tego kremlowskiego superkoncernu i jego żądania, by Ukraina spłaciła mu wobec groźby odcięcia dostaw potężny wielomilionowy dług, w istotny sposób skompliko-

„Waża Tomaszowi Lisowi" — akrostychowy bunt pracowników „Dziennika" przeciwko planom koncernu Springer uczynienia Lisa redaktorem naczelnym (25-X-2007)

XIX–wieczny przerys grafiki renesansowej, która ukazuje świat zakłamany: zakłamane muzy, zakłamaną propagandę, oraz zakłamane wszelakie środki przekazu

eprasa.pl c4240ca7a8

commedia dell'arte — manifujemy jak KODomici.

cyborg — cybernetyzujemy (medialnie) dawnego autokratę PSL–u.

D

daltonizm — nie odróżniamy różowego od tęczowego.

debet — liczymy zadłużenie III RP.

defenestracja — sądzimy, że siedziby partii postkomunistycznych winny się mieścić na górnych piętrach PKiN–u.

demencja — obwieszczamy śmierć demokracji w III RP.

denazyfikacja — skreślamy holocaustowych nazistów z listy Niemców.

deubekizacja — z TW *„Bolka"* robimy Lecha narodowego.

dezintegracja — sumujemy podzielenie się tuskowców na schetynowców i petrusowców.

dyfamacja — faszyzujemy pisowców.

dysproporcja — kumamy czym lapsusy Waszczu różnią się od lapsusów Petru.

E

efemeryda — rachujemy wszystkie kanapy korwinowskie.

egzaltacja — badamy stan comiesięcznego napięcia psychowzmożeniowego u nowoczesnej młodzieży żeńskiej z kropką.

eklektyzm — kwitujemy Kukizową rozmaitość frakcyjną.

ekskluzja — frapuje nas regularne wykopywanie off–partyjne Misiakamińskiego.

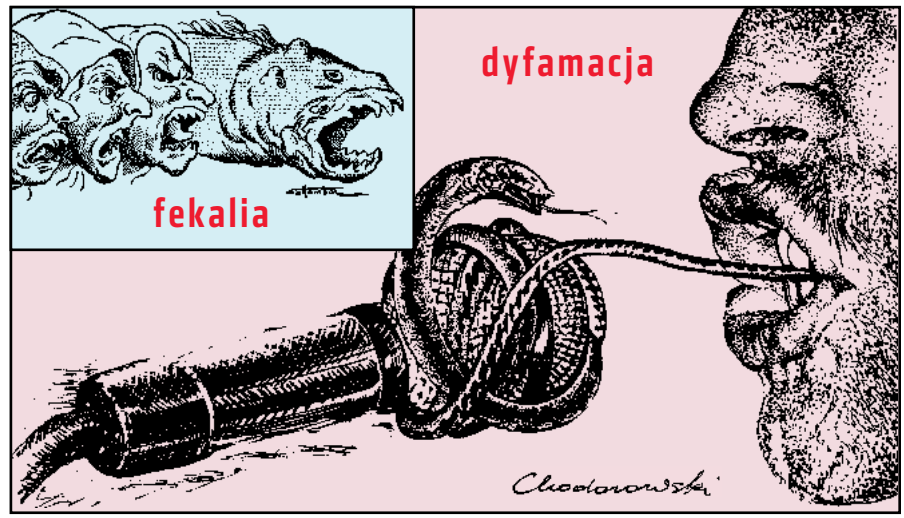

epicentrum — penetrujemy centrum pi chętnej epikurejki.

erudycja — staramy się być Petru na odwyrtkę.

estetyzm — nie bratamy się z hołotą lepperową, palikotową, nitrasową bądź kolczykowo–kucykową, gdyż mężczyźnie z kolczykami i kucykiem jest do twarzy jak z nocnikiem.

eufemizm — nie mówimy: *„kurew"*, tylko: *„kobieta bezpruderyjna"*.

F

facecjonizm — wypowiadamy ze stoickim spokojem godne kabaretonu pierdoły: *„aby było tak jak było"*, bo za PO wszystko kwitło, etc.

fantasmagoria — obiecujemy, że z całą pewnością po uwaleniu PiS–u nastąpi między Tatrami a Bałtykiem płynący mlekiem i miodem raj.

fatalizm — wierzymy, iż *„lepiej już było"* (patrz hasło **facecjonizm**).

fekalia — formułujemy frazy szczególnie użyteczne w dyskursie politycznym pozamikrofonowym i pozakamerowym.

feminizm — apelujemy o likwidację wszelakich barier, blokad, kajdan, zakazów i wyzysków, którymi represjonowane są dzisiaj ciężko polskie kobiety.

fluorescencja — odnotowujemy świetlne promieniowanie celebryckie antyfaszystowskie ze stuhrwatowej żarówy.

frustracja — diagnozujemy aktualny stan Salonu jako wspólny dla Polski i USA.

G

gambit — poświęcamy na szachownicy królową kopaczową dla uzyskania schetynowej szansy manewru ofensywnego.

eprasa.pl c4240ca7a8

garota — opasujemy wstęgą *„gloria victis”* szyję Palikota.

gehenna — przyglądamy się doli SLD.

gender — gloryfikujemy faceta z dziurką i babę z rurką.

gerontofilia — międlimy Bartoszewskie sofizmaty o przyzwoitości.

gerontokracja — przypominamy sobie breżniewizm.

gigantopitek — nazywamy trójmiejskie lotnisko imieniem osobnika z plejstocenu.

grafometr — oceniamy współczesną polską literaturę.

H

hagiografia — piszemy kuroniówkę mazowiecką.

halucynogen — połykamy TVN 24.

harpia — życzymy ratusza bufetowego jako dożywotniego, za reprywatyzację.

heca — wygwizdujemy klątwopodobne przedstawienia teatralne z piekła rodem.

heliotropizm — tańczymy *„kółko graniaste”* wokół nowogrodzkiego słonecznika.

hermafrodytyzm — z naszego grodu wybieramy pannę Annę.

hieratyczność — zlizujemy na kolanach lukier piernika toruńskiego.

hipostaza — opiewamy polskiego sędziego jako wzór prawości, mądrości i niezawisłości.

humbug — inwestujemy w OFE lub w Amber Gold.

hydrofor — filtrujemy wodę laną z głównego nurtu.

I

idiomatyka — delektujemy się wybielającą retoryką Lecha.

ikonoklazm — traktujemy solennie/solidnie polską sztukę nowoczesną (*„awangardową”*).

implozja — słyszymy gwałtowną dekadencję UPR-u, SdRP, Ruchu Palikota, et cetera.

industrializacja à rebours — opłakujemy balcerowiczowską likwidację rodzimego przemysłu.

indyferentyzm — definiujemy nasz politycznie poprawny stosunek do problemu segregacji rasowej według Tory, lecz akceptujemy takową w ZOO.

inkorporacja — mamroczemy: *„Gdzie Rzym, gdzie Krym?”*.

intermezzo — zatykamy uszy podczas sejmowego muchośpiewu.

irracjonalizm — nie rozumiemy czemu ci, którzy okupacją/blokadą sali plenarnej uniemożliwiają obradowanie tam Sejmu, jednocześnie piętnują gromko nieobradowanie Sejmu w sali plenarnej.

J

janczar — werbujemy antysalonowców (Michalski, Michalik, Wołek et consortes) w szeregi Salonu.

jeremiada — wrzeszczymy manifowo: *„— Ochrzcij se kota!”*.

johimbina — wolimy od viagry.

jowialność — martwimy się, że to już nieaktualna maska *„Gajowego”*.

junkier — gardłujemy przeciw Schulzowi lub za.

jurgielt — bierzemy granty/ honoraria/sponsoringi berlińskie lub moskiewskie.

jury — obcinamy skrzydła Nike.

K

kabała — zostajemy członkami Towarzystwa Przyjaźni Polsko–Izraelskiej (TPPI).

kabura — dostrzegamy nitrasowy futerał fotograficzny.

kaduk — wertujemy kodeks prawa formułowanego przez jurystów Salonu.

karencja — nie obchodzi nas zielona trawa Millera.

kauzyperda — rozpoznajemy zerkając przez tuleję.

kazuistyka — skręcamy się (ze złości lub ze śmiechu) słuchając orzeczeń/werdyktów rzeplińskopochodnych.

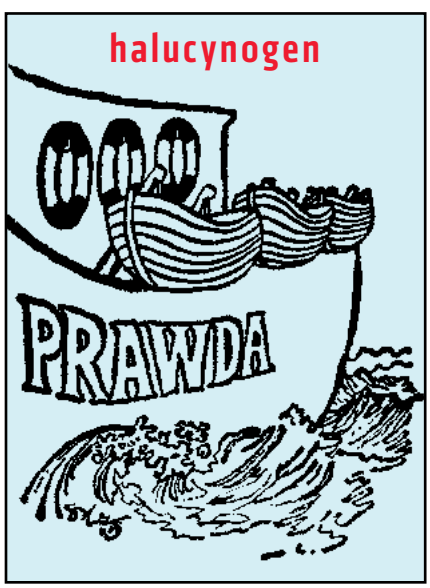

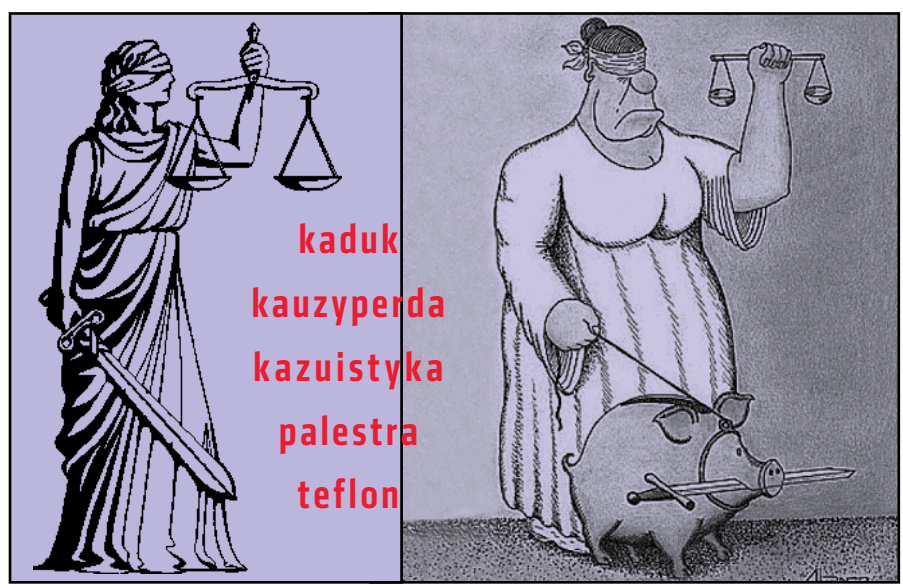

eprasa.pl c4240ca7a8

klezmer — nucimy melodie salonowe czyli *„maleńczuki"*.

kolokwializm — artykułujemy swe racje jak generał Cambronne.

konformizm — zapisujemy się do Ludowców.

kontrasygnata — dopisujemy: *„. . . . . i Lolek"*.

koprodukcja — czekamy na trzysetlecie osi Berlin–Moskwa, funkcjonującej nie tylko rozbiorowo (Fryderyk–Katarzyna, Ribbentrop–Mołotow), lecz i rurociągowo (Merkel–Putin).

kwesta — wrzucamy do puszek KOD–u zamiast do kieszeni poborców *„na wnuczka"*, ze skutkiem tym samym.

L

lapsus — jako poligloci ćwiczymy się też w językach egzotycznych (petruskim, waszczykowskim, wałęsowskim i in.).

leseferyzm — skandujemy owsiakowo *„róbta co chceta!"*.

libretto — lustrujemy codzienną politpoprawną ściągawkę dla salonowców zaproszonych do mediów.

lituanizacja — miast Mickiewicz bredzimy: Mickieviczius.

ludyczność — rechotamy dzięki kabaretonom i sitcomom, śpiewamy disco–polo, tańczymy pole–dance.

luminescencja — oślepia nas aura promieniująca wokół cadyka z Czerskiej.

Ł

łysiakomania vel **łysiakofilia** — rozpoczynamy czytanie **„Do Rzeczy"** od strony przedostatniej.

M

maca — przestrzegamy nie przed obcym plackiem, lecz przed swojskim molestantem tramwajowym lub autobusowym.

manicheizm — jesteśmy, na wzór gdańskiego klasyka–komika, *„za, a nawet przeciw"*.

manufaktura — bilansujemy stan uprzemysłowienia III RP.

martyrologium — uczestniczymy w *„miesięcznicach"* i *„rocznicach"*.

maskulinizm — pasjonujemy się boksem damskim uprawianym w remizach Polsatu.

metamorfoza — zmieniamy sobie płeć genderyzując się skalpelowo.

mezalians — pamiętamy koalicyjny ślub *„Kaczora"* z roku 2005.

mimesis — przecieramy oczy na widok *„inteligentnych inaczej"* celebrytów noszących maski autorytetów.

mizoginia — preferujemy *„chłopaczków"*.

mutacja — zmieniamy zaszeregowanie partyjne.

N

negacjonizm vel **negatywizm** — mamy swój stosunek do ustosunkowywania się salonowej opozycji wobec każdego działania pisowskiego rządu, nawet takiego działania, które służy społeczeństwu bezsprzecznie.

eprasa.pl c4240ca7a8

negliż — kontemplujemy najpiękniejszy strój dam, czyli dezabil całkowity.

nekromancja — wskrzeszamy ducha profesora Geremka dla ratowania PO.

neodarwinizm — zastanawiamy się z jakiego gatunku małp wyrośli nasi polityczni adwersarze.

neomarksizm — maszerujemy Razem.

nepotyzm — usynawiamy Misiewicza.

nihilizm — wzruszamy ramionami obserwując scenę polityczną (każdą) z uśmieszkiem mówiącym: *„Nihil novi sub sole”* (Nic nowego pod słońcem).

nomenklatura — wiemy, że nomen omen *„sami swoi”*.

nostalgia — wyczuwamy tęsknotę *„psów wojny”* (a konkretnie *„stanu wojennego”*) za kulturalnymi mazgułowo *„ścieżkami zdrowia”*.

O

odium — myślimy o Elektryku.

oksymoron — klepiemy: platforma obywatelska.

okultyzm — uruchamiamy peeselowsko magiczne urny wirujące.

oligarchia — kulczykujemy trzodę chlewną.

organoleptyka — angażujemy sekretarki do naszego biura korporacyjnego, poselskiego, itp.

ortalion — donaszamy prywaciarski płaszcz z czasów zamierzchłej młodości.

oryl — tłumaczymy, że to nie tylko flisak, lecz w dawnej gwarze również prostak, co zezwala zwać życie polityczne III RP orylokracją.

P

pacyfizm — nie walimy *„z byka”*, ani *„z fleka”*, ani w ogóle.

palestra — długofalowo (przez wiele lat) tracimy pieniądze na iluzję sprawiedliwości.

pandemia — ze spokojem misiów panda tolerujemy *„polityczną poprawność”*.

penalizacja — osadzamy kelnerów frajerów.

per procura — cenimy pełnomocnictwo sprawowane przez panią premier.

placebo — zażywamy prognozy wicepremiera gwoli tłumienia pesymizmu ekonomicznego.

poligon — razem z ministrem obrony udoskonalamy polską strategię gonienia bolszewika.

polonofobia — polemizujemy z naszymi starszymi braćmi, którzy mają do nas wieczne pretensje.

pragmatyzm — nie ufamy obiecankom–cacankom.

preferencja — przedkładamy Dodę nad Środę.

Q

qui pro quo — zastępujemy Środę Poniedziałkiem lub vice versa.

R

rabinat — lokalizujemy ulicę Czerską.

ramadan — przyuczamy wnuki do postu ścisłego.

reaktywacja — zżymamy się na neoendeków.

recesja — ubolewamy nad pogorszeniem się stosunków polsko–ukraińskich.

reglamentacja — deliberujemy nad przyjmowaniem uchodźców.

relokacja — przekopaczowujemy kawałki ciał z trumny do trumny.

remilitaryzacja — zmieniamy zdanie w sprawie zakupu helikopterów bojowych.

renoma — zdumiewamy się, że polskie obozy zna już cały glob.

S

safari — polujemy na kolejne *„wtopy”* i *„obciachy”* KODomitów.

saturator — budujemy mównicę (hydromównicę) do wytwarzania wodogłowia mas laniem gazowanej wody.

schizofrenia — liczymy sondażowe poparcie dla Salonu.

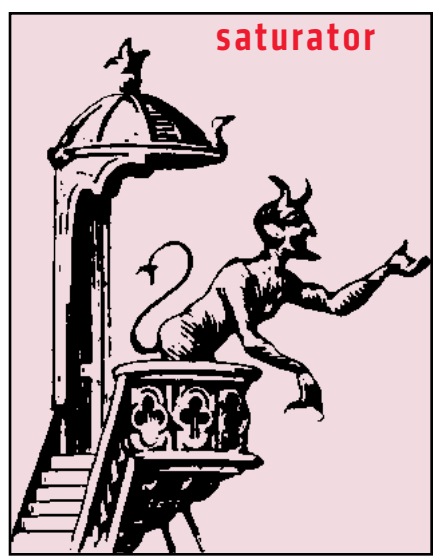

secesja — tworzymy .Nowoczesną.

silikon — obśliniamy się dubeltowo.

snobizm — jemy bezy widelczykiem, gramy w polo konikiem, nosimy się z szykiem (*„haute–couture”*) i jeździmy wozikiem bugatti (porsche są gorsze).

spektrum — mami nas widmo demokracji.

spirytyzm — wywołujemy duchy anonimowych alkoholików.

substytut — smakujemy czekoladopodobne autorytety moralne.

T

taksometr — śledzimy licznik zadłużeniowy w centrum Warszawy, od niego bowiem zależeć będzie wysokość podatku (*„tax”*).

teflon — podziwiamy odporność środowiska sędziowskiego na wszystkie (bardzo liczne) zarzuty.

toksykologia — nauczamy multi–kulti.

tombak — po aferze Amber Gold kumamy, że *„nie wszystko złoto co się świeci”*.

topless — eksponujemy *„mleczarnię”*.

traktiernia — żremy żarcie *„śmieciowe”*.

transcendencja — przekraczamy naszą fizyczność technikami medytacyjnymi, od buddyjskich (*„kwiat lotosu”*) po nektarowe (*„palma odbijająca”*).

transkrypcja — obsługujemy delatorską maszynę szyfrującą „Bolek”, będącą polską odpowiedzią na germańską „Enigmę”.

transwestytyzm — przekładamy na polski: babochłopizm.

tsunami — zamiatamy antyestablishmentowo/antysalonowo w USA.

eprasa.pl c4240ca7a8

wodewil

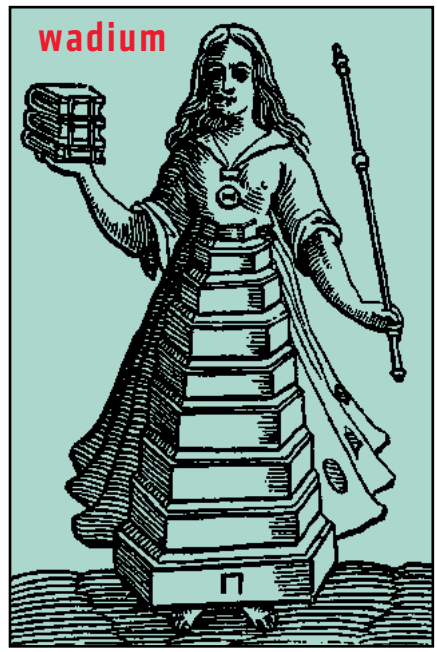
wadium

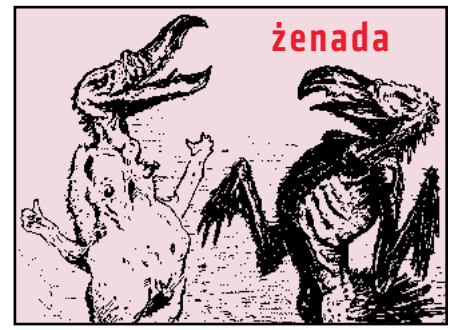
żenada

unisono

U

ultradźwięki — mierzymy wokal posłanki Muchy.

ultrasi — anarchizujemy państwo po kibolsku.

umlaut — stawiamy musze kupy nad samogłoskami (nie bez bólu), albo je kasujemy, i wtedy Pätz piszemy: Paetz.

unisono — wprowadzamy tzw. *„dyscyplinę partyjną”*.

utopia — marzymy tzw. *„ściętą głową”*.

V

vendetta — studiujemy schetynologię.

verso — *„lukamy”* za kulisy KOD–u.

virgo intacta — cerujemy chirurgicznie uszkodzony klejnot dziewczęcia, które pragnie ucieszyć narzeczonego konserwatywnego (tradycjonalistę) lub pana młodego w noc poślubną.

W

wadium — łkamy cichcem, że nasze składki w UE przewyższają dotacje stamtąd.

wamp — wampiryzujemy ślicznotki jako gatunek drapieżny.

wariacja — fiksujemy wskutek przemożnych żądz (od ślicznotek do grosiwa).

wasal — nosimy teczkę za …

weduta — rysujemy Starówkę stołeczną z prawego brzegu Wisły.

wersyfikacja — poetyzujemy (byle nie w Częstochowie).

weryfikacja — dobieramy się do tyłka fałszerzom i przekręciarzom bezkarnym w Tuskolandii.

wiwisekcja — kroimy bufona *„skaczącego przez płot”*, by odsłonić trzewia megakonfabulacji skutkującej zaparciem.

wodewil — kankanizujemy protesty uliczne wesolutkim spektaklem wśród gwiazd estrady, co się nam wykluły od Michnika do Mazguły.

wokaliza — kontestujemy śpiewająco reżimowy festiwal piosenki.

Z

zoolatria — obsrywamy chodniki za pomocą *„najlepszego przyjaciela człowieka”*.

zooplankton — zasiadamy w tylnych ławach.

zygota — skrobiemy po kilku miesiącach, mając zgrabne alibi terminologiczne dla mordu.

Ż

żandarmeria — wstępujemy do straży miejskiej, by *„kasować”* łebków parkujących w miastach i dzielnicach bez parkingów.

żenada — grzeją nas wyroki polskich sądów, wypowiedzi polskich autorytetów, wyniki polskich sportowców, plus wygibasy partyjne i międzypartyjne.

żyrandol — symbolizujemy nim prezydenturę.

żyrant — dajemy dowód nadmiaru ufności czyli niedostatku instynktu samozachowawczego mierzonego liczbą klepek. ©℗

verso

eprasa.pl c4240ca7a8

JEDZIESZ NA URLOP?

PROGNOZA NA 25 DNI DLA 3 MILIONÓW MIEJSC W POLSCE I NA ŚWIECIE

SPRAWDŹ POGODĘ NA INTERII!
AKTUALIZACJA CO 30 MINUT!

interia POGODA

SPRAWDZA SIĘ!

Z prof. Ryszardem Terleckim, wicemarszałkiem Sejmu z PiS
rozmawia Wojciech Wybranowski

Wiele pytań o referendum

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Prezydent Andrzej Duda spotyka się z Pawłem Kukizem, obaj politycy mówią o ścisłej współpracy przy przygotowaniu referendum konstytucyjnego. Tymczasem z tego, co słychać w obozie PiS, jest wiele wątpliwości, czy poprzeć inicjatywę prezydenta...

PROF. RYSZARD TERLECKI: Tak, jest wiele pytań dotyczących pomysłu pana prezydenta. Na przykład w sprawie daty – nie jesteśmy przekonani, czy należy łączyć święto narodowe z referendum. Kwestią otwartą pozostaje także sprawa pytań, jakie zostaną przedstawione na kartach referendalnych. Nie bardzo jestem w stanie sobie wyobrazić, że obywatele dostaną listę zmian, które należy przeprowadzić w konstytucji, i odpowiedzą, czy im się te projekty podobają, czy nie. To jest praca dla fachowców, prawników, którzy powinni przygotować przekaz zrozumiały dla zwykłych obywateli, tymczasem w takiej formule, jaką jest referendum, pytania będzie trudno sprecyzować. Uważam, że referendum sprowadzające się do pytań z kategorii: „Czy jesteś za zmianą konstytucji, czy przeciw?", nie ma sensu.

Czy są zaplanowane rozmowy między kierownictwem PiS a prezydentem lub jego kancelarią w sprawie tego referendum?

Takiego oficjalnego spotkania nie było i na razie nie jest zaplanowane.

To może wskazywać, że coś iskrzy na linii prezydent – władze PiS.

To może wskazywać zarówno, że coś iskrzy, jak i że nie ma powodu do takich spotkań, bo wszystko jest w porządku (śmiech). Harmonogram prac nad referendum konstytucyjnym nie jest jeszcze sprecyzowany, więc wiele może się wydarzyć.

Wystąpienie ministra Waszczykowskiego, który ostro skrytykował prezydenta, i równie ostra riposta ministra Szczerskiego raczej nie są dowodami wzajemnej sympatii i dobrych stosunków.

O mój Boże! Z tym jest jak z wypadkiem premier Szydło w Oświęcimiu. Media potrafią z drobiazgów, głupstw zrobić czołowe przekazy medialne. Można, oczywiście, ale to sprawia wrażenie, że dziennikarze nie chcą pisać o sprawach poważnych i zajmują się rzeczami trzeciorzędnymi. Jakaś różnica zdań, wyrwany z kontekstu incydent zawsze się zdarzą, ale o niczym to nie świadczy i nie zmienia oraz nie podważa wzajemnego szacunku i przekonania, że rząd powinien współpracować z Kancelarią Prezydenta.

Nie zgodzę się z panem. Spór na linii Waszczykowski – Duda to nie rzecz trzeciorzędna, ale dotycząca tego, kto tak naprawdę w Polsce odpowiada za realizację polityki zagranicznej.

To określa konstytucja, ale też realia polityczne. Myślę, że obaj partnerzy są znaczącymi graczami w polityce międzynarodowej. Nikt tu nie próbuje nikomu odebrać kompetencji.

Jak już mówimy o znaczących graczach, to nie można nie wspomnieć o Donaldzie Tusku, który coraz bardziej staje się główną postacią opozycji.

Tusk jest słabym przewodniczącym Rady Europejskiej, nie cieszy się specjalnym poważaniem w Europie, ale jest to funkcja, która rzadko przebija się do świadomości nawet ludzi na co dzień interesujących się polityką. Osób, które np. potrafią wymienić poprzednich przewodniczących, jest w Europie może z tysiąc. To, że my, a może raczej politycy opozycji, tak się ekscytują tym, iż Tusk jest przewodniczącym Rady Europejskiej, to polskie patrzenie na świat z perspektywy Warszawy.

Może być słabym przewodniczącym Rady Europejskiej, ale jeden jego tweet wymierzony w polski rząd mobilizuje opozycję i trafia na czołówki serwisów informacyjnych w całej Europie.

Rzeczywiście, angażuje się we wspieranie opozycji poza granicami Polski i trochę również w Polsce, a nie jest to rola, którą powinien odgrywać. Powiedziałbym wręcz, że to postawa, która go kompromituje. W jakimś stopniu stał

eprasa.pl c4240ca7a8

FOT. PAWEŁ KULA/CENTRUM INFORMACYJNE SEJMU

się też uczestnikiem działań wymierzonych w polski rząd prowadzonych przez niechętne nam środowiska w Europie. Tyle że on też ma świadomość tego, co go czeka – albo się zasłuży elitom europejskim, które załatwią mu jakąś lukratywną posadę, albo będzie musiał wrócić do Polski i tu mozolnie wpisywać się w działania słabej, skłóconej i podzielonej totalnej opozycji.

Będzie tym, który wróci z Brukseli na białym koniu i wystartuje w wyborach prezydenckich?

Przewiduję, że wróci z Brukseli do Warszawy, ale raczej tego „białego konia" nie widzę. Wróci w roli przegranego człowieka, który, owszem, spędził parę lat w Brukseli i może zabezpieczył swój majątek na pokolenia, ale politycznie nie tylko nie odegrał w Europie większej roli, lecz także we własnej partii w kraju stracił pozycję. Jego sytuacja będzie nie do pozazdroszczenia, choć oczywiście znajdą się tacy, którzy pobiegną na dworzec, by wymachiwać flagami i cieszyć się, że wraca ich wymarzony przywódca. Obawiam się jednak, że takich nie będzie zbyt wielu. Czy wystartuje w wyborach prezydenckich jako lider opozycji? Mam wątpliwości, choć dzisiaj bardzo trudno przewidzieć, jaka sytuacja polityczna będzie w 2020 r. Myślę, że w Platformie jest kilku chętnych do startu i zakulisowo pracują nad tym, by Tusk nie wystartował.

Tuż przed ubiegłotygodniowym szczytem UE włoski podsekretarz stanu ds. europejskich Sandro Gozi zagroził, że jego kraj zażąda, by państwom, które nie przeprowadzą relokacji uchodźców, odebrać – po 2020 r. – środki z unijnego funduszu spójności. Takie warunki miały zostać przedstawione podczas rozmowy z unijnym komisarzem do spraw budżetu Güntherem Oettingerem.

W mediach często niekorzystną sytuację usiłuje się przykryć czymś innym i tu moim zdaniem mamy do czynienia właśnie z takim zjawiskiem. Głęboki kryzys UE wywołany przez aktualny establishment zarządzający Komisją Europejską i instytucjami unijnymi sprawia, że szukają oni sposobu na uchylenie się od odpowiedzialności za ten kryzys, wykazując jednocześnie swoją aktywność i użyteczność. Straszenie Polski i innych krajów domniemanymi sankcjami za nieprzyjęcie uchodźców jest jednym z pomysłów, by zająć opinię publiczną sprawą, która w gruncie rzeczy jest mało realna, ale dobrze sprzedaje się w mediach. W ten sposób odsuwa się na dalszy plan realne problemy, przed którymi stoi obecnie Unia, czyli brexit czy problem uchodźców – nie tylko w kontekście terroryzmu, lecz także znacznie bardziej niepokojącego faktu narastania przestępczości w środowiskach przybywających do Europy. I to zarówno w środowiskach imigrantów, którzy obecnie docierają do Europy, jak i tych, którzy na nasz kontynent przybyli nieco wcześniej. To jest fakt, który się ukrywa. Przed opinią publiczną ukrywa się także statystyki dotyczące liczby więźniów kryminalnych i ich pochodzenia, napięć oraz starć w dzielnicach zamieszkanych przez przybyszów z Azji i Afryki.

Niezaprzeczalnym faktem jednak jest, że Komisja Europejska wszczęła postępowanie wobec Polski. Może się ono zakończyć wnioskiem do Trybunału Sprawiedliwości UE i nałożeniem milionowych kar na nasz kraj.

Nie tylko wobec Polski. Jeżeli dotyczy to trzech państw, czyli Polski, Węgier i Czech, to oznacza to, że problem jest znacznie poważniejszy niż tylko „niesubordynacja" Polski. I dlaczego dotyczy np. Czech, które przyjęły bodajże 12 uchodźców, a nie dotyczy Austrii, która nie przyjęła ani jednego? Pytanie więc: Na ile te zapowiedzi sankcji są odpowiedzialne i realne? Poza tym znamy przecież obowiązujące procedury: Czechy i Węgry zaskarżyły decyzje o relokacji uchodźców przeszło rok temu i Trybunał jeszcze się tym nie zajął. Wyobrażenie dziś, że pojawią się jakieś wnioski i pojutrze będziemy mieć w tejsprawie rozstrzygnięcia, są niczym niepodparte. Procedura wobec Polski i pozostałych państw – jeżeli w ogóle zacznie być przeprowadzana – będzie trwała dwa–trzy lata, a w tym czasie w Unii, co chyba dla wszystkich jest oczywiste, trzeba będzie przeprowadzić poważną reformę. Zrealizowanie tego w atmosferze wzajemnych oskarżeń, pogróżek i sankcji będzie bardzo trudne. Warto też powiedzieć, że za niecałe dwa lata będą wybory do Parlamentu Europejskiego, które prawdopodobnie zmienią w nim całkowicie układ sił.

W ubiegłym tygodniu w Warszawie doszło do spotkania szefów państw Grupy Wyszehradzkiej i Beneluxu. Czy udało się uzyskać w spornych kwestiach pełne zrozumienie?

Nasze polskie intencje są jasne: dążyć do zbliżenia tak daleko, jak tylko jest to możliwe. I takie spotkania w formacie V4 – państwa Beneluxu są pewną wskazówką, że udaje nam się ten projekt realizować. Szukamy wzorów, możliwości, które inni osiągnęli już dawno. W niektórych sprawach są pewne trudności, ale generalnie we wszystkich czterech stolicach idea rozwijania współpracy cieszy się uznaniem. Drugim elementem, który nas nieco różni, jest kwestia poszerzenia Wyszehradu, za czym Polska się opowiada. Tak, by ta dobra współpraca objęła więcej państw, wtedy będzie to siła jeszcze bardziej znacząca. A tu pojawiają się spore wątpliwości naszych partnerów z V4, którzy na tym etapie jeszcze nie są gotowi na budowę Grupy Wyszehradzkiej Plus.

Kraje bałtyckie, Rumunia, Słowenia, Chorwacja, Bułgaria? PiS chce budowy alternatywnej Unii?

Nie, nikt nie ma takiego zamiaru. Nie mają takiego pomysłu ani Polska, ani żaden z naszych partnerów. Chodzi o to, by w sytuacji, gdy pojawiają się pomysły budowy Unii różnych prędkości, dyscyplinowania państw, które nie zgadzają się z polityką obecnego kierownictwa Unii, zbudować takie lobby na rzecz utrzymania solidarności i jedności Unii oraz jej wzmocnienia, jednak bez dyktatu silniejszych, co będzie pożyteczne, a może wręcz niezbędne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c4240ca7a8

Roszada konstytucyjna

Łukasz Warzecha

Pomysł referendum może nie tylko zaszkodzić prezydentowi w zbudowaniu własnej pozycji, lecz także pogrzebać sprawę zmiany ustrojowej – ważną dla wszystkich Polaków

FOT. JERZY DUDEK/FORUM

Prezydent Andrzej Duda 3 maja na pl. Zamkowym ogłasza, że Polska potrzebuje nowej konstytucji, a referendum w tej sprawie powinno się odbyć w okolicach Święta Niepodległości. Po twarzach obecnych na uroczystości polityków PiS widać, że są skonsternowani, podobnie zresztą jak znaczna część współpracowników samego prezydenta.

Wkrótce temat zapowiadanego referendum staje się jednym z regularnych motywów potyczek obozu rządzącego z opozycją oraz jednym z wciąż przewijających się w mediach wątków. Tymczasem w Pałacu Prezydenckim narasta świadomość, że to, co miało być łatwym sposobem na umocnienie prezydentury, może być dla niej dużym kłopotem.

TEORETYCZNIE DOBRY PLAN

Plan stworzony w gronie kilku zaufanych współpracowników prezydenta był w teorii dobry: Andrzej Duda ma problem z zaznaczeniem swojej podmiotowości, a zarazem nie chce i nie bardzo może występować otwarcie przeciwko własnemu obozowi politycznemu. Trzeba zatem wymyślić autorskie przedsięwzięcie, które nie będzie sprzeczne z retoryką partii rządzącej, ale jego dysponentem będzie wyłącznie Pałac Prezydencki.

Tyle że budowa domu zaczęła się od komina zamiast od fundamentów. Gdyby podejście ekipy prezydenckiej było profesjonalne, przed ogłoszeniem projektu opracowano by jego koncepcję prawną (jak ma wyglądać samo referendum) oraz logistyczną (jak ma wyglądać szumnie ogłoszona narodowa dyskusja o ustroju państwa). To jednak oznaczałoby, że pomysł długo przed jego ogłoszeniem stałby się znany szerokiemu gronu, a tego właśnie prezydent nie chciał. Nauczony doświadczeniem obawiał się, że detale szybko pozna Nowogrodzka, która podejmie działania wyprzedzające, zawłaszczy sobie kwestię referendum. I cały wysiłek na nic.

Nieprzypadkowa była dymisja Małgorzaty Sadurskiej. To właśnie ją prezydent obwiniał o informowanie centrali PiS o sprawach, które miały pozostać w obrębie murów pałacu. Nie jest też przypadkiem powierzenie Sadurskiej – osobie bez doświadczenia w jakimkolwiek biznesie – stanowiska w zarządzie PZU. To swego rodzaju nagroda za lojalność wobec partii zamiast wobec własnego szefa.

W chwili ogłaszania prezydenckiego planu nic nie było przygotowane. Skończyło się na ogólnikach.

eprasa.pl c4240ca7a8

Dzisiaj wiemy, że prezydent chce zwykłego referendum konsultacyjnego, a więc nie „referendum konstytucyjnego", bo to określa odrębna ustawa, która miała zastosowanie tylko raz, przy projekcie konstytucji z 1997 r. Oznacza to, że aby referendum było wiążące – o ile nie zmieni się ustawa o referendum z 2003 r. – w głosowaniu musiałoby wziąć udział minimum 50 proc. uprawnionych. To ekstremalnie mało prawdopodobne. W przypadku referendum udało się to osiągnąć tylko raz – w 2003 r., gdy Polacy głosowali w sprawie przystąpienia naszego kraju do UE. Wtedy w ciągu dwóch dni udało się z trudem dobić do niespełna 59 proc.

Ostatnie referendum, ogłoszone przez Bronisława Komorowskiego, pobiło negatywny rekord frekwencji w skali europejskiej, mobilizując niecałe 8 proc. uprawnionych. Pomiędzy referendum Komorowskiego a referendum Dudy istnieje zresztą pewne podobieństwo. Komorowski wystąpił z pomysłem referendum pomiędzy dwiema turami wyborów prezydenckich, jak tonący chwytając się brzytwy. W przypadku projektu Dudy tak źle nie jest, bo dyskusja o zmianach w ustroju państwa po ponad 20 latach obowiązywania dotychczasowej ustawy zasadniczej ma sens, a od listopada 2018 r. do wyborów w roku 2020 jest sporo czasu, ale motywacja jest również w jakiejś mierze doraźna – budowa własnego obozu.

Andrzej Duda sam ograniczył sobie pole manewru, od razu wyraźnie zapowiadając, że głosowanie ma się odbyć w 2018 r. w okolicach Święta Niepodległości. Oznacza to, że na zdefiniowanie tematów referendalnych, wciągnięcie do dyskusji obywateli, zachęcenie ich do głosowania i wytłumaczenie, czego dotyczą pytania, prezydent ma około roku – bo czas wakacyjny można odrzucić. Jeśli chcielibyśmy rzetelnej i sensownej dyskusji, to bardzo mało. Szczególnie gdy Pałac Prezydencki nie ma na razie żadnego pomysłu, jak taką dyskusję zorganizować.

Zagadnienia ustrojowe są ze swej natury skomplikowane. Można je oczywiście sprowadzić do jednej kwestii ogólnej czy dwóch i to wydawałoby się najsensowniejsze. Można np. spytać, czy Polska powinna mieć nową konstytucję oraz „czy jesteś za zwiększeniem kompetencji prezydenta". Jednak prezydent – jak wynika z jego wypowiedzi – zamierza zasypać wyborców gradem pytań i wspomina o kilkunastu punktach. To rodzi dwa problemy. Po pierwsze – obywatele nie są kompetentni, aby wypowiadać się w bardziej szczegółowych kwestiach dotyczących ustroju. Po drugie – wyborca, widząc przed sobą listę kilkunastu pytań, albo się zniechęci, albo pozaznacza odpowiedzi przypadkowe. O ile w ogóle pójdzie głosować, bo perspektywa zmierzenia się z długaśną listą zagadnień podziała raczej zniechęcająco.

Największym zagrożeniem dla prezydenckiego pomysłu jest frekwencja. O sięgającej 50 proc. raczej nie ma co marzyć, chyba że głosowanie odbyłoby się łącznie z wyborami samorządowymi, ale na to raczej nie zgodzi się PiS.

Prezydent będzie mógł mówić o względnym sukcesie, jeśli w zorganizowanym całkowicie osobno głosowaniu weźmie udział przynajmniej 25 proc. uprawnionych. Jeśli skończy się na 10 czy 15 proc., to plan głowy państwa może okazać się niewypałem, który wybuchnie w jego własnym okopie. Paradoksalnie Andrzejowi Dudzie może pomóc opozycja, jeśli postanowi nawoływać do głosowania przeciwko zmianom, choć bardziej prawdopodobne jest, że przyjmie linię PiS z 2015 r. w sprawie referendum Komorowskiego i będzie namawiać swoich zwolenników do bojkotu.

UCIEC PRZED KLĘSKĄ

Dlatego obóz prezydenta chce postawić na triki, które zapobiegłyby frekwencyjnej klęsce. Pierwszy to czas głosowania, drugi – dobór kontrowersyjnych tematów. Głosowanie mogłoby być dwudniowe. Taki pomysł podczas spotkania w Pałacu Prezydenckim poparli przedstawiciele Ruchu Kukiz'15, których Andrzej Duda traktuje – choć na razie bardzo ostrożnie – jako potencjalnych sprzymierzeńców w budowie szerszego politycznego frontu. Inny pomysł rzucony przez kukizowców – umożliwienie głosowania przez Internet – nie spotkał się już jednak z dobrym przyjęciem. Klubowi Pawła Kukiza na pewno będzie zależało na tym, żeby wśród referendalnych pytań pojawiła się m.in. kwestia jednomandatowych okręgów wyborczych.

Drugi, mocno ryzykowny zabieg, to umieszczenie na karcie do głosowania kwestii budzących emocje i kontrowersyjnych, w tym socjalnych – tu dochodzi do głosu próba budowania przez prezydenta własnej relacji z Piotrem Dudą, szefem Solidarności. Byłoby jednak fatalnym pomysłem, aby głosowanie miało się odbyć częściowo pod dyktando związku zawodowego i aby miało zdecydować o kwestiach, takich jak granica wieku emerytalnego, które absolutnie nie powinny być umieszczane w ustawie zasadniczej.

W sprawie projektu referendalnego pomiędzy partią a prezydentem panuje szorstka przyjaźń. Prezes Kaczyński nie zamierza pomagać Andrzejowi Dudzie w budowaniu własnej pozycji, chyba że prezydent zgodziłby się na powrót i w tej sprawie do roli podrzędnej, a dysponentem pomysłu referendum ze wszystkimi konsekwencjami stałoby się jego macierzyste ugrupowanie. A trzeba pamiętać, że jakieś porozumienie obu podmiotów jest tutaj konieczne, bo referendum ogólnokrajowe zarządza wprawdzie prezydent, ale potrzebuje do tego zgody Senatu, wyrażonej bezwzględną większością głosów w obecności minimum połowy ustawowej liczby senatorów (art. 125 konstytucji).

Szorstkość tej przyjaźni widać również w tym, jak stanowczo prezydent podejmuje temat przekazania głowie państwa – w razie uchwalania nowej ustawy zasadniczej – rzeczywistych kompetencji w dziedzinie obronności, wskazując, że choć konstytucja czyni go zwierzchnikiem sił zbrojnych, nie ma faktycznych instrumentów do sprawowania tego zwierzchnictwa. Ten ton to skutek absolutnie fatalnych relacji między Antonim Macierewiczem a Pałacem Prezydenckim. Obecnie między oboma ośrodkami władzy trwa chłodne milczenie. Ustały nawet spotkania między szefem MON a szefem BBN Pawłem Solochem. Współpracownicy Andrzeja Dudy oceniają ministra obrony fatalnie, a sam Duda w rozmowach z Beatą Szydło miał wprost wspominać o konieczności zdymisjonowania Macierewicza.

Trzeba pamiętać, że w polskim prawie brak mechanizmu obligującego do realizacji wniosków z referendum konsultacyjnego. Teoretycznie można więc sobie wyobrazić, że referendum się odbywa, okazuje się wiążące, większość opowiada się za zmianą konstytucji i – nic dalej się nie dzieje. Andrzej Duda o ciągu dalszym, już po głosowaniu, mówi dziś bardzo mgliście.

Proponując referendum w sprawie ustroju, prezydent podjął ryzyko, ale ryzyko konieczne w jego sytuacji. Nadchodząca połowa kadencji to dla Andrzeja Dudy ostatni dzwonek, aby zacząć tworzyć własną bazę polityczną na rok 2020. Prezydent ryzykuje jednak w ten sposób nie tylko własną pozycję, lecz także – w razie porażki tego pomysłu – porzucenie na dłuższy czas bardzo potrzebnej debaty o zmianie polskiej konstytucji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c4240ca7a8

Sławomir Cenckiewicz

Likwidacja tajnego zbioru zastrzeżonego IPN. Tak Polska dekonspiruje obcą agenturę – wywiad PRL

Koniec „Zetki”

Po roku od wejścia w życie znowelizowanej ustawy o IPN (16 czerwca 2016 r.) możemy optymistycznie ogłosić: tajny zbiór zastrzeżony przestał istnieć! Jednak konsekwencje kilkunastoletniego istnienia tego zbioru, jak też opieszałości, z jaką do sprawy ustawowej likwidacji „Zetki” w ostatnim roku podeszły tajne służby, potrwają jeszcze przynajmniej parę miesięcy.

Artykuł 19 ustawy o IPN z 29 kwietnia 2016 r. przesądził o sprawie likwidacji „Zetki”. Przyjęte zapisy były dość precyzyjne: „1. 1) Szef Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Szef Agencji Wywiadu – w porozumieniu z Ministrem Koordynatorem Służb Specjalnych, 2) Minister Obrony Narodowej, 3) Komendant Główny Straży Granicznej – w odniesieniu do dokumentów wytworzonych przez byłe Wojska Ochrony Pogranicza – w terminie 12 miesięcy od dnia wejścia w życie niniejszej ustawy dokonają przeglądu dokumentów znajdujących się w wyodrębnionym, tajnym zbiorze w archiwum Instytutu Pamięci. 2. W ramach przeglądu dokumentom, o których mowa w ust. 1, może zostać nadana klauzula tajności w trybie i na zasadach określonych w ustawie z dnia 5 sierpnia 2010 r. o ochronie informacji niejawnych (Dz.U. z 2010 r. poz. 1228, z 2015 r. poz. 21, 1224 i 2281 oraz z 2016 r. poz. …). Podczas przeglądu dokumenty nie podlegają udostępnieniu na zasadach ogólnych. Prezes Instytutu Pamięci nadaje klauzulę tajności i zapewnia warunki ochrony tym dokumentom. 3. Dokumenty określone w ust. 1, którym w ramach przeglądu

eprasa.pl c4240ca7a8

FOT. WOJTEK STRÓŻYK/REPORTER

nie nadano klauzuli tajności, stają się dokumentami jawnymi i podlegającymi udostępnieniu na bieżąco, po dokonaniu przeglądu, nie później niż w terminie przewidzianym w ust. 1."

A zatem po pierwsze, tajne służby i nadzorujący je ministrowie (koordynator i minister obrony narodowej) mieli rok na przegląd dokumentów znajdujących się w „Zetce" i wytypowanie, które z nich powinny – ich zdaniem – pozostać tajne, a które ujawnione, co powinno zostać pisemnie uzasadnione. Po drugie, ostatecznym weryfikatorem stanowiska służb i ministrów jest prezes IPN, który w tym celu powołał czteroosobową komisję pochylającą się nad każdym dokumentem (nie tylko teczką) typowanym przez służby i ministrów do utajnienia. Po trzecie, dokumenty, co do których służby nie zajęły stanowiska lub których nie zdążyły przejrzeć, z mocy prawa po 16 czerwca stają się automatycznie jawne i nie dalej jak po tej dacie powinny zostać udostępnione badaczom.

NIEPOKOJĄCO WYBOISTY PROCES

Ważnym doprecyzowaniem powyższych ustawowych zasad likwidujących „Zetkę" było posiedzenie Kolegium IPN w dniu 19 września 2016 r. Poza prezesem IPN Jarosławem Szarkiem w posiedzeniu uczestniczyli: Antoni Macierewicz, minister obrony narodowej; Mariusz Kamiński, minister koordynator służb specjalnych, członek Rady Ministrów; prof. Piotr Pogonowski, szef Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego; Tomasz Zdzikot, podsekretarz stanu MSWiA, oraz gen. bryg. straży granicznej Jacek Bajger, zastępca komendanta głównego straży granicznej; płk Krzysztof Gawęda, dyrektor Biura Ochrony Informacji Komendy Głównej Straży Granicznej; ppłk Piotr Rosłaniec, naczelnik Wydziału Ewidencji i Przetwarzania Danych Zarządu Operacyjno-Śledczego KG SG.

Wspólnie ustaliśmy, co zostało nawet uwzględnione w upublicznionym komunikacie, że „do 31 marca 2017 r. zakończony zostanie przegląd materiałów byłego zbioru wyodrębnionego IPN". Chodziło o to, by po zakończonym przeglądzie dokumentów w zbiorze wyodrębnionym przez tajne służby, w okresie od 1 kwietnia do 16 czerwca, rozstrzygnąć wszelkie spory dotyczące wniosków o ewentualne ponowne utajnienie wybranych materiałów pochodzących z „Zetki". Jednak termin 31 marca minął, a IPN nie otrzymał od służb jakiegokolwiek wniosku będącego efektem prowadzonego przeglądu, nie licząc wzorowego zachowania straży granicznej, która nawet przed czasem dokonała przeglądu, ujawniając de facto całość „swojego" zasobu po Wojskach Ochrony Pogranicza. W tym samym czasie IPN publikował uaktualnione inwentarze uwzględniające tysiące teczek, które już opuściły zbiór zastrzeżony i zostały ujawnione (zazwyczaj jeszcze w latach 2015–2016).

Potrzebne więc było porządkujące posiedzenie Kolegium IPN w dniu 25 kwietnia, w którym uczestniczyli: Antoni Macierewicz, minister obrony narodowej; Mariusz Kamiński, minister koordynator służb specjalnych, członek Rady Ministrów; prof. Piotr Pogonowski, szef Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego; Piotr Krawczyk, szef Agencji Wywiadu, przedstawiciel gen. bryg. Andrzeja Kowalskiego, szefa Służby Wywiadu Wojskowego; Piotr Bączek, szef Służby Kontrwywiadu Wojskowego, oraz płk SG Marek Łapiński, komendant główny straży granicznej.

Z przerażeniem słuchaliśmy na forum kolegium wypowiedzi niektórych przedstawicieli służb zapowiadających sformułowanie wniosków o utajnienie poważnej części zasobu. W każdym razie były to

Andrzej Madejczyk, agent „Lakar", który działał na Zachodzie FOT. IPN

tylko zapowiedzi, a ministrowie nadzorujący służby dali słowo, że „do 20 maja 2017 r. ministrowie koordynujący działania służb, w których gestii pozostają materiały z b. zbioru wyodrębnionego, przedstawią rekomendacje dotyczące ewentualnego nadania klauzuli tajności wybranym dokumentom" (cytat z komunikatu Kolegium IPN z 25 kwietnia 2017 r.).

RZECZYWISTOŚĆ

Jednak i ten termin nie został dotrzymany, co stawiało instytut w trudnej sytuacji, gdyż stało się oczywiste, że do 16 czerwca nie będziemy w stanie uporać się z „Zetką", czyli ustalić konkretnie, które z dokumentów są jawne, a które tajne, nie mówiąc już o ich archiwalnych opracowaniach,

eprasa.pl c4240ca7a8

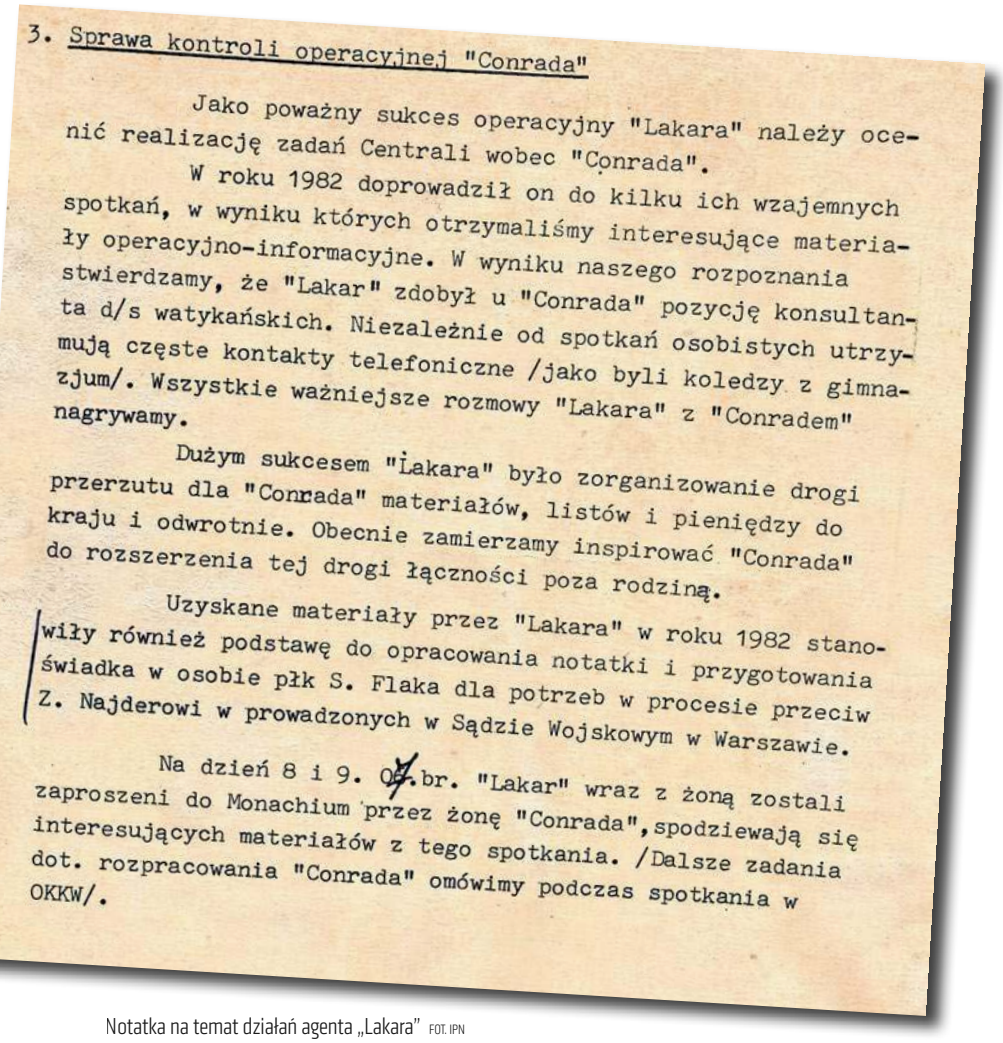

3. Sprawa kontroli operacyjnej "Conrada"

Jako poważny sukces operacyjny "Lakara" należy ocenić realizację zadań Centrali wobec "Conrada".

W roku 1982 doprowadził on do kilku ich wzajemnych spotkań, w wyniku których otrzymaliśmy interesujące materiały operacyjno-informacyjne. W wyniku naszego rozpoznania stwierdzamy, że "Lakar" zdobył u "Conrada" pozycję konsultanta d/s watykańskich. Niezależnie od spotkań osobistych utrzymują częste kontakty telefoniczne /jako byli koledzy z gimnazjum/. Wszystkie ważniejsze rozmowy "Lakara" z "Conradem" nagrywamy.

Dużym sukcesem "Lakara" było zorganizowanie drogi przerzutu dla "Conrada" materiałów, listów i pieniędzy do kraju i odwrotnie. Obecnie zamierzamy inspirować "Conrada" do rozszerzenia tej drogi łączności poza rodziną.

Uzyskane materiały przez "Lakara" w roku 1982 stanowiły również podstawę do opracowania notatki i przygotowania świadka w osobie płk S. Flaka dla potrzeb w procesie przeciw Z. Najderowi w prowadzonych w Sądzie Wojskowym w Warszawie.

Na dzień 8 i 9. 05.br. "Lakar" wraz z żoną zostali zaproszeni do Monachium przez żonę "Conrada", spodziewają się interesujących materiałów z tego spotkania. /Dalsze zadania dot. rozpracowania "Conrada" omówimy podczas spotkania w OKKW/.

Notatka na temat działań agenta „Lakara" FOT. IPN

konserwacji i ustawowym udostępnieniu (zszyciu, spaginowaniu, odgrzybieniu, wciągnięciu na ewidencję zbioru ogólnego itd.). Część opinii publicznej – zwłaszcza w mediach społecznościowych – zaczęła krytykować IPN, jak gdyby to instytut opóźniał proces ujawniania zawartości „Zetki". Tymczasem IPN wciąż czekał na stanowisko służb, które niemal do ostatnich godzin przed 16 czerwca wciąż przeglądały materiały i kartoteki bezpieki cywilnej oraz wojskowej znajdujące się w tajnym zbiorze.

W tygodniu poprzedzającym magiczną datę ostatecznego końca „Zetki" do IPN zaczęły wreszcie wpływać rekomendacje służb (zatwierdzone przez ministra koordynatora służb specjalnych i ministra obrony narodowej) o ponowne utajnienie materiałów: 69 wniosków szefa Agencji Wywiadu dotyczących 173 jednostek archiwalnych (co stanowi 2,7 proc. stanu zbioru AW na dzień 16 czerwca 2016 r.), dziewięć wniosków szefa ABW dotyczących aż 1454 sygnatur (co stanowi ok. 14 proc. stanu zbioru ABW na dzień 16 czerwca 2016 r.), wnioski Służby Wywiadu Wojskowego dotyczące wyłączenia konkretnych dokumentów bądź utajnienia 260 teczek (w tym 116 jednostek archiwalnych w całości) i wnioski Służby Kontrwywiadu Wojskowego dotyczące 73 jednostek archiwalnych. A liczba teczek, o których utajnienie prosiły służby wojskowe, i tak diametralnie się zmniejszyła po analizie oraz weryfikacji osobiście dokonanej przez ministra Macierewicza.

Lektura niektórych wniosków służb o ponowne utajnienie materiałów bywa czasem zaskakująca, niepokojąca i nierzadko budzi sprzeciw

Opieszałość służb sprawiła, że IPN dopiero teraz mógł przystąpić do weryfikacji sformułowanych wniosków, przez co ostateczne rozstrzygnięcia (prezesa IPN) w sprawie dokumentacji po byłym zbiorze wyodrębnionym rozciągną się przynajmniej na kilka miesięcy.

WERYFIKACJA I PRZEGLĄD

Wspomniana wcześniej czteroosobowa komisja złożona z trojga archiwistów IPN (Marzena Kruk, Witold Bagieński i Mariusz Kwaśniak) i jednego członka Kolegium IPN (Sławomir Cenckiewicz), która przedkłada prezesowi instytutu rekomendacje w sprawie wniosków skierowanych przez ministrów nadzorujących służby cywilne i wojskowe, do dziś uporała się dopiero z materiałami będącymi w gestii Agencji Wywiadu i częściowo Służby Wywiadu Wojskowego. To proces bardzo pracochłonny i żmudny. Każdą z teczek lub dokument, o których utajnienie prosi tajna służba, jesteśmy zobligowani przeanalizować, porównać z zasobem IPN już ujawnionym, nierzadko zweryfikować również przez pryzmat źródeł otwartych (pod kątem tego, czy dana osoba lub sprawa nie została już wcześniej opisana w Polsce lub za granicą) i zestawić z pisemnym uzasadnieniem sporządzonym przez funkcjonariuszy służb. Pracujemy kilka długich dni, a zweryfikowaliśmy dopiero nieco ponad 200 jednostek archiwalnych. Upraszczając – pozostały przynajmniej 2 tys.! Dyskutujemy, przygotowujemy własne stanowisko, ale decyzję pozostawiamy – zgodnie z przepisami ustawy – prezesowi IPN. Mogę nadmienić, że lektura niektórych z przedłożonych uzasadnień (choć do wymogu sporządzenia pisemnego uzasadnienia niektóre ze służb się w zasadzie nie zastosowały), mających przemawiać za ponownym utajnieniem niektórych materiałów, bywa czasem – delikatnie mówiąc – zaskakująca, niepokojąca i nierzadko budzi nasz sprzeciw.

Nie sposób pisać o tym konkretnie z uwagi na tajność przesłanych do IPN uzasadnień. Mogę jednak stwierdzić, że zapewnienia rzecznika prasowego ministra koordynatora służb specjalnych Stanisława Żaryna, iż „żaden z dokumentów, o których utajnienie wnioskują szefowie służb cywilnych, nie dotyczy działań służb i ich współpracowników wymierzonych w opozycję antykomunistyczną", a jedynie – tak jak w przy-

eprasa.pl c4240ca7a8

padku Agencji Wywiadu – „tajnych współpracowników z krajów obcych, którzy współpracowali ze służbami również po 1990 r., a ich ujawnienie mogłoby być ze szkodą dla państwa albo narażać ich na niebezpieczeństwo" oraz „działań wywiadu technologicznego służb specjalnych PRL", których ujawnienie „mogłoby narazić Skarb Państwa na odpowiedzialność za działania komunistycznych służb", uważam za niezbyt trafnie oddające rzeczywistość archiwalną, z którą obecnie staramy się w IPN uporać. Wierząc w to, że część wniosków przesłanych przez służby zostanie negatywnie rozpatrzona przez prezesa IPN po rekomendacji powołanej przez niego komisji, będzie można powrócić do dyskusji na temat konkretnych jednostek archiwalnych, które zdaniem tajnych służb powinny wciąż pozostać tajne.

SUKCESY I ROZCZAROWANIA

Niewątpliwie do największych sukcesów całego procesu likwidacji „Zetki" zalicza się ujawnienie przez Agencję Wywiadu (nie bez początkowych oporów) wielotomowej sprawy Andrzeja Madejczyka ps. Lakar – agenta i pracownika pionu nielegałów Departamentu I MSW, który od 1963 r. do końca istnienia PRL (a nawet dłużej) realizował zadania wywiadowcze na Zachodzie. Jest nam znany przede wszystkim z historii o. Stanisława Hejmy, którego ze sobą związał, ale dominikanin był zaledwie „płotką" w arsenale „Lakara", co zresztą każe nam krytycznie spojrzeć na mechanizm ujawnienia akurat sprawy „Hejnała" w kwietniu 2005 r. (przy utrzymywaniu w tajemnicy całości akt Madejczyka). „Lakar" skutecznie związał ze sobą kilkadziesiąt często wpływowych osób – watykańskich duchownych, działaczy emigracyjnych i opozycjonistów wyjeżdżających z PRL, rozmawiając z nimi, nawiązując przyjaźnie, nagrywając ich, wypłacając im pieniądze, występując pod „legendą" przyjaciela Polski, Kościoła i reprezentanta zachodnioniemieckich tajnych służb. Wśród tych osób byli ks. Janusz Bolonek z Sekretariatu Stanu Stolicy Apostolskiej (przyszły arcybiskup i nuncjusz apostolski w kilku krajach) czy Zdzisław Najder, którego z czasem „Lakar" traktował jako swoje źródło informacji, inspirując jego działania (niezależnie od tego, że w tym samym czasie skazano Najdera na karę śmierci w 1983 r.).

Tego typu sprawy są niezwykle pouczające i pozwalają zajrzeć w głąb komunistycznego podstępu oraz zła. Ich ujawnienie jest naszym wielkim sukcesem. Być może zresztą „Zetka" opiera się na kilku tego typu fundamentalnych tajemnicach. Jednak radość z faktu ujawnienia „Lakara" nie może przesłaniać nam nieco smutniejszej strony obecnej rzeczywistości. Obecnie likwidacja „Zetki" jest już w zasadzie trzecim (po 1992 r. i latach 2005–2007) podejściem do całkowitego ujawnienia spuścizny archiwalnej po komunizmie.

Pierwsza próba zakończyła się dramatyczną klęską w nocy 4 czerwca 1992 r. w wyniku potężnego uderzenia agentury. Druga próba sparaliżowana została koalicją rządową z wrogiem wewnętrznym, który często za kulisami wiązał się z ludźmi dawnego reżimu. Wreszcie jest i trzecia próba, która nie tylko daje nam możliwość, lecz także nakłada obowiązek likwidacji tej pępowiny (jak mawia prezes IPN) łączącej wolną Polskę z PRL.

Porażka czy niewypełnienie zobowiązań na polu ostatecznej likwidacji „Zetki" byłyby klęską zadaną samemu sobie. Opóźnienie jawności z kolei oznacza opóźnienie oczyszczania instytucji publicznych – od przeżartego, przez sowieciarzy o rodowodzie MGIMO (Moskiewski Państwowy Instytut Stosunków Międzynarodowych) MSZ, aż do samorządów i korporacji zawodowych. A przecież likwidacja „Zetki" to zaledwie jeden z warunków, to początek, który zajął nam już łącznie półtora roku!

Czcimy żołnierzy niezłomnych. I słusznie! Byli wyklęci i zapomniani często przez tych, którzy dzisiaj bronią status quo w nadziei, że jakieś kłopoty wewnętrzne, pomoc libertyńskiej zagranicy, a choćby i ręka Rosji odwrócą wyborców od obecnej większości parlamentarnej. Nie wolno zatem czekać. Każdy dzień trwania „Zetki" należy traktować jako dzień stracony – bo ujawnienie zasobu jest zaledwie początkiem prac nad znaczeniem spraw ujawnionych i przystąpieniem do zasadniczej pracy – osądu totalitaryzmu!

Skąd ten ogromny, a nawet histeryczny opór? Ponieważ wielu z tych, którzy chcieli odejść od komunizmu, liczyło na słodkie życie w postkomunizmie i nie chce sporządzenia całościowego rachunku. Patronami tego oporu byli Mazowiecki, Geremek czy Kuroń – ludzie uwikłani, którzy wcale nie chcieli sądu nad komunizmem, tylko „pojednania" katów z ofiarami, bo sami byli sługami tych pierwszych.

Pamiętajmy, że likwidując „Zetkę", dekonspirujemy obcą agenturę (nawet wtedy, kiedy wydaje się nam, że wywiad PRL ukradł „dla nas" jakieś technologie na Zachodzie), bo – jak pisał płk Ignacy Matuszewski – „komunizm »polski« nigdy nie był polski – zawsze był antypolski". I dodawał, że „kolaboracja z komunistami wszędzie na świecie jest błędem. Kolaboracja z komunistami w Polsce jest więcej niż błędem – jest szaleństwem".

Andrzej Madejczyk ps. Lakar z żoną (z prawej) i z Leszkiem Moczulskim, liderem KPN FOT. IPN

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c4240ca7a8

Marcin Makowski

Atak na premier Szydło po przemówieniu w niemieckim nazistowskim obozie Auschwitz to element większej gry przeciw polskiej polityce historycznej

Wrabiają nas w Holokaust

Po przemówieniu Beaty Szydło w Auschwitz 14 czerwca wylało się całe morze komentarzy, opinii, interpretacji i świętego oburzenia, do którego sygnał z Brukseli wysłał „stroniący od polskiej polityki" Donald Tusk. – Auschwitz to lekcja tego, że należy uczynić wszystko, aby uchronić swoich obywateli – powiedziała premier. I choć niemal te same słowa przy innych okazjach wygłaszał prezydent Andrzej Duda, premier Izraela Beniamin Netanjahu, a chwalił je były przewodniczący Knesetu Szewach Weiss, nie wystarczyło. Również tłumaczenie przedstawicieli Forum Żydów Polskich, którzy nie dopatrzyli się przypisywanego przez opozycję kontekstu pochwały polityki rządu w sprawie uchodźców, puszczano mimo uszu. Dziennikarz „Gazety Wyborczej" Paweł Wroński skwitował, że PiS jeśli zechce, to poprosi o komentarz „swoich Żydów" i wszystko przekręci. Tymczasem jak mało która wypowiedź polityka w ostatnich latach to właśnie słowa premier – celowo wyrwane z kontekstu długiego przemówienia i obchodzonej wtedy rocznicy – posłużyły wielu politykom, działaczom opozycyjnym i zagranicznym mediom do zaprzęgnięcia Auschwitz w lansowanie własnych celów politycznych. Ignorancja historyczna albo raczej cynizm sprawiły, że przez chwilę obnażyli oni miałkość swojej argumentacji, a w niektórych przypadkach również prawdziwe intencje.

Z HISTORIĄ NA BAKIER

Właściwie nikt z komentujących wypowiedź o lekcji wypływającej z Auschwitz oraz konieczności obrony swoich obywateli nie zwrócił uwagi, że słowa te padły nie 27 stycznia, gdy są świętowane rocznica oswobodzenia obozu koncentracyjnego oraz Międzynarodowy Dzień Pamięci o Ofiarach Holokaustu, ale 14 czerwca – czyli w 77. rocznicę pierwszego polskiego transportu więźniów do Auschwitz. Właśnie o nich mówiła przez 10 minut przemówienia premier Szydło. To klęska 1939 r. sprawiła, że niemiecki okupant mógł wybudować na naszej ziemi obóz koncentracyjny, a w dzisiejszych niespokojnych czasach, trzeba przede wszystkim bronić granic, aby nie dopuścić do powtórzenia się historii.

„Któryś z komentujących poszedł za logiką zawartą w słowach Szydło i zapytał: »Premier Szydło chce robić obozy koncentracyjne dla uchodźców?!«. Bo jak to inaczej czytać? Że chodzi o ochronę Żydów, których kto miał obronić jako »swoich obywateli«? Nieistniejący jeszcze wtedy Izrael? Pokonana Polska? Ktoś jeszcze?" – oburzał się Sławomir Sierakowski, tym samym przyznając, że zarówno on, jak i chór powtarzających podobne frazy komentatorów nie ma pojęcia, przy okazji jakiego wydarzenia wypowiadała się premier. Dla wielu Auschwitz ma jedynie kontekst męczeństwa Żydów i każde odstępstwo od tej narracji traktują w kategoriach obrazoburczych. Również Jan Cienski, dziennikarz magazynu „Politico", gdy zwrócono mu uwagę, że w tekście o przemówieniu premier Szydło zawarł kłamstwo, nazywając Auschwitz „więzieniem politycznym dla Polaków", nie miał pojęcia, w czym jest problem. Oficjalny

FOT. JACEK BEDNARCZYK/PAP

eprasa.pl c4240ca7a8

profil Muzeum Auschwitz na Twitterze wszedł z dziennikarzem w polemikę, zauważając, że obóz ten nie pełnił funkcji więzienia politycznego, ale służył do fizycznej eliminacji polskich elit, a następnie ludności żydowskiej. Niezrażony przytaczaną argumentacją Cienski odpisał, że charakter koncentracyjny Auschwitz przejawiał się jedynie w traktowaniu Żydów. A polskie ofiary w 1940 r.? Cóż „[…] w więzieniach politycznych w Syrii czy Związku Radzieckim też ginęło dużo osób, a nie były to obozy śmierci" – stwierdził.

TROPIENIE „POLSKIEGO NAZIZMU"

W percepcji międzynarodowej jednoznaczne uwikłanie „kontrowersyjnego" zdania z przemówienia premier Beaty Szydło w historię o „mieszaniu Zagłady do obrony własnej polityki imigracyjnej", odbiło się echem od „The Washington Post" do „Frankfurter Rundschau". Zawsze bez treści przemówienia, znaczenia rocznicy i z pominięciem narodowości ofiar obozu zagłady. „Słowa polskiej premier w Auschwitz, że Polska musi przede wszystkim bronić bezpieczeństwa swoich obywateli, pasują jak ulał do nowej polityki historycznej Warszawy. Chodzi o to, by przedstawić Holokaust jako czysto niemiecką zbrodnię, w której Polska nie miała udziału" – napisał we wspomnianym niemieckim dzienniku Arno Widmann. Dziennikarz, który zasłynął w 1987 r. inspirowanym przez KGB wywiadem z NRD-owskim profesorem, który przekonywał, że za epidemią AIDS stoją Amerykanie, wysłał jasny sygnał, który odczytali również komentatorzy znad Wisły. Nie trzeba było długo czekać, aby rozpoczęło się tropienie „polskiego nazizmu" – od tekstu „Gazety Wyborczej" z Gdańska o lalkach na wystawie sklepu patriotycznego, które unosząc lewą (sic!) rękę, „wyglądają jakby wykonywały gest »heil Hitler«", do Jacka Żakowskiego, który stwierdził, że przemówienie szefowej rządu było „pochwałą nazizmu".

Swoje pięć złotych dorzucił Adam Bodnar. Rzecznik praw obywatelskich, komentując tekst Widmanna, przyznał, że, owszem, za Holokaust byli odpowiedzialni Niemcy. „Natomiast musimy pamiętać, że wiele narodów współuczestniczyło w realizowaniu Holokaustu. W tym, o czym mówię z ubolewaniem, także naród polski" – zaznaczył. Tym samym wpisał się on w coraz popularniejszą na Zachodzie narrację, że Shoah było zbrodnią o genezie niemieckiej, ale ręce pobrudzili sobie wszyscy, a szczególnie Polacy. Już rok temu w głośnym i opublikowanym w ramach Project Syndicate tekście izraelski politolog i filozof Shlomo Avineri zaatakował Ministerstwo Sprawiedliwości, zarzucając mu „zbrodnie przeciwko historii" właśnie za to, że ośmiela się ono penalizować używanie zwrotu o polskich obozach zagłady.

Tym samym atak na Beatę Szydło stał się jedynie pretekstem do powielenia użytecznego dla wielu kłamstwa o ogromnej na tle Europy skali polskiego antysemityzmu oraz zrzucenia odpowiedzialności z barków kolaborującego na masową skalę z III Rzeszą Zachodu. Tymczasem nigdy dość powtarzania, że Holokaust to systematyczna i realizowania przy udziale aparatu państwowego próba wymordowania całych narodów przy użyciu metod przemysłowych, a nie udział tej czy innej osoby w indywidualnej zbrodni przeciwko Żydom. Te się w okupowanej Polsce zdarzały, nie można odwracać od nich głowy, natomiast państwo, którego instytucje rządowe, armię, szkoły i uniwersytety rozwiązano, nie mogło być współwykonawcą niemieckiego planu Zagłady. Właśnie dzięki tej próżni po polskich strukturach państwowych możliwe było zorganizowanie bezprecedensowej skali mordu, awykonalnego np. w okupowanych Belgii, Holandii, Danii czy Francji.

Dla wielu Auschwitz ma jedynie kontekst męczeństwa Żydów i każde odstępstwo od tej narracji traktują w kategoriach obrazoburczych

ZŁE MUZEUM, ZŁA PAMIĘĆ

Na koniec warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt nagonki, którą rozpętało zdanie premier o konieczności obrony swoich obywateli. Jak mówiła Beata Szydło: „[…] dla tych zbrodni nienawiści nie ma i nigdy nie będzie usprawiedliwienia. Dlatego tak ważne jest przekazywanie prawdy o tamtych tragicznych wydarzeniach". Co jest tą zapomnianą prawdą w kontekście Auschwitz? „Ci, którym udawało się zbiec z obozu w Auschwitz, znajdowali schronienie w okolicznych gospodarstwach. Dlatego nie możemy zapomnieć o dzielnych mieszkańcach okolicznych miasteczek i wiosek, którzy dzielili się z więźniami obozu chlebem i wiarą w lepsze jutro. To bezimienni bohaterowie, którzy stawiali heroiczny opór niemieckim okupantom, nie godząc się na ich barbarzyństwo. Te fakty trzeba pokazywać, bo w tamtych mrocznych czasach nie brakowało ludzi dobrej woli i dzisiaj chcemy ich uhonorować" – usłyszeliśmy z ust szefowej rządu, która zapowiedziała utworzenie Muzeum Sprawiedliwych. Zdaniem cytowanego już Sławomira Sierakowskiego sam fakt utworzenia podobnej instytucji może być „jeszcze większą kompromitacją" niż rzekome słowa usprawiedliwiające niewpuszczanie do Polski imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki.

„[…] rząd postanowił zainaugurować Muzeum Sprawiedliwych spod Auschwitz, mimo że działa już Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau, które zignorował i którego nie zapytał nawet o zdanie. Szykuje się podobna akcja do przejęcia Muzeum Historii II Wojny Światowej w Gdańsku, gdy na chybcika powołano drugie Muzeum Westerplatte, żeby je połączyć i w ten sposób odwołać władze pierwszego i zmienić wystawę. Po co jeszcze jedno muzeum w Oświęcimiu?" – pyta lewicowy publicysta. I błyskawicznie sam sobie odpowiada: „Przypominanie światu o tym, kto jest katem, a kto ofiarą, przypomni światu tylko tyle, że w Polsce rządzą ci, którzy potrafią robić z siebie tylko i wyłącznie bohaterów, do win żadnych się nie przyznają. Tylko nie wiadomo, dlaczego nie chcą pomóc nawet sierotom z Aleppo, skoro tak bez wyjątku pomagali wszystkim uciekającym Żydom". Właśnie tutaj boli wszystkich, którzy z jednego wyjętego z kontekstu zdania rozpętali międzynarodową aferę i urządzili zawody w tropieniu „polskiego nazizmu". „Gazeta Wyborcza" oskarżyła Beatę Szydło o „uprawianie polityki na największym cmentarzu Europy", tymczasem to właśnie ci, którzy najgłośniej lamentują, zrobili sobie z Auschwitz narzędzie do prowadzenia wojny podjazdowej. Sygnał miał pójść jasny: nawet jeśli Polacy ratowali Żydów i tak mają krew na rękach, dlatego dzisiaj niech siedzą cicho, biją się w piersi i cieszą się, że mogą być częścią Wspólnoty Europejskiej. Ten plan przynajmniej w kwestii ofensywy medialnej udał się z nawiązką.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c4240ca7a8

Wojciech Wybranowski

Rodzinny system

Rodzina M. do perfekcji opanowała mechanizm przejmowania nieruchomości w stolicy metodą na kuratora z Wysp Kanaryjskich. Głowa rodu stanie teraz przed komisją weryfikacyjną ds. reprywatyzacji

Po wielu miesiącach politycznych kontrowersji i awantur ruszają wreszcie prace weryfikacyjne specjalnej komisji ds. reprywatyzacji, która ma sprawdzić legalność przejęcia przez domniemanych spadkobierców lub ich pełnomocników kilkudziesięciu wartościowych nieruchomości w Warszawie, a także przyjrzeć się, czy kontrolne działania władz samorządowych w tym zakresie były prawidłowe i wystarczające. – Pierwszych decyzji administracyjnych wydanych przez komisję można się spodziewać w połowie lipca – uważa Sebastian Kaleta, prawnik, członek komisji.

Jako pierwszych komisja zamierza przesłuchać przede wszystkim byłych pracowników warszawskiego ratusza, którzy w aferze reprywatyzacyjnej usłyszeli już prokuratorskie zarzuty. Jak dowiedziało się „Do Rzeczy", wśród świadków znajdą się m.in. Gertruda J.F., była naczelnik Wydziału Spraw Dekretowych i Związków Wyznaniowych Biura Gospodarki Nieruchomościami Urzędu m.st. Warszawy, oraz Jerzy M., były wicedyrektor stołecznego BGN. Na czwartek zaplanowano przesłuchanie prezydent stolicy Hanny Gronkiewicz-Waltz. Ta już zapowiedziała, że się nie stawi, bo komisję uznaje za niekonstytucyjną.

– Nieobecność prezydent Gronkiewicz-Waltz nie wstrzyma prac komisji, takie są zasady postępowania administracyjnego. Natomiast jeżeli rzeczywiście na przesłuchaniu się nie pojawi, komisja zdecyduje, co zrobić, a jest kilka możliwości: od nałożenia grzywny finansowej do skierowania zawiadomienia do prokuratur – mówi „Do Rzeczy" wiceminister sprawiedliwości Patryk Jaki, przewodniczący komisji.

Zbyt wielkiego wyboru w sprawie stawienia się przed komisją nie będzie miał za to Maciej M., warszawski kupiec roszczeń, jeden z czołowych „reprywatyzatorów". Zdaniem prokuratury oszukał Skarb Państwa na co najmniej 46 mln zł. Przed komisję zostanie doprowadzony prosto z aresztu śledczego. Jedną z pierwszych rozpatrywanych spraw będzie próba przejęcia przez niego nieruchomości przy ul. Twardej 8 i 10 w stolicy.

BARON REPRYWATYZACJI

– Jestem mafioso, który działa w jakimś korupcyjnym układzie, pociąga za sznurki, a urzędnicy są jak marionetki. To absurd. Urzędnicy mnie nienawidzą – bulwersował się w 2015 r. Maciej M., występując przed sądem w procesie, który wytoczył stowarzyszeniu Miasto Jest Nasze za stworzoną przez aktywistów miejskich „mapę reprywatyzacji". Proces przegrał. Dwa lata później przyszli po niego funkcjonariusze CBA. Prokuratura postawiła mu zarzuty oszustw przy reprywatyzacji, a sąd zdecydował o tymczasowym aresztowaniu na trzy miesiące.

– Bez wątpienia Maciej M. jest jedną z ważniejszych osób w procesie dzikiej reprywatyzacji warszawskich nieruchomości. Udawało mu się zaskakująco wiele rzeczy, odzyskiwał najbardziej wartościowe działki przy zastanawiającej bierności urzędników, szybko otrzymywał korzystne dla siebie decyzje – mówi „Do Rzeczy" Jan Śpiewak, lider stowarzyszenia Wolne Miasto Warszawa.

Maciej M. na początku lat 90. był współwłaścicielem wrocławskiej firmy Aspro, a także prezesem klubu żużlowego Sparta ASPRO Wrocław. Zasiadał w radzie fundacji Semper Polonia w okresie, gdy patronat nad nią sprawował Aleksander Kwaśniewski. Do 2015 r. był też prezesem reaktywowanej przedwojennej spółki Monzap SA. Uruchomił ją jego współpracownik i prawnik Andrzej M. [nie są rodziną, mają inne na-

eprasa.pl c4240ca7a8

Rodzina M. na zreprywatyzowanym gruncie przy ul. Senatorskiej wybudowała biurowiec Business With Heritage

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

zwiska – przyp. red.], wykorzystując przy tym dokumenty wystawione rzekomo przez kuratora z karaibskich wysp Saint Kitts i Nevis, który miał reprezentować spadkobierców firmy. Spółka bezskutecznie próbowała przejąć 20 ha gruntu na dolnym Mokotowie, które przed wojną należały do tej firmy.

Aż do aresztowania w maju tego roku Maciej M. zakulisowo kierował spółkami Senatorska Investment, Szara Invest i Premium DS, skupującymi roszczenia spadkowe. Oficjalnie na czele tych firm stoi jego syn Maksymilian M., a za marketing odpowiada jego synowa.

OJCIEC, SYN I ADWOKAT

Maciej M. wspólnie z synem planowali m.in. przejęcie atrakcyjnych działek przy ul. Twardej 8 i 10 w Warszawie. Przed wojną stały tam kamienice należące wówczas do kilkorga żydowskich właścicieli. Stracili do nich prawo w 1957 r. na podstawie tzw. dekretu Bieruta. Gdy miasto zaczęło zwracać „dekretowe" nieruchomości, działkami przy Twardej 8 i 9 zainteresował się Maciej M. Przedstawił dokumenty, z których wynikało, że od dwojga spadkobierców uzyskał prawo do mniejszej części spadku. W grę włączył się też jego prawnik Andrzej M., na którego wniosek dla pozostałych – nieustalonych spadkobierców – wyznaczono kuratorów. Wśród nich pojawił się istniejący najprawdopodobniej wyłącznie na papierze, zagadkowy kurator Bartlett z wysp karaibskich Saint Kitts i Nevis, który swoje pełnomocnictwa przekazał Andrzejowi M. Ustalili kwoty, za jakie Maciej M. miał spłacić spadkobierców, i tak biznesmen został właścicielem praw do nieruchomości.

Do podpisania aktu przekazania własności jednak nie doszło, niespodziewanie pojawiła się bowiem pominięta w procesie rzeczywista spadkobierczyni dawnych właścicieli.

Maciej i Maksymilian M. wspólnie z prawnikiem Andrzejem M. próbowali też przejąć świetnie położoną działkę przy ul. Królewskiej 39 w Warszawie. I tu powtórzono manewr z jednym odnalezionym spadkobiercą – Andrzejem K., byłym wiceszefem Kancelarii Prezydenta Lecha Wałęsy, a także wyznaczonymi przez sąd kuratorami i tajemniczym prawnikiem z Karaibów – panem Bartlettem, który swoje uprawnienia przekazał prawnikowi Macieja M. Operacja udałaby się, gdyby nie fakt, że o odzyskanie nieruchomości walczył również Andrew Mossin, syn jednego ze spadkobierców, który wcześniej odmówił Andrzejowi M. sprzedaży praw do spadku. Gdy dowiedział się, że nieruchomość przeszła w ręce Maksymiliana, podniósł alarm, a Samorządowe Kolegium Odwoławcze unieważniło przekazanie majątku.

Maksymilian M. również został zatrzymany w aferze reprywatyzacyjnej i także usłyszał zarzuty udziału w oszustwie na szkodę Skarbu Państwa. Nie trafił jednak za kratki jak ojciec. – Syn Macieja M. występuje w wielu procesach reprywatyzacyjnych, ale nasze ustalenia wskazują, że odgrywa głównie rolę usługową dla swojego ojca. Był po prostu jego „słupem" – twierdzi nasz informator z CBA.

Zdecydowanie ważniejszą rolę w aferze reprywatyzacyjnej odgrywa prawnik Andrzej M. Po zatrzymaniu przez CBA jest tymczasowo aresztowany.

SIENNA, FOKSAL I PL. ZAMKOWY

Część zabiegów reprywatyzacyjnych Maciejowi M. z pomocą Andrzeja M. się udała. Przejął działkę przy Sali Kongresowej (ul. Sienna 29). Mechanizm był znów ten sam: kuratorzy mający reprezentować spadkobierców i tajemniczy kurator z Karaibów, który swoje pełnomocnictwa przekazał Andrzejowi M. Prawnik szybko ustalił warunki sprzedaży praw do działki Maciejowi M.

Ten sam prawnik pomógł Maciejowi M. pozyskać również prawa do działki – boiska przy ul. Foksal. Sprawę szczegółowo opisywała „Gazeta Wyborcza". Chodzi o teren, który przed wojną należał do spółki Robur. Kilka lat temu w niecodziennych okolicznościach likwidatorem majątkowych praw spółki stał się Andrzej M. Dziennikarzy przekonywał, że wynajęła go „nieżyjąca już" starsza kobieta. Mecenas przeprowadził „likwidację" spółki, a prawa do gruntów sprzedał Maciejowi M. Ponieważ na przejętym terenie znajduje się boisko szkolne, miejskie Biuro Gospodarki Nieruchomościami chciało spłacić Macieja M. innymi nieruchomościami. Oferta była dla biznesmena wyjątkowo korzystna. Za wycenioną przez urzędników BGN na 31 mln zł działkę Maciej M. miał otrzymać szacowaną na 16 mln zł działkę na pl. Defilad i wartą 26 mln zł działkę przy pomniku Kopernika przy Krakowskim Przedmieściu. Musiał tylko dopłacić różnicę – 11 mln zł. A to właśnie terenu przy pl. Defilad brakowało mu, by – mając już w ręku teren przy Sali Kongresowej – wybudować tam zapowiadany 220-metrowy wieżowiec.

Do transakcji wymiany nie doszło, bo w 2014 r. Ministerstwo Finansów ustaliło, że co najmniej jeden ze spadkobierców spółki Robur został już wcześniej spłacony.

Rodzina reprywatyzatorów wybudowała swój biurowiec (Business With Heritage) na pl. Zamkowym u zbiegu ul. Senatorskiej i Podwale. Prawa do tego terenu również skupili od spadkobierców i reprezentujących ich kuratorów.

Komisja reprywatyzacyjna w najbliższym tygodniu ma zakończyć badanie reprywatyzacji nieruchomości przy ul. Twardej. Później miasto będzie miało tydzień na ustosunkowanie się do decyzji komisji. Jeżeli złoży zastrzeżenia, komisja zbierze się, by je rozpatrzyć i wydać decyzję administracyjną. – Będziemy najszybciej pracującą instytucją państwową – zapowiada Patryk Jaki. – Najważniejsze dla nas będzie, by nie popełnić błędu, wytworzyć pewną praktykę działania.

W kolejnych terminach komisja zajmie się pozostałymi prywatyzacjami, w których uczestniczyli ojciec i syn M. oraz ich adwokat Andrzej M.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c4240ca7a8

FOT. HENRYK PRZONDZIONO/GOŚĆ NIEDZIELNY/FORUM

Mnich, który uratował Kościół

Tomasz P. Terlikowski

Ojciec Karol Meissner był niewątpliwie jednym z twórców wielkości polskiego Kościoła po II wojnie światowej

Ojciec Karol Meissner to legenda polskiego Kościoła. To on był duchem sprawczym najbardziej znanego przekładu Pisma Świętego na język polski, on był jednym z tych, którzy skłonili papieża Pawła VI do napisania encykliki „Humanae vitae", a potem wytrwale jej bronił. On odbudował klasztor benedyktyński w Lubinie, on wreszcie tworzył zręby katolickiego duszpasterstwa rodzin. A przy tym pozostał prostym, szczerym, pokornym mnichem, który – gdy dwa lata temu nagrywałem z nim programy dla telewizji Republika – nie tylko osobiście smażył dla mnie i dla ekipy jajecznicę, lecz także udał się na dyżur w kuchni, bo w grafiku zostało napisane, że ten blisko 90-letni starzec i mędrzec ma zmywać. Więc zmywał. Takim go zapamiętałem: przepasanego fartuchem, w benedyktyńskim habicie, cierpliwie myjącego talerze. To była dla mnie – choć rozmawialiśmy wiele godzin – najważniejsza lekcja z tego spotkania. Słowa były głębokie, ale czyny pokazywały, że nie były to tylko słowa, lecz postawa całego życia.

ZAPRZYJAŹNIENI Z DMOWSKIM

Korzenie rodzinne Wojciecha (bo takie było chrzcielne imię wybitnego benedyktyna, który imię Karol otrzymał w zakonie) Meissnera doskonale pokazują, że opowieść o tym, iż potęgę Polski, w tym także polskiego katolicyzmu, budowały środowiska chadecko-lewicowe, to zwyczajna bujda. Meissnerowie to bowiem rodzina silnie endecka. Ojciec Wojciecha był od samego początku zaangażowany w Lidze Polskiej, blisko współpracował z Romanem Dmowskim, a nawet gościł go w swoim dworku. Matka Halina z domu Lutosławska była córką znakomitego przedwojennego filozofa Wincentego Lutosławskiego i Sofii Casanova, którzy stanowili „zastępczą rodzinę" dla zajętego uprawianiem polityki „pana Romana". To u nich Dmowski odpoczywał, z ich córkami się bawił, z nimi dyskutował. Halina, matka ojca Karola, już gdy przywódca endecji był człowiekiem starym i schorowanym, mówiła mu na „ty" i nieustannie wspominała wspaniałe godziny zabaw.

Ciepły, intelektualny stosunek do Dmowskiego i jego dziedzictwa zachował zresztą aż do późnej starości także o. Karol – choć zgadzał się ze swoim ojcem, który narzekał, że „pan Roman nie miał zdolności do wybierania współpracowników" – jednocześnie podkreślał, że wciąż potrzebujemy tak głębokich analityków i ludzi, którzy tak mocno kochają Polskę. „Polska to nie było hasło, to była rzeczywistość, w której żyjemy. Tekst Dmowskiego, który pamiętam jako chłopak, z »Myśli nowoczesnego Polaka«: »Jestem Polakiem«. Myślę, że to jest bardzo cenny literacko tekst. Jestem Polakiem. Co to znaczy, że jestem Polakiem? Jestem odpowiedzialny za wszystko, co w Polsce jest wielkie, ale też za wszystko, co w Polsce jest haniebne. Z tego punktu widzenia, co mnie ogromnie razi, widzę wielkość Niemców w tym, że potrafią wziąć na siebie odpowiedzialność za Hitlera. Gdy się jedzie do Niemiec, to wszyscy wiedzą, że Hitler to jest ich Hitler. Nikt z nas w Polsce… Nie widzę, żeby [ktoś] brał odpowiedzialność za 40 lat. To byli Polacy. Czy nie jest prawdą, że UB to byli Polacy? To byli Polacy. W oczywisty sposób 2 mln członków partii było Polakami. Nikt z nas tego nie bierze… Uważam, że to jest moja rzeczywistość, jestem za to odpowiedzialny. To jest rzeczywistość, w której żyłem, i trzeba się do tego przyznać. To jest w tej chwili małość polskości, która u nas jest, że nie potrafimy wziąć na siebie odpowiedzialności za historię. A to była myśl nowoczesnego Polaka, że wszystko, co haniebne, też obciąża mnie osobiście" – mówił w wywiadzie udzielonym Muzeum Powstania Warszawskiego.

NAJBLIŻSI MI LUDZIE ZGINĘLI W POWSTANIU

Dzieciństwo, silnie naznaczone polityką, ale jeszcze bardziej medycyną (i ojciec, i wuj Meissnera byli lekarzami) spędził późniejszy benedyktyn w Poznaniu. Dzień przed wybuchem II wojny światowej rodzice zdecydowali jednak, że przeniosą się

eprasa.pl c4240ca7a8

do Warszawy, bo tam będą lepsze warunki do obrony przed Niemcami. W okupacyjnej Warszawie Wojtek Meissner uczył się w szkole handlowej, a także uczęszczał na nielegalne komplety, a gdy wybuchło powstanie, został – na prośbę wuja, który był komendantem powstańczego szpitala – sanitariuszem.

W czasie powstania stracił najbliższych przyjaciół, doświadczył śmierci Polski i świata, jaki znał. Wiele lat się z tym zmagał, i to właśnie te doświadczenia zaczęły w nim budzić powołanie zakonne i kapłańskie. „… z Powstania najbliżsi mi ludzie zginęli. Najbliższy mój przyjaciel wszedł do kanałów na Mokotowie i nie wyszedł z tych kanałów. Z naszej grupy dziesięciu, którzy uczyliśmy się razem, tylko trzech przeżyło. I ta straszliwa przemijalność wizji Polski! Myśmy jednak w czasie wojny, w czasie Powstania, żyli Polską, którą znaliśmy z dzieciństwa. Polska szkoła, wszystko, Polska była rzeczywiście wartością bardzo istotną dla nas. Ta Polska się zawaliła, bo to, co było potem, to wszystko, co dla nas było wielkie, okazało się, że jest do niczego. Co więcej, my, którzy takimi ideami żyliśmy, jesteśmy wrogami tej rzeczywistości. To dla mnie jest przemijalność świata" – opowiadał. I dodawał, że właśnie to zaczęło go pchać w kierunku zakonu. Zanim jednak to się stało, skończył liceum, medycynę i pracował jako lekarz. Aż pewnego dnia zdecydował się wstąpić do benedyktynów. Ojciec, choć w rodzinie nie brakowało księży, wcale nie był tym zachwycony. „To takie średniowieczne" – miał powiedzieć.

POSŁANNICTWO

Rok 1951 to moment, w którym Wojciech Meissner wstępuje do klasztoru Benedyktynów w Tyńcu. Rok później rozpoczyna nowicjat i przyjmuje imię Karol. 1 stycznia 1957 r. złożył śluby wieczyste. Młody benedyktyn początkowo wcale nie chce przyjmować święceń kapłańskich, a jego pragnieniem jest życie prostego mnicha (choć już wtedy udziela porad lekarskich mieszkańcom podkrakowskich miejscowości). Jednak po kolejnych ośmiu latach, nie bez wątpliwości, w 1965 r. przyjmuje święcenia kapłańskie. I angażuje się całym sercem w najważniejsze projekty ówczesnego Kościoła.

Pierwszym z nich jest nowe tłumaczenie Biblii na język polski, znane dziś pod nazwą „Tysiąclatki". Ojciec Meissner był jednym z jego inicjatorów i najwytrwalszych propagatorów, a krótko później kard. Karol Wojtyła prosi go o pomoc w tworzeniu dynamicznego duszpasterstwa małżeńskiego i poradnictwa. Mnich, lekarz oraz kapłan nie odmawia tej prośbie i również w to dzieło się angażuje. A później, wraz z kard. Wojtyłą i dr Wandą Półtawską, jest jednym z autorów „Memoriału krakowskiego", czyli dokumentu, który stał się jedną z podstaw późniejszej encykliki Pawła VI „Humanae vitae". To właśnie jego autorzy sprzeciwili się powszechnemu wówczas w zachodnim Kościele dążeniu do dopuszczenia antykoncepcji, a także przedstawili spójne uzasadnienie katolickiego sprzeciwu wobec sztucznych metod regulacji płodności. Kolejne lata to już służba Kościołowi w tej właśnie dziedzinie.

Ojciec Karol – o czym nie wolno zapominać – odbudowywał klasztor w Lubinie, dokąd w latach 70. się przeniósł i gdzie był proboszczem, przeorem, podprzeorem, mistrzem nowicjatu. Zawsze pozostawał człowiekiem niezmiernie skromnym, pokornym, gotowym do rozmowy, bycia z drugim i słuchania. Smażącym jajecznicę dla zupełnie obcych osób i wypełniającym dyżur w kuchni. Wiernym uczniem św. Benedykta.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

CITIZEN
Eco-Drive
Bluetooth™

W dobie gadżetów typu smart CITIZEN jak zwykle zaskakuje swoim innowacyjnym podejściem. Zegarki BZ1001-86E oraz BZ1006-82E łączą się ze smartfonem za pomocą technologii Bluetooth™, synchronizując w ten sposób wskazanie czasu na tarczy. Dzięki przeznaczonej do tego aplikacji CITIZEN połączenie to daje też możliwość ustawienia lokalnego czasu lub alarmu oraz kontrolowania poziomu naładowania zegarka. Smartwatch CITIZEN jest zasilany światłem za pomocą modułu Eco-Drive, więc nie wymaga wymiany baterii ani używania jakichkolwiek kabli czy ładowarek. Dzięki temu wskazówką, dźwiękiem lub za pomocą wibracji niezawodnie wskaże informacje o przychodzącym połączeniu lub powiadomienie o wiadomościach bądź mailach.

Dostępny w dwóch wariantach kolorystycznych:
BZ1001-86E (stalowy) oraz BZ1006-82E (czarny)

Cena: 1980 zł | **citizen.pl**

eprasa.pl c4240ca7a8

Letnia mapa radości

Łukasz Zboralski

Lista miejsc, w których w Polsce można się rozerwać z dziećmi, jest coraz dłuższa. A rosną już nowi giganci

W dostarczaniu rodzinnej rozrywki Europie daleko do Stanów Zjednoczonych i Azji. Wśród 25 miejsc najtłumniej odwiedzanych na świecie są zaledwie cztery europejskie parki.

Najwięcej ludzi bawi się w amerykańskim Magic Kingdom na Florydzie (20,4 mln rocznie), Disneylandzie (17,9 mln) i Tokyo Disneyland w Japonii (16,5 mln). Najwyżej notowany na tej liście europejski park znajduje się dopiero na 13. miejscu – to paryski Disneyland (8,4 mln gości rocznie). Oprócz niego w światowej czołówce są jeszcze Europa-Park w niemieckim Rust (5,6 mln), De Efteling w holenderskim Kaatsheuvel oraz Ogrody Tivoli w duńskiej Kopenhadze.

Pod względem parków rozrywki Polska dopiero zaczyna gonić Europę Zachodnią. Do nadrobienia mamy dużo. Gdy nasz kraj podzielony był jeszcze między zaborców, Duńczycy już bawili się w swoich kopenhaskich ogrodach (powstały w 1843 roku.). A najstarszy park zabaw – Bakken – który do dziś funkcjonuje na przedmieściach Kopenhagi w Klampenborgu, istnieje od 1583 roku!

WIELKIE NOWOŚCI W POLSCE

My mieliśmy nadzieję na wielkie parki w latach 90. To wtedy w Warszawie gigantyczne centrum rozrywki chciał budować Michael Jackson. I z tej, i z późniejszych zapowiedzi inwestycji nic nie wychodziło. Udawało się wszystkim dookoła. Niemcy zbudowali sztuczne plaże oceaniczne w berlińskim Tropical Island, Słowacy ściągają tłumy do gorących źródeł w Tatralandii, nawet Litwini w Druskiennikach mają ogromny aquapark i kryty, czyli całoroczny, stok narciarski. Na szczęście zanosi się na przełom.

Pod Warszawą buduje się Park of Poland – przyszły największy park rozrywki w kraju. Na początek powstanie gigantyczny aquapark, który dorównać ma berlińskiej Tropical Island, czyli tropikalnym plażom stworzonym pod dachami w gigantycznych halach. Waterland of Poland ma zająć ok. 20 ha. Tropikalna wyspa wraz z całym zadaszonym terenem mieścić ma 15 tys. osób naraz. Będą tam strefa relaksu z blisko tysiącem palm, park wodnej rozrywki z 30 zjeżdżalniami, basenem z morską falą i ze sztucznymi rzekami, a do tego saunarium z gabinetami odnowy biologicznej. Inwestorzy szacują, że w ciągu pierwszego roku przyjmą milion gości. A firma Global City Holdings ma jeszcze wokół 420 ha terenu, na którym w przyszłości zbudować chce park rozrywki z rollercoasterami, hotele i galerie handlowe.

Druga spora inwestycja powstaje koło Torzymia w województwie lubuskim, tuż przy autostradzie A2. Zagraniczni inwestorzy budują tam Majaland – park rozrywki firmowany postacią znanej z bajki pszczółki. Nie ukrywają, że park ma przyciągać wielu gości z Nie-

eprasa.pl c4240ca7a8

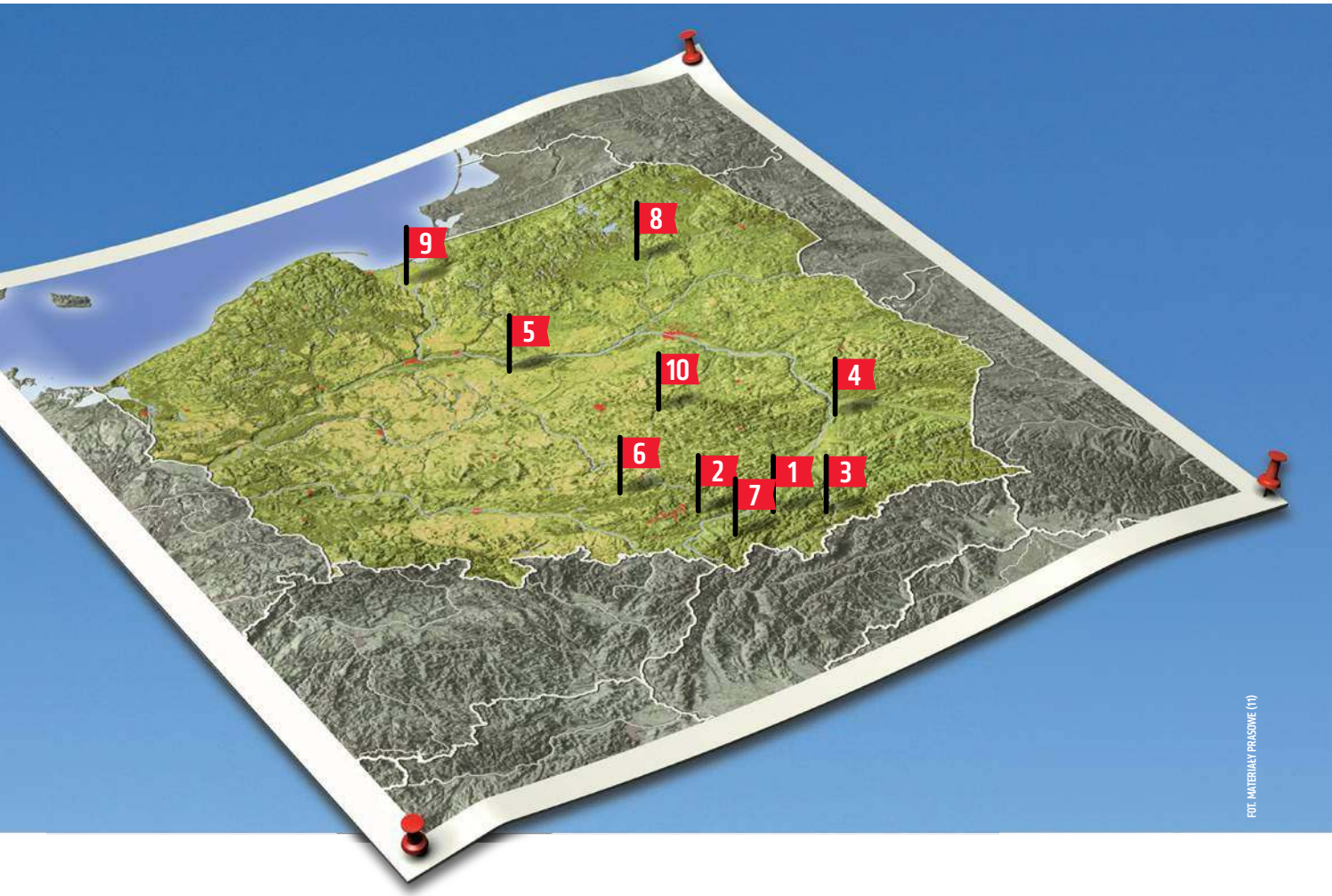

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (11)

miec, dlatego powstaje niecałe 50 km od granicy. Do dyspozycji gości będą kolejki górskie, place zabaw, restauracje i hotele. Rozpoczęcie działalności zapowiadane jest na grudzień tego roku.

Nowe atrakcje uzupełnią listę tych, które już w kraju działają. A jest ich dość dużo, choć część to niewielkie ośrodki, wyspecjalizowane tematycznie, które warto odkrywać na własną rękę. Wyliczmy więc te największe centra rozrywek, które można z rodzinami odwiedzić w Polsce:

1. ENERGYLANDIA (ZATOR)

To jeden z największych parków rozrywki w Polsce oferujący mnóstwo atrakcji na 26 ha dostępnych przy wykupieniu tylko jednego biletu wstępu. Park obejmuje cztery strefy: Bajkolandię (karuzele, autka i kolejki dla najmłodszych); Familijną (rollercoastery dla dzieci, wodne spływy, kolejka, autodrom), Ekstremalną (największe rollercoastery i wahadła z przeciążeniami sięgającymi 5 G) oraz Water Park (zespół basenów). W tym roku zapowiadana nowość – wodny rollercoaster.

2. LEGENDIA (CHORZÓW)

Jeden z najstarszych lunaparków w Polsce ma największy diabelski młyn w kraju. Do tego m.in. rollercoaster o wysokości 40 m, który rozpędza się do blisko 100 km/godz., zjazdy górską rzeką, ekstremalne wahadła, wirujące pionowe koło Phoenix, gondole kręcące się jak bęben pralki. W sumie ponad 40 atrakcji w kilku strefach tematycznych.

3. RABKOLAND (RABKA-ZDRÓJ)

Aż 16 ulic i sześć placów, a w całym miasteczku ponad 250 ruchomych figur. Teatr. W sumie 70 urządzeń rozrywkowych, w tym 34 karuzele. Koło widokowe, autodrom, wahadło-łódź wikingów, latający autobus, Straszny Dwór. A do tego do zwiedzania Dom Rekordów i Osobliwości. Co roku możliwość bicia rekordu w dojeniu sztucznej krowy i w dmuchaniu balonu z gumy do żucia.

eprasa.pl c4240ca7a8

4. BAŁTOWSKI KOMPLEKS TURYSTYCZNY (BAŁTÓW)

Pierwszy z polskich parków dinozaurów, zajmujący ponad 100 ha. Modele dinozaurów naturalnej wielkości w JuraParku. Muzeum Jurajskie ze skamielinami. Godwana – miejsce zabaw i animacji nawiązujące do paleontologii oraz prehistoryczne oceanarium. Do tego zwierzyniec z ok. 400 zwierzętami, które ogląda się z okien amerykańskiego schoolbusa. Zimą czynna Wioska Mikołaja, a w sezonie Wioska Czarownic. Dodatkowo dla dzieci park rozrywki ze zjeżdżalniami, z karuzelami i rollercoasterem. Na terenie także ośrodek jazdy konnej.

5. JURAPARK (SOLEC)

Drugi obiekt zbudowany na fali zainteresowania Bałtowem. Tutaj również pełnowymiarowe modele mezozoicznych gadów i płazów (w tym ponad 100 dinozaurów). Do zwiedzania także Muzeum Ziemi ze skamieniałościami i wiernymi rekonstrukcjami (m.in. mamut). Ogród zimowy m.in. z roślinami, które zasiedlały lądy w czasach dinozaurów, oraz ogród botaniczny. Park rozrywki z karuzelami i zjeżdżalniami, a także kino 5D.

6. PARK NAUKI I ROZRYWKI (KRASIEJÓW)

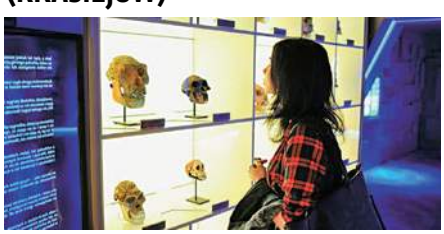

60-hektarowy park, który powstał w regionie odkrytych tropów dinozaurów na Opolszczyźnie. Oferuje przejażdżkę tunelem czasu, 1,5-kilometrową ścieżką edukacyjną prowadzącą wokół ok. 200 modeli naturalnej wielkości mezozoicznych gadów i płazów, wizytę w pawilonie ze szklaną podłogą nad czynnym stanowiskiem palentologicznym i prehistorycznym oceanarium. Jest też Park Nauki i Ewolucji Człowieka. A do tego strefa rozrywki z karuzelami, zjeżdżalniami i symulatorami oraz kino 5D.

7. MIASTECZKO WESTERNOWE TWINPIGS (ŻORY)

Park rozrywki (ok. 5 ha) odwzorowujący realia Dzikiego Zachodu z bazą gastronomiczną i obiektem hotelowym. Oferuje inscenizacje (np. napad na bank) oraz rozmaite pokazy, np. iluzjonistyczne. Można spróbować swych sił na strzelnicy, w płukaniu złota i pracy w kuźni. Są atrakcje wodne, nawiedzona sztolnia, zaklęty saloon, batyskaf, imitacja wodospadu, park linowy, małe zoo, a także kolejka górska, karuzele i planetarium.

8. WESTERN CITY MRONGOVILLE (MRĄGOWO)

Na blisko 30 ha odwzorowano miasteczko Dzikiego Zachodu z XIX w. Oprócz westernowych pokazów i inscenizacji atrakcją jest Muzeum Indiańskie. Można też odwiedzić minizoo, odbyć przejażdżkę konną lub wziąć lekcje tańca. Można próbować swych sił w jeździe na mechanicznym byku (rodeo), na sportowej strzelnicy i podczas zabaw kowbojskich. Miasteczko można też zwiedzać pojazdem buggy.

9. AQUAPARK REDA (REDA)

Jeden z najnowszych wodnych obiektów w kraju i jedyny, który jest połączony z oceanarium z pływającymi w nim rekinami – trasa zjeżdżalni prowadzi w tunelu przez wielkie akwarium. Oprócz „rekinowej" zjeżdżalni jest jeszcze podświetlana – rodzinna oraz ekstremalna (w sumie do jeżdżenia 500 m). Dla najmłodszych – basen ze statkiem pirackim (a w nim siedem małych zjeżdżalni). Jest i basen ze sztuczną falą oraz wielkie jacuzzi. Część basenowa zajmuje aż 7 tys. mkw. A w tym roku mają dołączyć do niej pełnowymiarowy basen sportowy i specjalny basen dla rodziców z niemowlętami. Kompleks tworzą też spore saunarium, papugarnia oraz wystawa z klocków Lego.

10. AQUAPARK FALA (ŁÓDŹ)

Jeden z największych parków wodnych w Polsce (powierzchnia lustra wody to 2,5 tys. mkw.) rozciągający się na 5 ha powierzchni. W obiekcie krytym są cztery baseny: sportowy – połączony z rekreacyjnym, basen dla dzieci oraz basen z imitacją morskich fal. Do dyspozycji dwie duże zjeżdżalnie (130 i 146 m), a w sezonie letnim – wielka zjeżdżalnia Kamikadze. W części zewnętrznej korzystać można z trzech basenów (a w nich: rwąca rzeka, hydromasaże, wodospady) i plaży z leżakami. Jest też zespół pięciu saun. Do tego tężnia solna i strefa spa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c4240ca7a8

YANOSIK GTR

LEGALNY „ANTYRADAR"

W CENIE JEDNEGO MANDATU

6,5 mln kierowców w Polsce

1,5 mln użytkowników miesięcznie

350 mln przejechanych kilometrów miesięcznie

150 tys. użytkowników online

co 3 sek. kolejne zgłoszenie w systemie

FIZYCZNE PRZYCISKI

INFORMACJE M.IN. O KONTROLACH PRĘDKOŚCI

OGRANICZENIA PRĘDKOŚCI

ECODRIVING

TWOJA LOKALIZACJA

MOBILNY PARKOMAT

Yanosik.pl/dorzeczy

Wyprodukowany w Polsce

eprasa.pl c4240ca7a8

Z pamiętnika ratownika

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Piotr Gociek

Kino na lato, kino lekkie, kino niemądre i szczypta nostalgii – nowy „Słoneczny patrol" już w kinach

Efekt uboczny wizyty w kinie na filmowej reaktywacji serialu „Baywatch: Słoneczny patrol" był nieoczekiwany – zacząłem oglądać kobiece piersi w Internecie. Na szczęście nie ciągle i nie wszystkie. Poza tym nie robiłem tego dla przyjemności, ale służbowo. Chodziło o sprawdzenie, czy aktorka Kelly Rohrbach (to znaczy nowa CJ Parker) została wyposażona przez naturę (być może i chirurgów) w biust równie groteskowy co Pamela Anderson (czyli oryginalna CJ Parker). Sądząc po fotosach pochodzących z innych filmów – nie. Z biustem Rohrbach wszystko w porządku. Wbito ją jedynie w nadmiernie obcisły kostium i odpowiednio filmowano. I to jest dobra wiadomość, bo co za dużo, to niezdrowo.

Serial „Słoneczny patrol" należy do tych licznych produkcji telewizyjnych, które źle zniosły próbę czasu. Tak bywa. Patrzę po latach na powtórki „Pełnej chaty", „Alfa", „Drużyny A" – czasy ich świetności dawno minęły, z uroku nie zostało nic. Powiedzmy zresztą szczerze, nigdy nie były dobre. Były za to popularne. Ta popularność, ta dawna sława, nostalgia żyją w wielkiej zbiorowej wyobraźni, trochę tak jak wspomnienie wspaniałych miejsc, w które jeździliśmy w dzieciństwie z rodzicami, a które dziś wydają się wyjątkowo mało interesujące i nawet wzbudzają irytację odwiedzane po latach – naprawdę potrafiliśmy się TU dobrze bawić?

Tamtych emocji nie da się wskrzeszać na poważnie tymi samymi środkami, wszystkim więc, którzy po latach próbują reaktywować stare tytuły, najbardziej przydaje się poczucie humoru i przymrużenie oka. Inaczej klapa, czego dowiodły kinowe wersje seriali „Policjanci z Miami" czy „Drużyna A" – pierwszy z tych filmów był niepotrzebnie zbyt poważny, drugi mało śmieszny, bo pozbawiony absurdalności oryginału.

TAJEMNICZA PIĘKNOŚĆ

Twórcy nowego „Słonecznego patrolu" – reżyser Seth Gordon („Szefowie wrogowie") plus sześcioro scenarzystów – wybrali inną drogę. Tę, która w 2012 r. przyniosła sukces kinowej wersji serialu „21 Jump Street" (i jego kontynuacji), a której efektem były beztroskie, łobuzerskie komedie. Inny przykład takiego podejścia to kinowy „Starsky i Hutch" (2004) z Benem Stillerem i Owenem Wilsonem. Twórcy „Słonecznego patrolu" nie ukrywają zatem, że chodzi o zabawę konwencją i próbę jednoczesnego zagrania na wspomnieniach, a także ich lekkie wykpienie.

Można by nawet zaryzykować twierdzenie, że nowy „Słoneczny patrol" jest dziełem postmodernistycznym, dekonstruującym oryginał (tak, w tym momencie puszczam do państwa oko). Bohaterowie filmu głośno komentują fakt, że niektórzy inni bohaterowie (zgadnijcie którzy, a właściwie które) biegają w zwolnionym tempie, emanując seksapilem, sami zadają pytania, dlaczego kostiumy ratowniczek są tak mocno wycięte na pośladkach. Tam zaś, gdzie ktoś mógłby zarzucić ich produkcji, że brak jej oryginalności, bo kopiuje schematy z innych głośnych kinowych franczyz, sami rozbrajają tę bombę, przypominając widzowi, że przecież nie robią tego na poważnie. Tak jest w scenie, kiedy grająca główny czarny charakter Priyanka Chopra mówi do wystraszonego radnego miejskiego, który boi się jej gróźb: „Za kogo pan mnie ma? Nie jestem przecież złoczyńcą z filmów o Bondzie. Na razie".

eprasa.pl c4240ca7a8

Głównym strażnikiem plaży jest w filmie amerykański kasowy pewniak, czyli Dwayne Johnson, były wrestler gwarantujący w tamtejszych kinach rekordowe wpływy. Ten nowy Mitch Buchannon to w amerykańskim kinie Arnold Schwarzenegger XXI stulecia – potężnie umięśniony, sympatyczny, niespecjalnie utalentowany aktorsko, ale obdarzony cechą bezcenną w kinowej rozrywce – bardzo łatwo go polubić. Wokół niego po plaży biegają wspomniana już Kelly Rohrbach jako nowa wersja CJ Parker oraz intrygująca egzotyczną urodą Ilfenesh Hadera, prawa ręka Mitcha.

SCHEMAT TO SCHEMAT

Akcję komedii uruchamiają dwa wydarzenia. W Emerald Bay pojawia się tajemnicza bogata piękność (Priyanka Chopra), która ma wielki apetyt na miejscowe nieruchomości, a wraz z nią przypływa fala przemocy i narkotyku flakka. Drugi wątek to nowicjusze w patrolu. Co roku rekrutowany jest jeden, a wśród kandydatów tego lata mamy m.in. dwukrotnego mistrza olimpijskiego w pływaniu Matta Brody'ego (Zac Efron), kolejną dziewczynę nadającą się do ujęć slow motion, czyli piękną Summer Quinn (Alexandra Daddario) oraz otyłego niezgułę imieniem Ronnie (Jon Bass).

Schemat to schemat – kiedy tak rozstawione są pionki, wiemy, co będzie się działo na planszy. Nowi muszą udowodnić starym, że do czegoś jednak się przydadzą, wszyscy razem natomiast przekonać policję i władze, że wiedzą, kto stoi za ciałami znajdowanymi w zatoce oraz importem niebezpiecznego narkotyku. Szczególnie trudnym przypadkiem okaże się mistrz olimpijski Brody, który ma się za ósmy cud świata, a nowymi kolegami gardzi. Na plażę trafił w ramach prac społecznych, na które niesfornego chłopaka skazał sąd. Starcie między Brodym a wielbionym przez wszystkich Mitchem będzie więc nieuniknione.

Kryminalna intryga jest prościutka jak molo w Emerald Bay, niespecjalnie mi to jednak przeszkadzało podczas oglądania. Wspomnijmy choćby dawne hity komedii kryminalnej z Eddiem Murphym, począwszy od „Gliniarza z Beverly Hills" – czy naprawdę były tak skomplikowane? Pamiętam je, bo były zręczne i zabawne, no i przede wszystkim dlatego, że Eddie Murphy miał niezwykłą ekranową charyzmę.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„Słoneczny patrol" jest słabszy od tamtych produkcji, ale lepszy od całkiem sporej liczby „komedii na lato", które widzieliśmy w ostatniej dekadzie. Lepszy od obydwu części kompletnie idiotycznych „Dużych dzieci" z Adamem Sandlerem, lepszy od nieszczęsnego produktu filmopodobnego z ubiegłego sezonu, czyli „Co ty wiesz o swoim dziadku?" z Zakiem Efronem i Robertem De Niro. Lepszy także moim zdaniem od tegorocznej próby wykreowania „żeńskiego »Kac Vegas«", czyli komedii „Ostra noc", która tydzień temu pojawiła się w polskich kinach. Jeśli chcecie mieć do „Słonecznego patrolu" pretensje, że głupiutki i z drewnianymi aktorami, to dużo większe pretensje powinniście kierować pod adresem twórców „Ostrej nocy", którzy mieli na planie Scarlett Johansson, Kate McKinnon, Zoë Kravitz i Demi Moore, a wyszło im jeszcze gorzej.

ROZRYWKA DLA CHŁOPCZYKÓW

Oczywiście jestem stronniczy w tej ocenie, ponieważ „Ostra noc" to rozrywka dla dziewczynek, a „Słoneczny patrol" dla chłopczyków, ja zaś dziewczynką nie jestem.

Jestem natomiast świadom, o jakiej kategorii filmów mówimy – to wakacyjne pop-corn movies, które mają dobrze pasować do popołudniowego lodowego deseru i sprawić, że w gorące dni będziemy mieli czym zająć gałki oczne podczas dwugodzinnej ucieczki do klimatyzowanej sali multipleksu. Trudno więc „Baywatch" traktować poważnie, ale bądźmy szczerzy: od dłuższego czasu karmi się nas w sezonie wakacyjnym rozterkami moralnymi na poziomie sześciolatków w wykonaniu legionu komiksowych superbohaterów w trykotach albo przygodami samochodów, które zamieniają się w boksujące roboty i z powrotem. Na tym tle gromada ładnych dziewcząt i przystojnych facetów po prostu biegająca po plaży jawi się niezwykle świeżo.

Mniej świeży jest humor, a nieświeża fabuła, to prawda. Najbardziej zaś dziwi fakt, że „Słoneczny patrol" jest momentami zrobiony niechlujnie, przy odrobinę lepszym montażu zyskałby na tempie, rozprowadzanie żartów (skeczy?) też mogłoby być szybsze, a puenty mocniejsze. Jednocześnie oglądając wszystkich tych sympatycznych ludzi robiących z siebie idiotów, poczułem się jak w złotych czasach głupiej wakcyjnej rozrywki, czyli w latach 80. Są bowiem w „Słonecznym patrolu" chwile, kiedy wskrzesza się ducha zarówno dawnych komedii żenujących (serie „Lody na patyku" albo „Akademia policyjna"), jak i tych wspominanych dziś z łezką w oku (takie jak seria „Gliniarz z Beverly Hills").

Byłaby to próba bardziej udana, gdyby jej twórcy mieli więcej odwagi, więcej radosnego szaleństwa i jeszcze mocniej skręcili w stronę farsy. Może zrobią to następnym razem. W końcu pojawiający się na chwilę w nowym „Baywatchu" gwiazdor starego serialu – David Hasselhoff – dopytuje Dwayne'a Johnsona, czy w sequelu będzie dla niego więcej ekranowego czasu. A Dwayne Johnson potwierdza. Trzeba słuchać ratownika. Nawet w filmie bardzo, bardzo niemądrym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

★★★☆☆☆

REŻ. SETH GORDON
„BAYWATCH: SŁONECZNY PATROL" („BAYWATCH") USA 2017

wyst. Dwayne Johnson, Zac Efron, Alexandra Daddario, Kelly Rohrbach

eprasa.pl c4240ca7a8

Opole jednak w Opolu

FOT. MARIUSZ PRZYGODA/FORUM

Agnieszka Niewińska

Jackowi Kurskiemu udało się porozumieć z prezydentem stolicy polskiej piosenki. We wrześniu miasto udostępni TVP amfiteatr i prawa do marki Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej. Tylko czy ktoś zgodzi się zaśpiewać?

Najważniejsze, że zwyciężyło porozumienie ponad podziałami dla dobra polskiej kultury i piosenki – triumfował na antenie TVP jej prezes Jacek Kurski, gdy ogłoszono zawarcie umowy między telewizją publiczną a miastem Opole, dotyczącej organizacji 54. Festiwalu Polskiej Piosenki. Chociaż gwiazdy estrady od ponad półwiecza zjeżdżały do Opola w czerwcu, to po tegorocznych zawirowaniach i nagłych zwrotach akcji związanych z przygotowaniem festiwalu zostaną zaproszone tam powtórnie jesienią. Impreza ma się odbyć między 15 a 17 września. Na razie nie jest znany jej program. Nie wiadomo, czy doroczne święto polskiej piosenki potrwa dwa czy trzy dni.

Porozumienie Jacka Kurskiego z prezydentem Opola Arkadiuszem Wiśniewskim to spore zaskoczenie, bo opolski włodarz w kluczowym momencie medialnego sporu między TVP a częścią artystów zdecydował się zerwać umowę z publicznym nadawcą. Tłumaczył, że telewizja się z niej nie wywiązała, a rezygnacje z udziału w festiwalu kolejnych artystów, w tym Maryli Rodowicz, „godzą w dobre imię miasta". Kurski groził zatrzymaniem 400 tys. zł wypłaconych już telewizji przez miasto i pozwem za bezprawne zerwanie umowy. Prezydent Opola także deklarował, że z TVP spotka się w sądzie i zażąda wielomilionowego odszkodowania. Zapowiadał, że jesienią w Opolu festiwal i tak się odbędzie. Najwyraźniej nie znalazł innej chętnej do organizowania wydarzenia telewizji. W ubiegłym tygodniu na konferencji prasowej mówił, że zjeździł całą Polskę, rozmawiając z innymi telewizjami i mediami na temat współpracy przy festiwalu. – Ostatecznie porozumieliśmy się z TVP, mając na uwadze wieloletnią tradycję współpracy miasta z tym nadawcą – powiedział Wiśniewski.

W OBRONIE FESTIWALU

Opole pierwszy raz w historii festiwalu nie będzie jego współorganizatorem. Cała odpowiedzialność za program spada na TVP. I choć ma ona zarezerwowany amfiteatr, to na razie nie wiadomo, którzy artyści zechcą wystąpić na opolskiej estradzie. Po tym, jak w maju w ramach protestu masowo rezygnowali z udziału w imprezie, TVP może być trudno namówić ich na występ. Muzycy, a także konferansjerzy zaczęli odwoływać obecność w Opolu po doniesieniach o tym, że władze TVP ze względów politycznych nie chciały widzieć na festiwalu Kayah. Ostatecznie z występu zrezygnowała także Maryla Rodowicz, która miała być główną gwiazdą. Planowano, że to właśnie w opolskim amfiteatrze da koncert z okazji 50-lecia pracy artystycznej.

– Mam nadzieję, że olbrzymia większość – jeśli nie wszyscy artyści, którzy mieli wystąpić w czerwcu – będzie dostępna w nowym terminie. Wierzę, że zaszczycą swoją obecnością Opole we wrześniu – mówił w ubiegłym tygodniu Kurski. Na dopięcie programu TVP ma jednak niewiele czasu. Do festiwalu pozostały niecałe trzy miesiące. Przy Woronicza słyszymy, że negocjacje z gwiazdami są w tej chwili „dopinane".

– Dostaliśmy już zaproszenie od TVP do Opola na wrzesień – informuje Monika Paprocka-Szczepanik, menedżer zespołu Pectus. Zdradza też oczekiwania, jakie zespół ma względem organizatorów. – Zachowane powinno zostać status quo, czyli zaproszenie powinni dostać wszyscy ci wykonawcy, którzy mieli wystąpić w czerwcu. Na razie jesteśmy dobrej myśli, mamy zapewnienia TVP, że tak właśnie będzie. Rozumiemy, że z różnych powodów nie każdy artysta będzie mógł wziąć udział w festiwalu, my jednak z przyjemnością zagramy w Opolu, jeśli TVP dotrzyma obietnicy. To dla nas

eprasa.pl c4240ca7a8

bardzo ważne miejsce. Większość nagród publiczności przywieźliśmy właśnie z Opola – tłumaczy Paprocka-Szczepanik. – Festiwal w Opolu to nie jest przestrzeń dla polityków, tylko dla nas, artystów. Mamy kilka festiwali z polską muzyką, a Opole jest jednym z najważniejszych. Brak opolskiego festiwalu byłby ogromną stratą dla polskiej muzyki – dodaje.

Od wielu menedżerów słyszymy, że zaproszenie od TVP jeszcze do nich nie dotarło. Bogdan Zep reprezentujący Marylę Rodowicz zaznacza, że choć nie ma jeszcze żadnych informacji od publicznego nadawcy, to jest zdania, iż w najbliższych dniach wszystko się wyjaśni.

Maciej Durczak, menedżer m.in. Kasi Kowalskiej, Anny Wyszkoni i zespołu Bracia, także nie dostał jeszcze żadnego zaproszenia od TVP dla swoich artystów. – A trzeba zaznaczyć, że dla wielu osób końcówka lata to niezbyt korzystny termin. Część muzyków ma już zaplanowane koncerty w tym czasie – podkreśla.

Jacek Jastrowicz, menedżer Michała Szpaka: „W terminach 15–17 września Michał Szpak ma zakontraktowane wcześniej koncerty w Wiedniu i Łodzi. W związku z tym, że nie dostaliśmy jeszcze oficjalnego zaproszenia na udział Artysty w opolskim Festiwalu i co się z tym wiąże, szczegółowych informacji, nie jesteśmy w stanie w tym momencie określić, czy występ Michała Szpaka na Festiwalu w Opolu w ogóle byłby możliwy".

– Nikt się z nami nie kontaktował w tej sprawie, więc nie będziemy tego komentować. Przyjdzie na to czas, jeśli dostaniemy zaproszenie – mówi nam menedżerka jednej z gwiazd, która miała wystąpić w Opolu w czerwcu. – Na razie nie bukujemy terminu – mówi. Zaraz jednak dodaje, że artysta, którego reprezentuje, nie zakłada a priori, że do Opola nie pojedzie. – Nie wykluczamy tego. Zobaczymy, jakie będą warunki przedstawione przez TVP – dodaje.

Kilku innych menedżerów, choć nie chce oficjalnie sprawy komentować, zaznacza, że artyści, których reprezentują, też nie wykluczają udziału w festiwalu. Teraz wiele zależy od negocjacyjnej sprawności TVP. – Jestem zdania, że wielu artystów w Opolu wystąpi z bardzo prozaicznej przyczyny – komentuje Szymon Sikorski, specjalista w dziedzinie PR z agencji Publicon. – Nikt o tym głośno nie mówi, ale prawda jest taka, że muzycy w Polsce nie żyją ze sprzedaży płyt i biletów na koncerty czy wywiadów w kolorowych pismach, tylko z występów na otwartych imprezach, festynach, piknikach. A wójtowie i burmistrzowie nie będą chcieli zapraszać kontestatorów kojarzących się jednoczenie z którąś ze stron politycznego sporu, bo to jest im zwyczajnie niepotrzebne. Media mediami, a życie życiem. Było dużo szumu, ale karawana jedzie dalej – mówi. Jego zdaniem trudno będzie odkleić politykę od opolskiego festiwalu, ale dodaje, że wizerunkowo na zamieszaniu wokół tegorocznej edycji Opola wszystkie strony zyskały. – TVP mogła to znacznie lepiej rozegrać, ale paradoksalnie festiwal na tym zyskał. W ostatnich latach był raczej synonimem obciachu, w warstwie artystycznej nic ważnego się tam nie działo. Teraz wzbudził ogromne zainteresowanie, urósł do rangi jakiegoś niezwykle ważnego wydarzenia, a nawet symbolu. Gwiazdy, które kontestowały TVP i Jacka Kurskiego, zyskały w oczach mieszkańców wielkich miast, o istnieniu części z nich ludzie sobie przypomnieli właśnie wtedy, kiedy położyli się Rejtanem w obronie festiwalu. Nawet prezydent Opola, który próbował ugrać coś politycznie na zaistniałej sytuacji, u części mieszkańców miasta zapunktował.

KTO ZAPŁACI

Chociaż umowa TVP z prezydentem Opola jest poufna, to jednak wiele wskazuje na to, że publiczny nadawca słono zapłaci za opolski festiwal. Do tej pory Opole co roku dokładało do organizacji wydarzenia od kilkuset tysięcy do nawet 1,7 mln zł. Według pierwotnej umowy w tym roku miało zasilić kasę imprezy 800 tys. zł. Teraz na niej zaoszczędzi. Wojciech Krzyżaniak, dziennikarz zajmujący się tematyką telewizyjną, ujawnił w swoim serwisie Wtelewizji.pl, że na mocy nowej umowy Opole, pierwszy raz w historii festiwalu, nie dołoży do niego ani złotówki, a w dodatku TVP zapłaci miastu za wynajęcie amfiteatru i używanie nazwy „Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej". Brakujące na organizację festiwalu 800 tys. zł będzie musiała znaleźć TVP. Umowę Kurskiego z prezydentem Opola skrytykował Paweł Kukiz. Ogłosił, że sprawę zgłosi NIK i prokuraturze, bo TVP jego zdaniem wykazała się niegospodarnością.

Strony umowy nie chcą komentować spraw budżetowych. „Ze względu na klauzulę poufności zawartą w porozumieniu z Miastem Opole i obowiązującą jego obie strony, TVP nie będzie udzielać informacji dotyczących kwestii finansowych, związanych z organizacją festiwalu" – napisała w swoim oświadczeniu telewizja. Prezydent Opola zaznaczył jednak, że umowa jest dla miasta korzystna.

TVP zdementowała też doniesienia „Faktu", jakoby artystów kuszono dziesięciokrotnie większymi stawkami niż wcześniej. „Jest to nieprawda. Wynagrodzenia oferowane artystom 54. KFPP nie odbiegają od stawek rynkowych" – poinformowała TVP.

I na Woronicza, i w PiS głośno jest jednak o tym, że w tej chwili cena, jaką przyjdzie zapłacić za 54. KFPP w Opolu, to sprawa drugorzędna. Politycy PiS, choć niechętnie rozmawiają o opolskiej imprezie, to nieoficjalnie przyznają, że gra toczy się nie tyle o imprezę, ile o przyszłość Kurskiego w fotelu prezesa TVP. Jak podkreśla nasz rozmówca, politycy partii odwołanie festiwalu lub przeniesienie go do innego miasta uznaliby za dużą wizerunkową porażkę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c4240ca7a8

Pokolenie winy

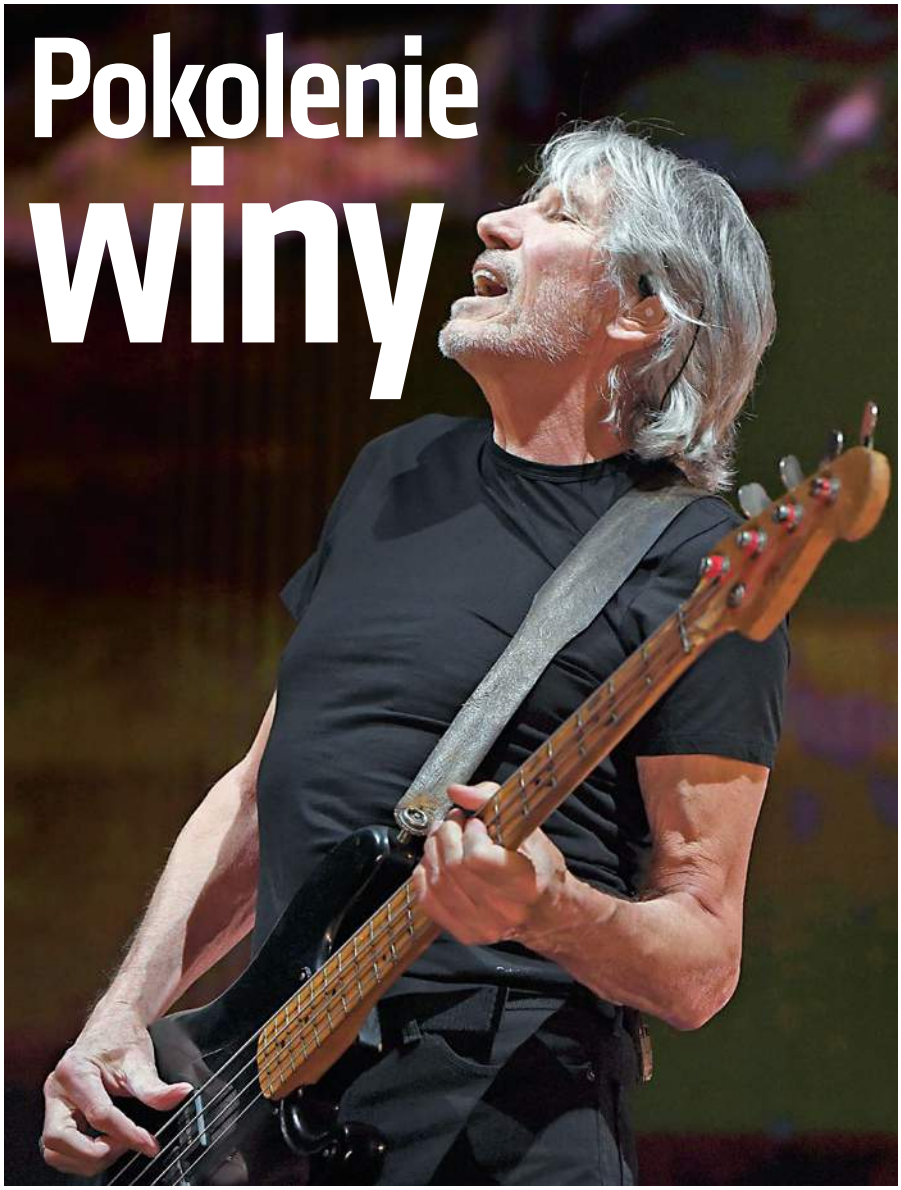

FOT. ETHAN MILLER/GETTY IMAGES

Wojciech Engelking

Najnowsza płyta Rogera Watersa to głos pokolenia, które obudziło się w świecie, gdzie wszystko idzie nie po jego myśli

Był rok 1973. Miało się poczucie, że symboliczna dekada wolnej miłości i narkotyków lat 60. skończyła się dawno temu. Wydawało się, że wypaleni baby boomersi nie mają już wiele do powiedzenia. Aż tu do sklepów trafił album w czarnej okładce, na której trójkąt rozbijał wiązkę światła w tęczę: „The Dark Side of the Moon".

Nie chodzi o to, że płyta uczyniła z Pink Floyd gwiazdy. Ich poprzednie albumy odniosły komercyjny sukces. Jednak dopiero „The Dark Side of the Moon", w którym odsunęli się od dotychczas granego rocka psychodelicznego, a skupili na napisanych przez Rogera Watersa tekstach, sprawiło, że zaczęli być słuchani na całym świecie. Waters – będący, wedle walczącego z nim o przywództwo Davida Gilmoura, bardziej tekściarzem niż muzykiem – pisał o chciwości, samotności i wojnie: nie tylko tej, która skończyła się w styczniu tego samego roku, czyli wietnamskiej, lecz każdej. Album, według samego Rogera, grupę podzielił, a według pozostałych członków uczynił Watersa apodyktycznym i niezdolnym do współpracy. Ta jednak trwała do roku 1983, a z każdą płytą teksty Watersa stawały się bardziej i bardziej konkretne. „The Final Cut" – to już tekstowo czysta publicystyka, szczególnie „Get Your Filthy Hands Off My Desert", w którym Waters rozprawiał się z trwającą podczas prac nad płytą wojną o Falklandy, atakiem Izraela na Liban, a ZSRS – na Afganistan. Płyta sukcesu nie osiągnęła, Pink Floyd się rozpadli, a Waters zajął się karierą solową, której ukoronowaniem był album „Amused to Death", powstały jako komentarz do wojny w Zatoce Perskiej i wydany w roku 1992. Po nim Waters na 25 lat muzycznie zamilkł (nie licząc rockowej opery „Ça Ira" z 2005 r., w której gloryfikował rewolucję francuską) i dopiero teraz powrócił wyprodukowaną przez Nigela Godricha, producenta Radiohead, płytą „Is This the Life We Really Want?", która jest podobnie politycznie ostra jak „Amused to Death" i „Final Cut". I opowiada o naszych czasach.

Dave Thompson w wydanej parę lat temu biografii Watersa nazywa go „Zrzędliwym Diamentem", za główną wadę charakteru muzyka uznając egocentryzm i samouwielbienie. Uważanie samego siebie za Boga, obecne już w czasach Pink Floyd, znajduje ujście już na samym początku „Is This the Life We Really Want?", w piosence, w której Waters opowiada, co by zrobił, gdyby faktycznie Bogiem był.

Co zatem? „Spłodziłbym tylu synów, żeby Rzymianie nie zabili żadnego z nich". I wtedy świat zapewne wyglądałby tak, jak sobie Roger Waters wymarzył: zapanowałby na nim wieczny pokój, a Donald Trump nie zostałby prezydentem USA.

W wymarzonym świecie Rogera Watersa nie istniałyby drony, kapitalizm ani banki; nie istniałyby również media społecznościowe, które – wedle muzyka – niszczą relacje międzyludzkie. Gospodarka opierałaby się na odnawialnych źródłach energii, szybko zostałby rozwiązany zarówno kryzys migracyjny w Europie, jak i konflikt na Bliskim Wschodzie. I choć, oczywiście, zdarzają się Watersowi momenty zawahania nad oryginalnością własnych przemyśleń (tak jak w piosence

eprasa.pl c4240ca7a8

„Broken Bones", w której porównuje samego siebie do pełznącego po ścianie robaka i pyta retorycznie, kogo to wszystko obchodzi), to wciąż, mimo wszystko, przypomina tego byłego członka Pink Floyd, którego w połowie lat 90. w „Sekretnym dzienniku Rogera Watersa" obśmiał pewien wielbiciel, pisząc: „Wtorek. Wstawszy, przez godzinę myślałem o tym, jak wojna i siły rynku niszczą nasz świat".

Oczywiście, radykalizm nie dziwi, jeżeli proponuje go słuchaczom muzyk, który dekadę temu ogłosił, że z racji konfliktu z Palestyną nigdy nie zagra koncertu w Izraelu – miał to zrobić w 2005 r. w Tel Awiwie, ale przed występem pojechał obejrzeć mur odgraniczający Izrael od Palestyny i zamiast w Tel Awiwie wystąpił w Newe Szalom, wsi założonej wspólnie przez Żydów i Arabów.

Ciekawsze jest jednak, kogo były wokalista Pink Floyd wini za rozpad świata, w którym przez ostatnie ćwierć wieku milczał. To stawia go bowiem poza typowym mainstreamem, któremu trudno pogodzić się z tym, jak Zachód zmienił się w roku 2016.

Podczas gdy większość wypowiadających się na tematy polityczne artystów za takie wydarzenia jak wybór Trumpa na prezydenta USA czy brexit wini tych, którzy za nimi głosowali (przykładowo Robert De Niro, który w filmiku nagranym przed wyborami zabraniał swoim fanom to robić), Waters jest zaskakująco pokorny wobec rozpadu świata, którego ideowe fundamenty z – teoretycznymi przynamniej – pacyfizmem, brakiem granic, ekologią i niechęcią do kapitalizmu uformowały się w latach 60. pod mostem Golden Gate w San Francisco, gdy przemawiał pod nim Timothy Leary. Gdy w tytułowej piosence pyta: „Czy to właśnie jest życie, którego pragniemy?", natychmiast następuje odpowiedź: „Chyba tak musi być, skoro tak właśnie wygląda demokracja". I nawet jeśli w słowach tych jest ironia, warto zauważyć, że inaczej niż wielu krytyków Trumpa Waters nigdy – przynajmniej nie wprost – nie poparł Hillary Clinton. Zamiast na nią zachęcał do głosowania na innego kandydata demokratów, czyli Berniego Sandersa. Jest w Sandersie i Watersie dziwne podobieństwo – dwóch antywojennych idealistów kultywujących wartości, wśród których wyrośli w latach 60. – i jest też pewna różnica: o ile Sanders wciąż w polityczną walkę się angażuje, o tyle Waters, choć w wywiadach i mediach społecznościowych twierdzi coś innego, ostatnią płytą się z ową walką żegna, wznosząc swoim ideałom pomnik i zwracając się w stronę czegoś innego.

ROGER WATERS „IS THIS THE LIFE WE REALLY WANT?" COLUMBIA RECORDS 2017

„Część mnie umarła" – śpiewa w zamykającej płytę piosence. „Ta część, która jest zła, chciwa, o zimnym sercu [...] umarła, gdy spotkałem ciebie". I choć, oczywiście, pod względem politycznym ten przekaz niewiele się różni od prostej gloryfikacji miłości z lat 60., ważne jest, że wychodzi z ust tego samego muzyka, który w innej piosence na pytanie, kto sprawił, że świat w latach 2016 i 2017 zaczął wyglądać tak, jak wygląda, odpowiada: my to zrobiliśmy. Może i oskarżanie własnej generacji jest łatwe i dziecinne, ale lepszy taki idealizm, zwłaszcza w takiej muzycznej oprawie, aniżeli wiele politycznych analiz autorstwa celebrytów lokalnych i międzynarodowych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl c4240ca7a8

Z Michałem Zabłockim, poetą, autorem tomiku „Janowska"
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Życiorys w 33 wierszach

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Nie sądziłem, że redakcje „Faktu" i „Super Expressu" mogą być katalizatorami poezji...

MICHAŁ ZABŁOCKI: Każdy może być katalizatorem poezji. Tym bardziej jeśli mu jej brak. „Faktowi" i „Super Expressowi" na pewno trochę poezji by się przydało. Niestety, nie zainteresowali się tomem, chociaż wcześniej bardzo interesowali się sensacyjnymi wiadomościami na temat Aliny Janowskiej. To smutne, bo akurat „Super Express" był przez mamę hołubiony i dopieszczany. Tak samo zresztą jak wszystkie media, na które mama zawsze była otwarta. No, wyłączywszy bojkot z czasu stanu wojennego. Jednak nie skreślajmy ich. Może jeszcze się nawrócą na odrobinę poezji.

Wymienia pan też trzy inne powody powstania książki...

Widzę, że postanowił mnie pan przeegzaminować z treści książki. Myślę, że powodów było nawet więcej niż trzy. O trzech po prostu wspomniałem. Napisałem te wiersze, bo poczułem, że to jest temat. I że ten temat wziął we mnie górę nad wszelkimi innymi aktualnie możliwymi tematami. I dlatego, że teraz jest ten moment wielkiej nieobecności mamy. Takiego tajemniczego zawieszenia. Podejrzanej ciszy. I że taki mocny głos może wieloma ludźmi wstrząsnąć. Później będzie już inaczej. A wcześniej się nie dało. Inne sprawy były ważniejsze. Życie wyprzedzało wiersze. Teraz przyszedł czas na wiersze.

Życiorys w 33 wierszach. Drogowskaz stanowił tomik Tadeusza Różewicza pt. „Matka odchodzi"?

Świadomość z tyłu głowy raczej. Różewicz wielkim poetą był. Nie dałbym rady doskoczyć. Poza tym pisał z dużego dystansu czasowego. Jego matka już od dawna nie żyła. Janowska żyje. To wielka różnica. Poza tym moja książka nie jest o odchodzeniu, a w każdym razie nie głównie. Jest o Janowskiej od dzieciństwa do teraz. Także o chorobie. Jednak choroba to jeszcze nie śmierć. No i jeszcze jedna różnica: matki Różewicza nikt nie znał. Była anonimowa. To duży komfort. Ja pisałem o osobie powszechnie znanej. Ze świadomością, że wszyscy (no, prawie wszyscy) mają do niej jakiś tam stosunek.

„Wymodliła ocalenie z sowieckiej nawały". To licentia poetica?

Licentia metaphysica może raczej. Byłem w Żyrowicach. Pojechałem tam dlatego, że one bardzo głęboko siedziały w mamie. Bardzo dużo o nich mówiła. I śpiewała wciąż tę piosenkę: „Żyrowice łask krynice na świat cały wylały i Maryję jak liliję na gruszy ukazały..." – taki maryjny hymn. To była Częstochowa kresów. Wielkie sanktuarium. I ona tam mieszkała. Praktycznie na terenie klasztoru, bo dziadek Stanisław był dyrektorem szkoły rolniczej, która mieściła się w budynkach klasztornych. I że oni przetrwali? Łącznie z dziadkiem Stanisławem? To cud po prostu.

Za co i kiedy trafiła na Pawiak? Jak długo ją tam więziono?

Wzięto ją z mieszkania, w którym znaleziono broń, amunicję i ukrywających się Żydów. Siedem miesięcy przesiedziała na Pawiaku jako funkcyjna.

Udział w konspiracji wieńczyło powstanie warszawskie, opisane przez syna z wyobraźni. Dlaczego nie z opowiadań matki?

Owszem, z opowiadań matki, ale w moim ujęciu. Te biegi z garami pełnymi kaszy od Poczty Głównej do budynku PAST-y, czyli od kuchni powstańczej do oddziałów szturmowych, nie musiały skończyć się szczęśliwie, zważywszy na ciągły ostrzał ze wszystkich

Michał Zabłocki

FOT. KRZYSZTOF JAROSZ

Absolwent polonistyki na UW oraz reżyserii w PWSFTviT. Poeta, autor tekstów piosenek. Dawniej także reżyser teledysków i filmów reklamowych, wcześniej mistrz Polski i finalista mistrzostw świata w szabli (jest synem Aliny Janowskiej i Wojciecha Zabłockiego, cenionego architekta, a wcześniej szermierza niezapomnianej reprezentacji Polski trenowanej przez Janosa Keveya). Piosenki z jego tekstami mają w repertuarze m.in: Agnieszka Chrzanowska, Anna Szałapak, Beata Rybotycka, Grzegorz Turnau, Czesław Mozil oraz Jacek Wójcicki. Ostatnio Michał Zabłocki opublikował tomik pt. „Janowska", poświęcony matce – Alinie Janowskiej.

eprasa.pl c4240ca7a8

Alina Janowska

Wybitna i wszechstronna aktorka. Znana z pamiętnych ról na dużym ekranie („Zakazane piosenki", „Ostatni etap", „Skarb", „Dulscy", „Niezawodny system") i małym („Wojna domowa", „Podróż za jeden uśmiech", „Czterdziestolatek", „Złotopolscy", „Plebania"). Występowała na łódzkich i warszawskich scenach teatralnych: w kabarecie Szpak oraz w „Podwieczorku przy mikrofonie". Od kilku lat cierpi na chorobę Alzheimera.

FOT. CZESŁAW CZAPLIŃSKI/FOTONOVA

możliwych stron. Mama była łączniczką. Czyli biegała z meldunkami, z rozkazami, z posiłkami. Mogli ją kropnąć w każdym momencie. Wyobrażeniem jest tylko to, co się na szczęście nie stało, ale co mogło się stać. Czyli że gdyby ją zabili, to nie byłoby nie tylko jej, lecz także mnie, moich sióstr i moich dzieci. Koniec świata.

Pierwsze artystyczne kroki bohaterki tomu przypadły na okres socrealizmu...

Powiedzmy: socjalistycznej odbudowy. Pełny socrealizm przyszedł nieco później. Jednak, rzeczywiście, jest w tomie wiersz i o tym. O dwuznaczności tej „pracy u podstaw" nowego systemu. Szczególnie ostro to widać z dzisiejszej perspektywy, kiedy zwraca się honory żołnierzom wyklętym, czyli tym, którzy postanowili nie ulegać ułudzie pokoju na warunkach sowieckich. Nie mam odpowiedzi na to dramatyczne pytanie, co należało robić, chociaż w wierszu piszę, że mam. Natomiast wiem z całą pewnością, że ten poryw włączenia się w odbudowę Polski nawet na warunkach socjalistycznych był szczery nie tylko w przypadku mamy, lecz także bardzo wielu ludzi z ziemiańską i niepodległościową tradycją.

Rolę życia zagrała w komedii Jerzego Gruzy „Dzięcioł"?

Tak stoi w wierszu, więc to musi być prawda. Ja mamę pamiętam przede wszystkim z dwóch ról. W „Dzięciole" właśnie i w teatralnej „Babie-Dziwo". Dla mnie nie liczą się żadne statystyki ani wrażenia ludzi postronnych. Dla mnie liczą się moje własne wrażenia i to o nich piszę. „Dzięcioł" to nie była może objętościowo największa rola. Jednak nie mogę zapomnieć tego bezwzględnego wyrazu twarzy, z którym celuje do Wiesława Gołasa z karabinka pneumatycznego. Mocna sprawa.

Popularność pomagała w walce z chronicznym niedoborem na PRL-owskim rynku?

Oczywiście. Przecież taka gwiazda jak Alina Janowska nie może stać w kolejce po żółty ser! To było jasne jak słońce zarówno dla sprzedających, jak i dla kupujących. Sprzedający chowali pod ladę dla Alinki, a kupujący udawali, że nie widzą, kiedy odbierała paczki na zapleczu. Całe społeczeństwo pracowało na naszą, zresztą i tak przecież mizerną, aprowizację.

„Każdy ma taką matkę, na jaką zasłużył". Co to znaczy w przypadku Michała Zabłockiego?

Nie tylko w przypadku Michała Zabłockiego, lecz także w każdym przypadku mówi się coś odwrotnego. Że każdy ma takie dziecko, na jakie zasłużył. Albo jakie sobie wychował. A przecież to działa także w drugą stronę. Michał Zabłocki przypisuje sobie ogromne zasługi na niwie wychowywania swojej matki do bycia Matką „z dużej litery", Matką par excellence, Matką, która mogła się w końcu stać bohaterką zbioru wierszy syna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c4240ca7a8

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

★★★☆☆☆

REŻ. GUY RITCHIE „KRÓL ARTUR: LEGENDA MIECZA" („KING ARTHUR: LEGEND OF THE SWORD") WIELKA BRYTANIA/ AUSTRALIA/USA 2017

wyst. Charlie Hunnam, Jude Law, Astrid Bergès-Frisbey

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Wielka draka w Londinium

Po „Sherlocku Holmesie" wydawało się, że Guy Ritchie posiadł patent na odświeżanie klasyki. „Król Artur" potwierdza jednak, że Ritchie jest reżyserem bardzo nierównym. Tych zaskakujących wahań formy nie można już zrzucić na Madonnę – Ritchie rozstał się z nią osiem lat temu z okładem.

Arturiański mit wałkowano już na różne sposoby, w zależności od aktualnej mody i koniunktury politycznej. W amerykańskiej produkcji z 2004 r. władca Brytów z pochodzenia był Rzymianinem. Dzisiaj, gdy europejskie więzi osłabły, Artur stał się Londyńczykiem. Miasto nad Tamizą, które według historyków we wczesnym średniowieczu znajdowało się w stadium głębokiego upadku i swym obszarem nie obejmowało nawet City, na ekranie wygląda imponująco. Ma własne Koloseum i klasztor Shaolin. Rzecz jasna, widok Azjatów i Murzynów nikogo nie dziwi. Większe emocje wzbudzają wikingowie, zajmujący się handlem dziećmi.

Artur też jest niezgorszym rzezimieszkiem. Wychowany w zamtuzie, wyrasta na szefa lokalnego gangu. Nawet dowiedziawszy się o swym królewskim pochodzeniu, nie kwapi się, by stanąć na czele ruchu oporu przeciw tyrańskim rządom stryja. Vortigern przynajmniej od początku wie, czego chce. Jude Law zagrał uzurpatora w iście szekspirowskim stylu, nie przejmując się, że odpowiada mu tylko echo. Charlie Hunnam i ferajna występują bowiem w zupełnie innym filmie. Coś podobnego wydarzyło się na planie „Robin Hooda: Księcia złodziei". Nieodżałowany Alan Rickman aktorsko zdeklasował wówczas Kevina Costnera, lecz mimo to film okazał się przebojem.

W przypadku „Legendy miecza" taki cud się nie zdarzy. Ritchie znienacka porzuca konwencję łotrzykowską na rzecz heroicznej. Magia i miecz to nie jego bajka, fabuła więc zaczyna się rozłazić – tym szybciej, im bardziej montażysta podkręca tempo. Mnożą się sceny i postacie rodem z „Władcy Pierścieni" i „Gry o tron" (podejrzewam, że to sprawka producenta, który ponoć osobiście „ulepszał" scenariusz). Efekty specjalne ocierają się o śmieszność. Najzabawniejszy – sądząc po reakcjach publiczności – jest jednak David Beckham próbujący odkryć w sobie aktora charakterystycznego.

Szkoda, że zamiast Merlina musimy oglądać jego asystentkę. Na chwilę pokazuje się Pani Jeziora, dziwnie podobna do aktualnej małżonki reżysera. Morgana i Ginewra nie pojawiają się w ogóle. Zapewne wsadzono je do lodówki z myślą o sequelach (sagę zaplanowano na sześć części!). I chyba tam pozostaną, gdyż „Król Artur" na sterydach jak dotąd sprzedaje się słabo. Może lepiej było darować sobie nadmuchiwane węże i słonie oraz odzywki w stylu „wykształcenie przeszkadza"? ©℗

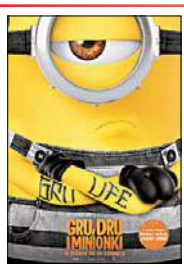

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „GRU, DRU I MINIONKI"

Trzeci film serii „Despicable Me", która w Polsce doczekała się tytułów skrzętnie ukrywających ich pokrewieństwo (dwie pierwsze części to u nas „Jak ukraść księżyc" oraz „Minionki rozrabiają"). Paskudny Gru w pierwszym filmie odkrył w sobie niespodziewanie instynkt ojcowski, w drugim wypełniał misję dla Ligi Antyzłoczyńców, w trzecim natomiast odkryje, że ma czarującego brata bliźniaka – niestety poświęcającego swe talenty czynom niegodziwym.

- ***reż. Kyle Balda, Pierre Coffin „Gru, Dru i Minionki" („Despicable Me 3"), USA 2017, wyst. Jenny Slate, Kristen-Wiig, Steve Carell***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***reż. Zach Braff, „W starym, dobrym stylu" („Going in Style"), USA 2017***
- ***reż. William Oldroyd, „Lady M."(„Lady Macbeth"), Wielka Brytania 2016***
- ***reż. Kleber Mendonça Filho, „Aquarius", Brazylia 2016***
- ***reż. Firas Fayyad, „Ostatni w Aleppo" („Last Men in Aleppo"), Dania/Syria 2017***

eprasa.pl c4240ca7a8

Dziewczyna stajennego

Rosyjski melodramat odegrany pod angielskim niebem? Zdarzały się już większe dziwactwa. W 1961 r. Andrzej Wajda nakręcił w Jugosławii z tamtejszymi aktorami „Powiatową lady Makbet". Nie da się też powiedzieć, że tytułowa bohaterka wraca do ojczyzny. Szekspirowska zbrodniarka, nękana przez wyrzuty sumienia, oszalała. Katarzyna z opowiadania Mikołaja Leskowa jest pozbawiona wrażliwości i sumienia. Z biesów nawiedza ją jedynie demon seksu. Byłby z Izmajłowej dobry bolszewik, ale urodziła się trochę za wcześnie.

Katherine, otoczona angielskimi gburami i hipokrytami, po prostu się nudzi. Mąż unika jej jak zarazy, wreszcie wyjeżdża w interesach, dając do zrozumienia, że prędko nie wróci. Dzisiaj w takich przypadkach do akcji wkracza czyściciel basenów lub dostawca pizzy. W epoce gorsetów pocieszycielami słomianych wdówek bywali zwykle stajenni. Jurny Sebastian ma wszystko, czego brakuje Aleksandrowi. Lady nie umie jednak zachować pozorów. „Za długo była na łańcuchu" – komentuje służba.

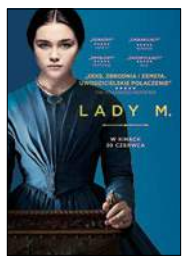

★★★☆☆☆
REŻ. WILLIAM OLDROYD
„LADY M." („LADY MACBETH")
WIELKA BRYTANIA 2016

wyst. Florence Pugh, Cosmo Jarvis, Naomi Ackie

Papier jest cierpliwy, ekran nie wszystko zniesie. Angielscy adaptatorzy skrócili tekst Leskowa, zmienili zakończenie, lecz minimalizm oryginału najwyraźniej im zaimponował. W efekcie film najpierw intryguje, potem zaczyna nużyć, a w końcu irytuje. Idealny przepis na kino festiwalowe. ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

TRZY ŻYCIA, JEDNO ŻYCIE

Największe zaskoczenie tegorocznych Oscarów. Osiem nominacji zamieniło się w trzy statuetki (w tym dla najlepszego filmu), a pochwały są zasłużone. Trzy okresy z życia dorastającego w okolicach Miami ciemnoskórego chłopaka (podstawówka, liceum, dorosłość), zmagającego się z rozmaitymi demonami. Jego matka to narkomanka, otoczenie, w którym się wychowuje, przesycone jest kultem przemocy, a on desperacko szuka autorytetów, na których mógłby się wzorować. Reżyser nie piętnuje, nie podżega, nie załamuje rąk nad losem mieszkańców Liberty City, po prostu pokazuje pewien kawałek rzeczywistości, a robi to z talentem i wrażliwością artysty kina. Pięknie zagrany, świetnie zmontowany i inteligentnie opowiedziany film o wyobcowaniu, jednocześnie bardzo delikatnie poruszający temat miłości homoseksualnej. Rzecz daleka od homopropagandy, po prostu dzieło sztuki. ©℗

★★★★★☆
BARRY JENKINS
„MOONLIGHT"
USA 2016, SOLOPAN

wyst. Alex R. Hibbert, Naomie Harris, Mahershala Ali, Ashton Sanders

WIELKA BAJKA CHIŃSKA

Anglik (Matt Damon) i Hiszpan (Pedro Pascal), amoralni najemnicy szukający dla zysku czarnego prochu, trafiają do mocno baśniowych Chin. Odkrywają, że Wielki Mur Chiński to jedyna ochrona przed krwiożerczymi bestiami Tao Tie, które atakują co 60 lat. Tego roku są wyjątkowo sprytne i groźne, więc mogą zniszczyć cały świat. Nowy film Zhanga Yimou to czysta fantazja, twórca „Hero" i „Domu latających sztyletów" nie zapomina jednak o ładunku chińskiej propagandy. Chińczycy są bowiem honorowi, uczciwi, żyją w idealnym społeczeństwie, w którym wszyscy troszczą się o siebie nawzajem i każdy jest bardzo ważny. Przybysze z Zachodu są natomiast zdradzieccy, chciwi i samolubni. Mimo to miłośnicy multi-kulti wśród krytyków wytykali filmowi zupełnie co innego. Miał mianowicie obrażać Chińczyków, sugerując, że do ocalenia swego kraju potrzebowali zbawcy o białym kolorze skóry. ©℗ ***recenzuje Piotr Gociek***

★★★☆☆☆
ZHANG YIMOU
„WIELKI MUR" („THE GREAT WALL")
CHINY 2016, FILMOSTRADA

wyst. Matt Damon, Pedro Pascal, Tian Jing, Willem Dafoe

GRA TYGODNIA: „STEEL DIVISION: NORMANDY 44"

★★★★★☆

Niedawno obchodziliśmy 73. rocznicę lądowania w Normandii, a dosłownie chwilę wcześniej na półki sklepów trafiła jedna z ciekawszych gier ukazujących taktyczny aspekt zmagań „drugiego frontu". „Steel Division" to bowiem taktyka w czystej postaci – od planowania składu naszych formacji bojowych, do ich rozmieszczenia na mapie, manewrowania i przesuwania linii kontroli obszaru, która przypomina mapy bitew z podręczników historii. Duża dbałość o detale, estetyczna grafika i realizm (można powalczyć dywizją gen. Maczka!) to plusy tej produkcji. Niestety, rozczarowuje krótka kampania dla pojedynczego gracza. ***Marcin Makowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Strategiczna*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Eugen Systems/Paradox*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *16+*

eprasa.pl c4240ca7a8

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Sprawdzian katyński

Autor tej książki urodził się w roku 1975, zatem – zdawałoby się – nie ma specjalnych powodów, by rozliczać się z komunizmem. Jednak to właśnie okres PRL-owski interesuje go najbardziej, a to dlatego, że świadomy jest szkód – wciąż obecnych – jakie komunistyczna propaganda poczyniła w naszym życiu społecznym i politycznym, w kulturze i piśmiennictwie. A że pasjonują go związki historii najnowszej i literatury, pisze z jednej strony m.in. o utalentowanych literacko AK-owcach, którzy – dla chleba, panie, dla chleba – poszli na służbę do czerwonego, a z drugiej strony o prozie zapomnianego dzisiaj, a niegdyś fetowanego, Bohdana Czeszki czy wydobytej przez filmowców z dna niepamięci Julii Brystygierowej – „Krwawej Luny", też parającej się piórem. Prześledził również Mariusz Solecki śladową obecność antykomunistycznej konspiracji w powstającej w kraju literaturze, w ogóle zresztą wątek żołnierzy wyklętych pojawia się u niego często i nieprzypadkowo, gdyż przypomnę, że jest autorem „Literackich portretów żołnierzy wyklętych", „Historii pisanych przez wojnę" i całkiem niedawno wydanej, pod tytułem „Płaszcz chwały", pierwszej antologii wierszy o tych, którzy przeciwstawili się komunie i walczyli z nią z bronią w ręku.

„Wynurzenie z czerwonej rzeki", najnowszą książkę Soleckiego, otwiera esej o… czterech pancernych: „Nabici w »Rudego« 102". Szkic zasługujący na jak najszerszą popularyzację, jako że zekranizowane dzieło Janusza Przymanowskiego wciąż straszy (a może uwodzi?) na wielu antenach telewizyjnych. Dla dzisiejszych dzieci jest ono już średnio ciekawe, nie można jednak wykluczyć, że dziadkowie nie tylko sami ronią łzy wzruszenia po raz setny oglądając serial, lecz także wobec wnuków stosują – bywa, że skuteczną – indoktrynację. Nie zawsze w złej wierze.

FOT. ARCHIWUM MARIUSZA SOLECKIEGO

Mariusz Solecki przypomina więc, że w istocie jedynym prawdopodobnym polskim bohaterem tego serialu jest najmniej z nim utożsamiany Tomek Czereśniak, że i Olgierd, i Grigorij to obywatele Związku Sowieckiego, a tego pierwszego w książce Przymanowskiego będącej podstawą filmu w ogóle nie było. W jaki sposób nastoletni Janek Kos trafił z Wolnego Miasta Gdańska nad rzekę Ussuri, do Przymorskiego Kraju, pozostanie słodką tajemnicą PRL-owskich propagandystów. Podobnie jak znalezienie się w załodze „Rudego" uciekiniera z Wehrmachtu, Gustlika Jelenia rodem ze Śląska Cieszyńskiego. Gustlik żeni się z panną Honoratą z Koniakowa, z którą – można domniemywać – żyć będą długo i szczęśliwie, tak samo jak Janek Kos z Marusią zwaną Ogoniok, ozdobą Armii Czerwonej. Autor „Nabitych w »Rudego« 102" zwraca jednak uwagę, że komuniści nie ufali Ślązakom, uważali ich za zakamuflowanych Niemców, w najlepszym razie za element niepewny etnicznie i ideologicznie. Stąd też założyli dla nich – prewencyjnie – koncentrak w Jaworznie, gdzie szalał sadysta Salomon Morel.

Żeby pozostać przy związkach naszej historii z literaturą, ale i z filmem, przywołam tu jeszcze inny szkic Soleckiego – „Czerwone flagi na polskim Parnasie", zawierający cytaty z jednej z najbardziej wstrętnych powieści PRL: „Pokolenia" Bohdana Czeszki. Na przykład takie: „Katyń to było wielkie zagranie tej kulawej małpy – Goebbelsa. Ale […] co jest dla nas Katyń? To jest sprawdzian. Każdego Polaka możesz zapytać, co sądzi o Katyniu. […] Jeśli powie: »To zrobili Rosjanie« – odejdź, masz do czynienia z wrogiem lub idiotą, jeśli powie: »To robota gestapo«, pogadaj z nim […] może zyskasz człowieka".

„Pokolenie" wydawane było w PRL 20 razy; ostatni raz – rok przed upadkiem komunizmu, w 50-tysięcznym nakładzie. Oddziaływanie tej książki spotęgowała ekranizacja Andrzeja Wajdy z 1954 r. W roku 2007 ten sam Wajda nakręcił „Katyń". Jakikolwiek komentarz jest tu zbędny.

Autor „Wynurzenia z czerwonej rzeki" stwierdza, że jego – jakże młodego człowieka! – polskość była poddawana permanentnej sowietyzacji. Jak? Wystarczy choćby wziąć do ręki 50-złotowy banknot z tamtej epoki, z gen. Świerczewskim „Walterem". Na co drugiej akademii szkolnej w dobie PRL dzieci recytowały wiersze o tym bohaterze wojny domowej w Hiszpanii, poległym z rąk UPA polskim generale. „Szkopuł w tym – pisze Mariusz Solecki – że ów oficer […] w roku 1920 walczył przeciwko Polsce – jako dowódca batalionu Armii Czerwonej. Walczył z poświęceniem. Niemałym. Gdyż został ranny w głowę i lewe ramię.

Lewe!". ©℗

★★★★★☆

MARIUSZ SOLECKI „WYNURZENIE Z CZERWONEJ RZEKI"
LTW, ŁOMIANKI 2017

eprasa.pl c4240ca7a8

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Nauki podglądacza

Gerald Foos napisał do amerykańskiego dziennikarza Gaya Talese'a w roku 1980. W liście opowiedział o swojej przypadłości oraz o nietypowej metodzie, jaką sobie z nią poradził. Foos był podglądaczem. Chociaż osiągał satysfakcję seksualną także w tradycyjny sposób, nie potrafił pokonać potrzeby podglądania innych ludzi. Żeby swą pasję zaspokoić, wyposażył kilkanaście pokojów w prowadzonym przez siebie motelu w specjalnie przerobione kratki wentylacyjne. Z poddasza obserwował życie innych ludzi, a wyniki swoich obserwacji skrupulatnie zapisywał. Proceder trwał całe dekady.

35 lat później stojący nad grobem podglądacz postanowił upublicznić swoje zapiski oraz przyznać się do wszystkiego. Tak oto amerykański reporter, dla którego dotąd korespondencyjna znajomość była tylko ciekawostką, mógł wreszcie napisać książkę o Foosie i jego notatkach. W USA ukazała się rok temu.

„The Voyeur's Motel" (oryginalny tytuł książki) to lektura tyleż ciekawa, co smutna. Foos, obficie przez Talese'a cytowany, nie kryje swojego rozczarowania bliźnimi i sam kilkakrotnie podkreśla, że im dłużej ich podglądał, tym bardziej stawał się mizantropem. Ta warstwa jego spostrzeżeń jest ciekawsza od obserwacji seksualnych obyczajów. Wyliczenia, kto z kim ile razy oralnie, klasycznie czy na inne sposoby, osobno, w parze czy w trójkącie, nie są bowiem żadną sensacją. Dokumenty Foosa ujawnione w czasach, gdy powstawały, mogłyby być sensacją, teraz to żadna rewelacja. Co do innych sfer ludzkiego zachowania, cóż... podglądani bliźni rozmawiają głównie o pieniądzach, kłócą się, oszukują i w większości robią wrażenie bardzo nieszczęśliwych. Współczułbym i autorowi notatek, gdyby nie to, że – jak sam przyznał – był wielokrotnie świadkiem zachowań sprzecznych z prawem (włącznie z kazirodztwem i morderstwem), lecz mimo to nic ze swoją wiedzą nie robił, bojąc się konsekwencji prawnych.

Najciekawsza obserwacja znalazła się na marginesie dziennika podglądacza i dotyczy przemian obyczajowych wywołanych pojawieniem się pigułek antykoncepcyjnych. „Zrodziła u wielu mężczyzn głód seksu na zawołanie" – zauważa Foos. „Kobiety zdobyły wolność wyboru, ale straciły prawo do wyboru odpowiedniego momentu".

Ech, miało być o seksie, a ja znowu o polityce. ©℗

★★★★☆☆
GAY TALESE „ZAPISKI PODGLĄDACZA" CZARNA OWCA 2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE:

Zaczyna się od trupa, ale to nie kryminał, lecz przypowieść o życiu we współczesnej Polsce. Z dala od zgiełku, ale bardzo blisko ważnych pytań o nasze życiowe wybory. No i o miłości, która wybiera, jak chce i kiedy chce.

JAN GRZEGORCZYK „CHASZCZE" ZYSK I S-KA

Zamknięcie apokaliptycznej trylogii autorki „Opowieści podręcznej". Ludzkość wybita została przez zarazę, a jej następcy, Derkaczanie, budują własny świat. Poprzednie tomy to „Oryks i Derkacz" oraz „Rok potopu".

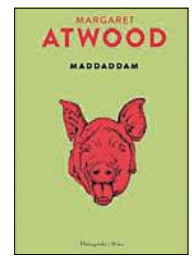

MARGARET ATWOOD „MADDADDAM" PRÓSZYŃSKI I S-KA

Więcej niż klasyka – zebrane dzieła arcymistrza polskiej poezji obdarzonego wyjątkową wyobranią. Edycja popularna, w miękkiej oprawie, oparta wprawdzie na wydaniu krytycznym z roku 2010, ale nie obejmująca przypisów.

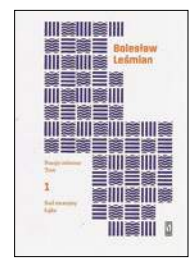

BOLESŁAW LEŚMIAN „POEZJE ZEBRANE" TOMY 1–2, PIW

To już dziewiąty tom cyklu kryminałów o poznańskich milicjantach, ale Ćwirlej trzyma poziom. Tym razem akcja rozgrywa się w roku 1986, a wprawia ją w ruch kradzież srebrnej figury św. Wojciecha z sarkofagu w Gnieźnie. ©℗

poleca Piotr Gociek

RYSZARD ĆWIRLEJ „MILCZENIE JEST SREBREM" MUZA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE – AUDIOBOOKI:

1. ***Stanisław Lem „Solaris" (czyta zespół) – klasyka polskiej i światowej fantastyki w dźwiękowej superprodukcji.***
2. ***George R.R. Martin „Uczta dla wron. Sieć spisków" (czyta Krzysztof Banaszyk) – druga część czwartego tomu sagi fantasy „Pieśń lodu i ognia" rozpoczętego powieścią „Gra o tron".***
3. ***Margaret Atwood „Opowieść podręcznej" (czyta Magdalena Cielecka) – znakomita antyutopia feministyczna, znów na fali dzięki serialowi TV.***
4. ***Remigiusz Mróz „Deniwelacja" (czyta Krzysztof Gosztyła) – czwarty tom serii kryminalnej. Komisarz Wiktor Forst kontra seryjny morderca z Podhala.***
5. ***Paula Hawkins „Zapisane w wodzie" (czyta zespół lektorów) – nowa powieść autorki bestsellerowej „Dziewczyny z pociągu". Rozpisana na 11 głosów.***

(Najczęściej kupowane audiobooki tygodnia w serwisie Audioteka)

eprasa.pl c4240ca7a8

JAN POSPIESZALSKI

KONTRA/BASEM

Koncert Jednego Serca Jednego Ducha, Rzeszów 2017 r. FOT. TADEUSZ POŹNIAK

Piętnaste spotkanie w Rzeszowie

Nieważne, kto będzie na plakacie i czy w ogóle będą plakaty, każdego roku w Boże Ciało na koncercie w rzeszowskim parku Sybiraków zjawia się 20–40 tys. słuchaczy. O koncertach Jednego Serca Jednego Ducha pisałem, ale tak jak corocznie media odnotowują festiwale Sacrum Profanum, Jazz nad Odrą czy Wratislavia Cantans, tak największy cykliczny koncert muzyki chrześcijańskiej (być może jedyny taki w Europie) wart jest nie tylko odnotowania.

Gdy przegląda się w Internecie zapisy koncertów, zarówno z tego roku, jak i tych sprzed lat, uderza atmosfera niespotykana na innych muzycznych spędach. Czy będzie to radość tanecznych hitów, czy skupienie i refleksyjne kołysanie przy wolnych kawałkach, twarze słuchaczy, gesty, spojrzenia, wyłowione przez telewizyjną kamerę świadczą o tym, że tu się dzieje coś więcej. Stutrzydziestoosobowy chór, orkiestra, zespół NewLife'm, kapela góralska, w końcu międzynarodowy zestaw solistów i prowadzący Jan Budziaszek, tworzą jakiś mistyczny spektakl – rozpięty między muzycznym widowiskiem, modlitewnym czuwaniem, paraliturgiczym spotkaniem i gospelowym szaleństwem.

Muzyka, owszem, jest ważna, mistrzowsko zaaranżowana, zagrana i zaśpiewana bardzo profesjonalnie, ale tym, co przyciąga i gromadzi zarówno artystów, jak i słuchaczy jest wyczuwalne nawet przez ekran monitora ogromne dobro.

W dodatku dzieją się rzeczy nieprzewidywalne, jakby nad scenariuszem czuwał ktoś z góry, sprawiając, że np. występ skromnego, nikomu nieznanego neoprezbitera z Ukrainy okazuje się najbardziej poruszającym punktem programu. A tym, co najbardziej zdumiewa, są niezwykła świeżość i siła. Mimo że to już po raz 15., wszyscy uczestnicy wydarzenia, w jednym pulsie i w jednym duchu, przez ponad trzy godziny tworzą realną wspólnotę, ciągle młodą i pełną energii. ©℗

Więcej na: www.jednegoserca.pl

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

Seifert spotęgowany

Zbigniew Seifert zmarł w wieku zaledwie 32 lat. Był u progu światowej kariery. Przed śmiercią, w lutym 1979 r., ukazał się jego drugi amerykański album „Passion" nagrany z udziałem sław jazzu Jacka DeJohnette'a, Johna Scofielda, Eddiego Gómeza i Naná Vasconcelosa.

Atom String Quartet sam w sobie jest zjawiskowy, ponieważ kwartety smyczkowe nie są kojarzone z jazzem. Muzycy, którzy są obecnie w wieku umierającego Seiferta, wybrali głównie utwory pochodzące z niemieckiego albumu „Man of the Light" (1976) i amerykańskiego „Seifert" (1977). Oryginalne nagrania utrzymane w jazz-rockowej stylistyce brzmią dziś nieco archaicznie, choć sama gra krakowianina wciąż porywa. Natomiast cztery smyczki w rękach wybitnych instrumentalistów spotęgowały niepowtarzalne brzmienie skrzypiec Seiferta i dały kompozycjom współczesny, nowy wymiar. Skrzypkowie (Dawid Lubowicz i Mateusz Smoczyński) zagrali po jednym utworze solo, a duet Krzysztof Lenczowski (wiolonczela) i Michał Zaborski (altówka) wykonał utwór „Stillness". To nie przypadek, gdyż przez fachowców album „Solo Violin" uważany jest za najwybitniejsze dzieło polskiego Coltrane'a skrzypiec.

Seifert był uważany za jednego z najwybitniejszych innowatorów skrzypiec jazzowych, ale przez lata pamięć o nim zanikała. Ten album przywraca mistrzowi należne miejsce w świadomości polskich fanów muzyki improwizowanej. ©℗

★★★★★★
ATOM STRING QUARTET „SEIFERT" ZBIGNIEW SEIFERT FOUNDATION

★★★★★☆
WARSAW TANGO GROUP & KATARZYNA DĄBROWSKA „WARSZAWSKIE TANGO ELEKTRYCZNE" POLSKIE RADIO

Kompozytorka Urszula Borkowska, nie odrzucając tradycji, poszerzyła swoje tanga o elektroniczne brzmienia. Do nagrań zaprosiła aktorkę Katarzynę Dąbrowską. Całość rzeczywiście rozbrzmiewa dźwiękami i klimatami zaułków stolicy. ©℗

★★★☆☆☆
SARSA „PIÓROPUSZE" UNIVERSAL

19. miejsce na liście OLiS oznacza, że album nie powtórzy platynowego sukcesu debiutu. Artystyczne dojrzewanie Sarsy sprowadziło się do podpatrywania światowych gwiazd. Muzycznie nowocześnie, tekstowo dość banalnie. ©℗

eprasa.pl c4240ca7a8

STRAŻNIK PAMIĘCI 2017

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.
Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

V EDYCJA
NIEZWYKŁEJ NAGRODY

PARTNERZY STRATEGICZNI:

ORLEN

Energa

PARTNER GŁÓWNY:

PGNiG

PARTNER WYDARZENIA:

LOTTO

MECENAS:

PWPW
POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

WIĘCEJ INFORMACJI NA
www.dorzeczy.pl/straznik-pamieci/

eprasa.pl c4240ca7a8

FOT. FOTOLIA

Rafał A. Ziemkiewicz

Unia Europejska nie radzi sobie z rzeczywistymi problemami wspólnoty krajów członkowskich, ale wciąż śni o potędze

Europa kanonierek

Przewodniczący Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker oznajmił w wywiadzie dla niemieckiej gazety, że gdyby kilkanaście lat temu Polska i inne kraje Grupy Wyszehradzkiej prowadziły taką politykę jak obecnie, to nie zostałyby w ogóle do Unii Europejskiej przyjęte. Riposta na te bezczelne słowa wręcz się narzuca: gdyby Polacy mogli wtedy przewidzieć, w co się kilkanaście lat później przekształci Unia Europejska, nie ubiegaliby się o członkostwo. Węgrzy, Czesi i Słowacy zapewne też.

Jeśli ktoś miał jeszcze wątpliwości, że jesteśmy dziś w zupełnie innej organizacji, niż ta, do której wchodziliśmy, to wywiad, jakiego właśnie udzielił prezydent Macron ośmiu europejskim gazetom, z bezprzykładnym atakiem na suwerenność Polski i Węgier, powinien je ostatecznie rozwiać. Takie słowa nie mogłyby paść w czasach, gdy obowiązywał nicejski system podejmowania decyzji, znacznie bardziej szanujący mniejsze państwa (fakt, że śp. Lech Kaczyński dał się oszukać, wcisnąć nic niewart „kompromis z Joaniny" i odstąpił od twardej linii w tej sprawie był największym błędem w jego politycznej karierze).

Zapewniano nas wtedy, że Unia nie będzie nigdy próbowała narzucać krajom członkowskim żadnej ideologii ani wtrącać się w sposób rozstrzygania przez kraje członkowskie spraw obyczajowych. Rozszerzenie Unii przedstawiano jako obopólnie korzystny interes – bardziej rozwinięte kraje zachodnie zyskują dzięki otwarciu rynków nowych państw członkowskich i dzięki swobodzie przepływu pracowników nowe możliwości rozwoju, aby zaś nie działo się to kosztem krajów zatrzymanych na pół wieku w swym rozwoju przez „realny socjalizm" dadzą im wsparcie m.in. w postaci funduszy strukturalnych. Można by tę wyliczankę wydłużyć, ale ograniczmy się do spraw najważniejszych.

Co poszło nie tak? Co spowodowało, że dzisiejsza Unia Europejska zamieniła

eprasa.pl c4240ca7a8

się w parodię Związku Sowieckiego, że rości sobie prawo do glajchszaltowania współtworzących ją społeczeństw i łamania przez największe państwa, których emanacją jest eurokracja, demokratycznie wyrażonej woli mieszkańców państw mniejszych?

Splot kilku czynników i efekt kilku procesów. Najłatwiejszym do zauważenia – i stąd najczęściej zauważanym – jest ideologizacja europejskich elit. Fakt, że w Kościele katolickim trwa właśnie proces wynoszenia na ołtarze Roberta Schumana, inspiratora i współzałożyciela Unii Europejskiej, w zestawieniu z tonem, jakim dziś jej instytucje przemawiają, skłania do najsmutniejszych refleksji, jak daleko odeszła Europa od swych korzeni.

PROCESY GNILNE

Specyficzna nomenklatura, jaką wytworzyła Unia w drodze kooptacji od wewnątrz i zalecanego przed laty przez Gramsciego „długiego marszu przez instytucje", mimo używania etykietek „chadek", „liberał", „socjaldemokrata" jest w zasadniczych sprawach jednolicie lewicowa. Jej zideologizowanie sprawia, że ma podobny kontakt z rzeczywistością, jak swego czasu starcy z Kremla. Jej sposób myślenia określają doktryny, których podawać w wątpliwość i weryfikować nie wolno pod karą wykluczenia.

Dobrym tego przykładem jest fakt, jak na europejskich uczelniach traktowano teorię optymalnych obszarów walutowych, za którą prof. Robert Mundell otrzymał Nagrodę Nobla (jak na ironię, w 1999 r. – tym samym roku, kiedy wspólna waluta europejska została zainaugurowana). Ponieważ szybko okazało się, że nagrodzona teoria wróży wspólnej walucie zupełnie inną przyszłość, niż oficjalnie głoszono, po prostu przestała dla Europy istnieć – a próby powoływania się na nią przez wiele lat zbywano lekceważeniem, bez jakichkolwiek powodów uznając noblistę za człowieka niepoważnego, którego oderwanie od realiów jest tak powszechnie znane, że nie trzeba go udowadniać. W taki sam sposób immunizowały się europejskie elity na wszelkie przejawy myśli, która nie pasowała do doktryny lub naruszała obowiązujący optymizm. W parze z tym szedł dobór personalny – wstępu do unijnej nomenklatury nie miał nikt, kto nie spełniał wymogów politycznej poprawności, czego najbardziej znanym przykładem była sprawa Rocco Buttiglionego, niedopuszczonego do stanowiska członka Komisji Europejskiej z uwagi na otwarcie głoszony katolicyzm i wynikający z niego brak entuzjazmu dla ruchów LGBT. Tę lekcję, nawiasem mówiąc, dobrze zrozumiał Donald Tusk, który dla spełnienia kryteriów europejskiej kariery nie zawahał się poprowadzić własnej partii na kurs kolizyjny z wyborcami, wiedząc, że skończy się to utratą przez nią władzy.

Nietrudno zrozumieć, że środowisko przez wiele lat dobierane według takich kryteriów w końcu przestało funkcjonować w realnym świecie i zaczęło zamykać się we własnych urojeniach. Zamiast rozwiązywać narastające problemy, eurokraci brną dziś w zawzięte obstawanie przy szalonych projektach, które ani nie są możliwe do zrealizowania, ani – gdyby nawet dało się je zrealizować – niczego by nie poprawiły. Plan „relokacji uchodźców" według sztywnych kwot, pod karami finansowymi, z jednoczesnym uczynieniem obdarowanych „relokantami" państw odpowiedzialnymi za utrzymanie ich we własnych granicach, pod groźbą kolejnych kar, jest znakomitym przykładem takiego absurdu. Bynajmniej nieodosobnionym. Od kilkunastu lat obserwować można, jak organa wspólnotowe – nie radząc sobie z rzeczywistymi problemami – szukają kompensacji w snach o potędze. I tak np. Unia Europejska poczuła się zobowiązana do misji zlikwidowania na całym świecie kary śmierci (mało kto pamięta, że nawet Putin wykonał ten gest właśnie dla niej) albo do uratowania planety przed zagładą klimatyczną przez wymuszenie na wszystkich mniejszych państwach zakupu jej „ekologicznych" technologii i przestrzegania limitów emisji dwutlenku węgla. Do takich misji na skalę świata zaliczono też realizację ideologicznych postulatów LGBT, upowszechnienie ideologii gender poprzez „walkę z przemocą wobec kobiet" etc. – w imię czego zarzucono rozsądną i bardzo dla budowli europejskiej potrzebną zasadę nienarzucania poszczególnym państwom ideologicznego ustawodawstwa.

Pracując nad tak wielkimi, historycznymi zagadnieniami, łatwiej mogą władcy Europy rozgrzeszyć się z dojmującej niemożności w drobiazgach tego rodzaju jak niezdolność do ochrony własnych granic, zapewnienia bezpieczeństwa obywatelom czy drenowania słabszych gospodarek przez silniejsze w ramach wspólnej strefy walutowej,

REKLAMA

KSIĘGARNIA

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA
PREZENT

Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 2 lipca 2017 r.

1.

~~39,90 zł~~ 29,90 zł

2.

~~49,00 zł~~ 32,50 zł

3.

~~39,90 zł~~ 31,90 zł

4.

~~59,00 zł~~ 39,50 zł

5.

~~39,90 zł~~ 26,50 zł

ZAMÓW:
www.ksiegarniadorzeczy.pl
12 431 25 78

eprasa.pl c4240ca7a8

czego skutkiem są m.in. bezrobocie młodych, sięgające w krajach unijnego południa 50 proc., oraz coraz bardziej realna perspektywa bankructwa rozbudowanych systemów opieki społecznej.

Jednak zaczadzenie ideologiczne to tylko początek procesu gnilnego, który poraził i w znacznym stopniu pochłonął dziedzictwo Roberta Schumana. Zgodnie ze starym powiedzeniem: „Przyroda nie toleruje próżni". Szczególnie dotyczy to władzy. Jeśli władza słabnie bądź popada w szaleństwo, to nie znaczy, że biegiem spraw nie kieruje nikt, ale że robi to ktoś inny. Słabe systemy władzy rozrywane są przez grupy interesów, sitwy, lobby, wszelkiego rodzaju kamaryle i mafie. Szczególnie jeśli zniedołężniała władza dysponowała szerokimi prerogatywami i narzędziami do narzucania swej woli – a tak właśnie jest z Unią Europejską – to narzędzia te, nad którymi straciła zdolność panowania, zaczynają być przechwytywane przez rozmaite sitwy i wykorzystywane do załatwiania własnych partykularnych interesów.

MOC GRUP INTERESÓW

Nieuchronnym skutkiem porażenia ideologicznego Unii Europejskiej było więc przejęcie nad nią kontroli przez silne grupy interesu. W niektórych przypadkach wypełnianie wspólnotowych kompetencji wzięło na siebie po prostu państwo niemieckie, które dzięki europejskiej walucie wyrosło na dominujące nad resztą wspólnoty mocarstwo. To drugi po ideologizacji najczęściej zauważany – bynajmniej nie tylko na wschodzie Unii, także na jej południu – objaw europejskiej choroby. Jednak większość funkcji Unii przejęły wielkie, ponadpaństwowe koncerny, grupy finansowe i inne organizmy, które nie mają szczególnej strategii sięgającej poza usunięcie wszelkich przeszkód do maksymalizowania zysków.

Wymownym faktem jest sam skład urzędującej obecnie Komisji Europejskiej. Blisko połowa komisarzy, zanim nimi została, przez wiele lat oficjalnie zajmowała się w Brukseli lobbingiem na rzecz wielkich korporacji, głównie energetycznych i żywnościowych. A postawienie na czele takiego gremium byłego premiera Luksemburga, który w porozumieniu z rekinami finansjery zamienił swój kraj w wewnątrzunijny raj podatkowy i pralnię pieniędzy, współorganizując proceder wyprowadzania miliardowych zysków korporacji spod opodatkowania państw członkowskich, mówi samo za siebie.

Unia Europejska w wielu sprawach okazała się nieskuteczna, ale okazała się też bardzo dobrym narzędziem do zmuszenia setek milionów konsumentów, by zamiast zwykłych żarówek kupowali 10 razy droższe „ekologiczne", by wyrzucali zupełnie dobre samochody czy sprzęty domowe i kupowali „certyfikowane" etc. Unijne dyrektywy zostały podporządkowane przede wszystkim niepisanej zasadzie maksymalizowania zysków tych, którzy są na tyle silni i wpływowi, by sobie taką dyrektywę w Unii załatwić.

Ten ostatni, najrzadziej dostrzegany aspekt unijnej słabości jest z naszego punktu widzenia najważniejszy. Albowiem – jak to ujął w chwili szczerości były minister poprzednich rządów Michał Boni – „zachodnie koncerny traktują nas jak przestrzeń neokolonialną". Z szumnych haseł o niesieniu wschodniej Europie wartości i dobrobytu, ze wzniosłych zaklęć o „europejskiej solidarności" tak naprawdę pozostało jedno: maksymalizowanie zysków firm wywodzących się z państw „starej unii".

To, co było zasadniczym powodem naszego przystąpienia do Unii, jest nam zabierane, krok po kroku

W wieku XIX, gdy w identyczny sposób degenerowała się „misja białego człowieka" wobec Afryki i na innych kontynentach (nikt dziś nie pamięta, jak wzniosłe uzasadnienia miał kolonializm), symbolem „maksymalizowania zysków" stały się kanonierki. Okręty wojenne niewielkie, ale wystarczające, żeby sterroryzować lokalne władze w miejscach, gdzie kompanie handlowe spodziewały się opłacalnej eksploatacji – jeśli ktoś stawał interesom kompanii na drodze, patronujące jej państwo przysyłało owe kanonierki, których działa brały na cel siedziby lokalnych kacyków i zmuszały ich do podpisania odpowiednich koncesji. W chwili obecnej w krajach takich jak nasz odpowiednikiem owych kanonierek stały się unijne dyrektywy, pisane pod dyktando lobbystów.

Wbrew histerii „proeuropejskich" mediów, które kłopoty wspólnoty wiążą z „populizmem" i „krnąbrnością" takich państw jak Węgry czy Polska, to tu właśnie tkwi największe zagrożenie dla spoistości, a nawet dalszego istnienia Unii Europejskiej. Tym bardziej że w ramach walki z „populizmem" (jak europejska nomenklatura nazywa po prostu funkcjonującą nie po jej myśli demokrację) przekroczono granicę, która być może okaże się odpowiednikiem historycznego Rubikonu.

Potępiono mianowicie otwarcie to, co stanowi rzeczywistą podstawę Unii Europejskiej – swobodę przepływu usług, kapitału i siły roboczej. Atak Emmanuela Macrona, który jeszcze jako kandydat na prezydenta oskarżył Polskę o „kradzież francuskich miejsc pracy" i zapowiedział sięgnięcie po narzędzia protekcjonizmu ani nie był odosobniony, ani nie spotkał się z oburzeniem. Przeciwnie, w krajach „starej unii" zapanowało przyzwolenie na tego rodzaju wypowiedzi. Oto więc to, co było zasadniczym powodem naszego przystąpienia do Unii ze wszystkimi jego konsekwencjami, jest nam zabierane, krok po kroku, jak na przykład w przypadku planowanej „dyrektywy o pracownikach delegowanych". Eurokracja, pogrążając się w „szaleństwie władzy" (termin Barbary Tuchman) dostrzegła szansę ratowania swej zachwianej pozycji w tym, co skądinąd tak głośno potępia – w populizmie właśnie. W odwołaniu się do zachodnich społeczeństw z prymitywną demagogią, iż za utratę przez nie poczucia bezpieczeństwa odpowiada nie nieudolność i ideologiczny obłęd ich państw, ale wpuszczenie do wspólnoty Polaków, Węgrów i innych „niedorosłych do demokracji" nacji, które pracują za mniejsze pieniądze i produkują taniej, kradnąc Europejczykom zyski i miejsca pracy.

W chwili, gdy za tą demagogią pójdą czyny, rozpad Unii Europejskiej zostanie przesądzony. Chociaż, jak to zwykle bywało w historii, nikt zapewne długo jeszcze nie odważy się go ogłosić. Będzie się podtrzymywało pozory, tak jak w Cesarstwie Rzymskim, które przez cały wiek uparcie udawało republikę i chciało wierzyć, że wciąż nią jest – ale zasady europejskiej polityki wrócą w koleiny wyznaczone przed 200 laty decyzjami kongresu wiedeńskiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c4240ca7a8

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Światowo, bo z kolczykami

Mój znajomy mieszka w Holandii, gdzie sam ma wielu znajomych. I jeden skarżył mu się niedawno, że będzie sobie musiał zrobić tatuaż, chociaż nienawidzi tatuaży.

Ano tak. Biedaczysko pracuje w branży reklamowej i tam podobno – według jego relacji – nie ma ludzi niewytatuowanych. Nie ma też oczywiście żadnej presji ani przymusu, w końcu Amsterdam to stolica światowego liberalizmu – ale gość się po prostu głupio czuje. Nago i nie na miejscu. Co więcej, ma poczucie, że jako osobnik bez tatuażu, jest w swym środowisku niewiarygodny. Trochę tak jak drwal bez brody albo hokeista z jedynkami. Zdecydował się zatem poświęcić na ołtarzu kariery zawodowej swe obrazkowe dziewictwo.

Faktycznie, w pewnych branżach brak tatuażu nie przystoi. Kiedyś ciało przyozdabiali w ten sposób głównie przestępcy i marynarze, ale od czasów kapitana Cooka wiele się zmieniło. Trudno być dzisiaj np. niewytatuowanym piłkarzem. Zawodnik taki musi się czuć równie niezręcznie jak abstynent na imprezie wyprawionej w melinie.

Trudno też liczyć na karierę baristy w Warszawie, jeśli nie ma się kolczyka wbitego w twarz. Uszy to oczywiście banał. Lepsze jest kółko w nosie, ćwiek w ustach bądź policzku czy uroczy koralik podkreślający wysokość czoła. Sieciowe kawiarnie, którym zapewne zależy na uzyskaniu efektu „światowości", musiały chyba zatrudnić specjalne oddziały head hunterów do odławiania obkolczykowanych młodych ludzi. W każdym razie trudno znaleźć lokal serwujący kawę, w którym nie wita cię młodzieniec z przebitym językiem. Naprawdę człowiek może poczuć się nie tylko jak mieszkaniec Nowego Jorku, lecz także nawet jak dr Livingstone penetrujący najodleglejsze zakątki czarnej Afryki.

Ci bariści (i baristki) to zazwyczaj przesympatyczni ludzie. Trzeba jednak przyznać, że niektórzy czują się naprawdę bardzo ważni, prawie tak ważni jak baby ze sklepów mięsnych w ascetycznych latach 80. ubiegłego wieku. Z niewiadomych dla mnie powodów wydaje im się, że sprzedając kawę w kawiarni, wspięli się na wyżyny kariery zawodowej, a że mają kółka w uszach, mogą patrzeć z góry na prymitywnych osobników nieposiadających żadnej biżuterii w nosie.

Szalenie mnie tacy obkolczykowani ważniacy irytują. Szczególnie ci walący na „ty" do ludzi mogących być ich dziadkami. Dlatego bardzo sobie chwalę scenę, której byłem świadkiem. Pewien ważny barista dawał klientom do zrozumienia, jak mało są cool i jak bardzo powinni być zaszczyceni pobytem w przybytku globalnej firmy. I wtedy podeszła do niego prześliczna kobieta, podsunęła mu kubek pod nos i grzecznie zapytała: „Przepraszam, czy mogłabym dostać kawę w kubku bez cudzej szminki?". ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Pudelek jako rottweiler

Plotka jest bronią zabójczą. Nawet zdementowana pozostawia osad w umysłach, wywołujący gangrenę stosunków międzyludzkich.
W życiu politycznym plotka stosowana była od wieków z dużą skutecznością. Pierwszy z brzegu przykład to czarny PR wokół Marii Antoniny. Przypisywanie jej udziału w aferze związanej z naszyjnikiem królowej było jednym z elementów prowadzących Francję do rewolucji, a Marię Antoninę do gilotyny.

Nawet największa bzdura rzucona na rozognione umysły zapuszcza korzenie i wydaje zatrute owoce

Współcześnie w polsko-polskiej wojnie plotek, noszących najczęściej nazwę fake newsów, nie brakuje, a największa nawet bzdura, rzucona na rozognione umysły, zapuszcza korzenie i wydaje zatrute owoce.

Interesujące, że batalia przeniosła się na obszary dotąd neutralne – wprawdzie eksploatujące plotkę, ale głównie obyczajową i celebrycką. Niepostrzeżenie forum takiej operacji stał się portal Pudelek. Przynajmniej od roku, gdy został zakupiony przez Wirtualną Polskę, okazuje się jednym z frontów, tym groźniejszym, że zakamuflowanych. Między banialukami o romansach gwiazd, powiększaniu piersi i towarzyskich skandalach coraz częściej pojawiają się informacje polityczne, czasem wymyślone, czasem nie, ale prawie zawsze tendencyjne. Co gorsza, często ci, których to dotyczy, nawet o tym nie wiedzą, ponieważ grzebanie się w medialnym maglu wydaje się im poniżej godności. Niesłusznie. Ilu bowiem czytelników może mieć poważny, racjonalny tygodnik opinii? Sto tysięcy? A niechby i dwieście. Natomiast wiedzę o świecie z Pudelka czerpią miliony, w dodatku nie konfrontując jej z przekazami z innych źródeł. Plotka idzie w świat, kształtuje nastroje, utrwala postawy niechętne jednym, a przychylne drugim. Bez tej działalności takie zjawiska jak obrażanie się na media narodowe całych środowisk, a zwłaszcza ich koryfeuszy, byłoby niemożliwe.

Okazuje się bowiem, że o wiele łatwiej niż czytelników Pudelków, którzy mimo wszystko zachowują zdrowy rozsądek, udaje się ogłupienie dotychczasowych bohaterów tych stron internetowych. Jak inaczej bowiem wytłumaczyć sobie bronienie tego, co nie jest zagrożone (np. demokracja) i atakowanie tego, co powinno być święte i korzystne dla wszystkich (racja stanu)?! ©℗

eprasa.pl c4240ca7a8

Robert Bogdański

Czy Roy Larner ocali Europę?

Jak długo jeszcze Europejczycy będą zamazywać ślady krwi na asfalcie kolorowymi kredkami i wypierać islamskie zagrożenie ze swojej świadomości?

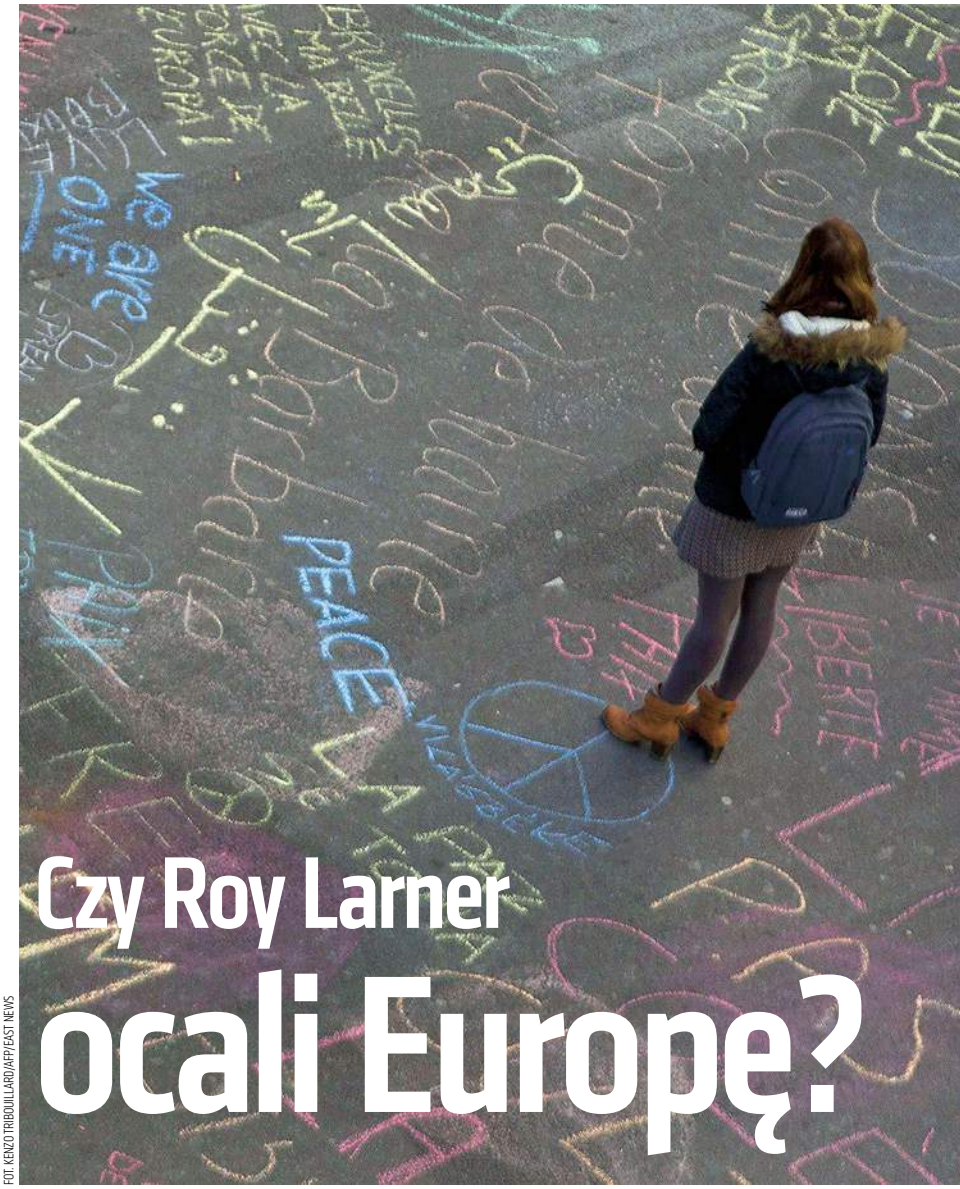

FOT. KENZO TRIBOUILLARD/AFP/EAST NEWS

Kto stoi pomiędzy nami a terrorystami? Złośliwi twierdzą, że kredki. Po zamachach chodniki zaatakowanych miast pokrywają się wielokolorowymi rysunkami, które mają chyba dla rysujących znaczenie magiczne. Manifestują, że się nie poddali, że ich życie trwa jak dawniej, normalnie, brakuje wśród nich jedynie kilku/kilkudziesięciu osób (niepotrzebne skreślić). Krew na chodniku wysycha, nabiera płowej barwy, wtapia się w wyglądające na dziecinne malowidła, oswojona, nietragiczna. Tak było na bulwarze w Nicei rok temu. Tak było w Paryżu, Brukseli, Berlinie…

Do kredek można dorzucić muzykę. Po zamachu na paryski klub Bataclan przed wejściem wystawiono fortepian z wymalowaną pacyfą, a pianista grał na nim „Imagine" Johna Lennona, manifest świeckiej religii pragnącej odesłać wszystkie inne w niebyt. Pianista grał, ludzie wzruszeni stali obok, fotoreporterzy fotografowali… Tak reaguje Europa przyszłości. Europa ludzi łagodnych, nowoczesnych, pokojowo nastawionych, pragnących się bawić i żyć w dobrobycie. Oddających dzieło chronienia niewinnych wyszkolonym i uzbrojonym profesjonalistom, którzy jednak mają to do siebie, że na miejscu ataków zjawiają się dopiero wówczas, gdy ofiarom pozostają już tylko kredki. Lub muzyka.

W londyńskiej knajpie siedział facet, który był zaprzeczeniem łagodności i nowoczesności. Nazywał się Roy Larner i nie był ideałem obywatela. Miał w sobie kilka pint piwa i szczere brytyjskie przekonanie, że nikt mu nie podskoczy. Kiedy do sali wbiegli ludzie z maczetami wrzeszczący: „Allah akbar!", on rzucił się na nich bez namysłu z okrzykiem: „I'm Milwall! Fuck you!". I przytrzymał ich cenne pół minuty, które pozwoliły innym ludziom zbiec na zaplecze i zabarykadować drzwi. Oberwał nieźle, ale w bójkach stadionowych pewnie nieraz obrywał. W szpitalu, gdzie leży z zabandażowanymi obiema rękami, szwami na głowie i szyi i kozacko pozuje z flagą Millwall, pewnie nuci sobie ich klubową przyśpiewkę: „Fuck them all! Fuck them all! United, West Ham, Liverpool, 'caus we are the Millwall and we are the best, we are the Millwall so fuck all the rest!".

KOSMICI Z MACZETAMI

Skąd znam ten kawałek? Nie, nie jestem fanem angielskich drużyn ani badaczem socjologii sportu. Znam go z opowieści subtelnej polskiej intelektualistki. Z entuzjazmem o Millwall opowiadała w wywiadzie rzece znana filozofka, Agata Bielik-Robson, która na początku lat 90. wyszła za mąż za londyńczyka, kibica Millwall. Opowiadała o tym, jak oglądała efekty przemocy: „Półtrupy zakrwawione, posiniaczone, z jakimiś tulipankami wbitymi w ramiona i uda"…

Opisywała atmosferę trybun, na których każdy mógł na całe gardło wywrzeszczeć światu „fuck'em all", i nie byłaby wykształconą intelektualistką, gdyby nie wysublimowała tego, co w Polsce zapewne uznałaby za „zdziczenie stadionowej żulii", w subtelną intuicję źródeł psychologicznych sukcesu „Old Merry England": „I wtedy zrozumiałam, czym jest Szekspirowska Anglia. Zrozumiałam, co to jest życie na full, życie na maksa, rozpętane, nakręcone jak sprężyna zegarka. Miałam empiryczny, namacalny dowód tego, że potencjał można rozkręcić aż tak, że całym ciałem, całym sobą jesteś i coś przeżywasz. Zobaczyłam buzujący kocioł, to, czym żywi się cały ten naród i cała cywilizacja. Zobaczyłam tę surową energię i zrozumiałam, że nie ma cywilizacji bez paktu z tą energią". Ta „pierwotna energia", która – wspomagana

eprasa.pl c4240ca7a8

kilkoma pintami piwa – buzowała w kibicu Millwall, Royu Larnerze, zwróciła się bez namysłu w kierunku napastników z maczetami pragnących nazabijać jak najwięcej niewiernych, tak jak zwróciłaby się przeciwko komukolwiek, bo taka jest jej natura. W dziwnym filmie „Koniec świata", którego akcja dzieje się w małym angielskim miasteczku, widać taką właśnie „surową energię" w działaniu: jeden z bohaterów, członek grupy kumpli, która postanowiła przejść szlak 12 knajp, w każdej pijąc co najmniej jedno piwo, zostaje zaatakowany w toalecie pubu przez androida – przybysza z kosmosu. Bez wahania staje z nim do walki i daje mu zdrowy wycisk: z oderwanej głowy kosmity leje się strumień niebieskiej cieczy. Pojawiają się nowi kosmici, ale kumple zaatakowanego także włączają się do walki i wkrótce kosmici leżą na podłodze w kawałkach, a bohaterowie brodzą w niebieskiej cieczy, która leje się z ich korpusów…

Roy Larner po prostu dał wycisk kosmitom z maczetami, którzy zjawili się w jego knajpie jakby z innego świata. Pozostali klienci knajpy uciekli, bo albo były to kobiety i dzieci, albo nie byli przyzwyczajeni do walki. Gdyby trójka kosmitów z planety Allah Akbar nie napotkała Roya, wtedy tych, którzy siedzieli za stołami w knajpie, spotkałby los androidów z filmu: ich korpusy leżałyby rozczłonkowane na podłodze, a kosmici brodziliby w czerwonej cieczy. Klucz do tego, kto będzie leżał na ziemi i jaki będzie kolor cieczy wylewającej się z korpusów, leżał w rękach prostego kibola Millwall – Roya Larnera.

KIBOL CZY BOHATER

Ciekawe, że bohater tej historii, oprócz oczywiście frenetycznego entuzjazmu, jaki wywołał wśród innych „kiboli", a także wśród czytelników brukowca „The Sun", ludzi niewykształconych i niewyrafinowanych, powiedzmy to sobie szczerze – niekulturalnych – znacznie mniejsze zrozumienie zyskał u współczesnych „kulturträgerów". Jego historię trudno było znaleźć na stronie internetowej klubu, któremu kibicuje i z którego nazwą na ustach szedł na śmiertelną walkę. Proszę wybaczyć patos, ale w gruncie rzeczy słowa te oddają rzeczywistość – to, że Roy Larner przeżył, wydaje się cudem.

Klub Millwall ma ze swoim bohaterem taki problem, że nie pasuje on do jego aspiracji stania się miejscem spotkań ludzi kulturalnych. Millwall chce się odciąć od tradycji, o jakiej z takim zachwytem mówiła polska filozofka. Dla Roya Larnera miejsce na trybunach oczywiście jest, pod warunkiem że się będzie dobrze zachowywał, ale na pewno nie ma dla niego miejsca w panteonie sławy. Roy jest dla klubu nieco wstydliwym bohaterem. Z jednej strony uratował życie kilku osób, narażając własne, ale z drugiej strony ta przemoc, ten język…

To, że Roy Larner przeżył, wydaje się cudem FOT. FACEBOOK

Niekulturalni czytelnicy „The Sun", którzy nie stronią od najniższego sortu emocji, oczywiście chwalą Roya. „To przykład angielskiej starej szkoły, jaką pamiętam. Tacy ludzie wygrali II wojnę i potem żyli gdzieś tak do lat 80. Potem się wszystko zaczęło zmieniać. Miękniemy. Nie chodzi mi o przemoc, ale o jakąś generalną postawę" – tak napisał niejaki Michael Sefton. Postać autentyczna? Bardzo możliwe, bo ze strony na Facebooku uśmiecha się okrągła twarz łagodnego, ale twardego faceta, który pozuje z pintą piwa. Mleczny brat Roya! Idę o zakład, że głosował za brexitem…

Czyżby więc Roy Larner i jego kumple, nieobawiający się androidów wypełnionych niebieską cieczą, mieli być ostatnimi obrońcami dzierżących kredki i grających sentymentalne melodie prawdziwych Europejczyków? Ostatnimi, którzy nie oczekują, że wszystko załatwią za nich uzbrojeni i wyekwipowani profesjonaliści? Salon europejski zapewne przeszedłby na samą myśl o tym dreszcz obrzydzenia… Jednak problem w tym, że owi profesjonaliści są coraz bardziej zmęczeni i coraz bardziej przytłoczeni zadaniem, jakie na nich ciąży.

Przy okazji niedawnych zamachów w Wielkiej Brytanii na światło dzienne wyszło trochę nieprzyjemnie wyglądających informacji dotyczących ogromu pracy policji i MI5 związanej z zapobieganiem zamachom terrorystycznym. Służby te mają w bazie 23 tys. osób podejrzanych, spośród których ok. 3 tys. to szczególnie podejrzani, a 500 wymaga ciągłego nadzoru. Do tego dochodzą tysiące osób miesięcznie, które albo zostały spisane przez policję z powodu podejrzanych zachowań, albo w jakikolwiek sposób publicznie wyraziły opinię sprzyjającą islamskiemu terrorowi. Wszystkie takie doniesienia trzeba sprawdzić, nie zaniedbując nadzoru nad tymi najbardziej podejrzanymi, a jak powiedział anonimowy przedstawiciel MI5, „każda osoba, którą zaczynamy śledzić, to inna osoba, którą przestajemy śledzić…".

Nie oznacza to automatycznie, że tarcza chroniąca nas przed terrorystami staje się dziurawa, ale tego typu informacje nie przedostają się do opinii publicznej bez powodu. Wygląda na to, że profesjonaliści chroniący społeczeństwo przed islamskimi terrorystami są zmęczeni i zniechęceni. To efekt skali: działania coraz większej liczby niezależnych od siebie grupek zmuszają policję do rozproszenia uwagi. W końcu gdzieś nastąpi błąd. W tej sytuacji postawa Roya Larnera może się jednak okazać godną polecenia i jedyną, jaka może na dłuższą metę zapobiec narastaniu fali terroryzmu.

MLECZNI BRACIA LARNERA

Jednak to nie takie proste: Roy Larner jest sympatycznym i odważnym facetem, ale może być nieobliczalny. Ostatnio jego inny mleczny brat wziął sprawy w swoje ręce i wjechał w tłum muzułmanów w Londynie, zabijając jedną osobę. „I did my bit" („Zrobiłem swoją część") – powiedział później. Zrobił dokładnie to samo co zamachowcy islamscy, z tą może różnicą, że nie rzucił się na tłum z nożem.

Roy Larner i jego mleczni bracia nie uratują Europy, będą raczej wymagali nadzoru, przydając pracy i tak już przeładowanym nią służbom. Jestem jednak przekonany, że bez współdziałania obywateli Europa się nie obroni. Może więc przychylniej powinniśmy patrzeć na ludzi wstępujących do Obrony Terytorialnej i może dobrze byłoby poluzować zasady dostępu do broni dla zdrowych psychicznie obywateli? Wiara w to, że same tylko profesjonalne służby, postawione wobec rosnącej wykładniczo lawiny potencjalnych terrorystów, poradzą sobie, może nas drogo kosztować.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c4240ca7a8

Z Markiem Sawickim, wiceprzewodniczącym PSL
rozmawia Marek Migalski

Nie chcę być prezesem

FOT. ANNA ABAKOJEST/ NEWS

MAREK MIGALSKI: No i przestaliście być, jako PSL, mistrzami Polski w załatwianiu posad swoim ludziom. PiS was prześcignął.

MAREK SAWICKI: Nam przypisano tego typu praktyki.

Niesłusznie oczywiście, prawda?

Myślę, że ktoś tam po drodze zasłużył na takie opinie. Jednak nie byliśmy w tym lepsi niż AWS, PiS czy PO.

Byliście. Proszę nie być skromnym.

Funkcjonuję w polityce od 1990 r. i z mojej najbliżej rodziny do urzędów nie trafił przez ten czas nikt.

Jak to od 1990 r? Nie był pan w ZSL? Dlaczego pan to tak skromnie przemilcza?

W ZSL byłem od roku 1988. Wtedy już przechodziła moda na Solidarność. Jako młody i ambitny człowiek zapisałem się do ZSL w Zespole Szkół Rolniczych. Wówczas tą szkołą rządzili czerwoni, a w mojej rodzinie było jasne, że z czerwonymi nie można mieć nic wspólnego. Zapisałem się więc do ZSL.

Zapisał się pan więc do ZSL w 1988 r., żeby kontrolować komunistów?!

Tak, żeby kontrolować komunistów w szkole, gdzie pracowałem. Zablokowaliśmy wówczas awans czerwonego dyrektora tej szkoły.

To należał pan do odłamu ZSL Wyklętego, walczącego z komunistami!

Niech pan z ZSL nie żartuje.

Z pana żartuję, a nie z ZSL.

Wówczas ZSL to była partia mocno pilnująca interesów ludzi.

Czyli w miastach PZPR została obalona przez SD, a na wsi przez ZSL?

Gdyby nie Malinowski, czyli nasz ówczesny prezes, i Jóźwiak, szef SD, rząd Mazowieckiego powstałby osiem lat później.

Pamiętam tę woltę ZSL i SD.

To była odważna decyzja. Malinowski za to zapłacił, bo jego dwóch synów nie żyje.

Oni zostali zabici przez aparat?

Tak. Zostali otruci.

Uważa pan, że to były służby?

Tak, to były służby.

Polskie?

Polskie albo rosyjskie.

No to chyba już przestanę kpić.

Wywodzę się z rodziny nie tyle ludowej, ile endeckiej. Mój ojciec i dziadek byli żołnierzami AK.

Nawet nie BCh?

W naszej okolicy nie było Batalionów Chłopskich. Mało tego – obaj byli członkami WiN. Ojciec ujawnił się w 1947 r., a dziadka wywieziono na Ural i został tam zastrzelony 1 sierpnia 1945 r.

To teraz muszę zapytać, czy panu dziś nie jest bliżej do PiS, a nie do PO czy Nowoczesnej? Pan tak naprawdę jest narodowcem.

Nie jest mi bliżej do Kaczyńskiego, bo on nie jest żadnym narodowcem. On jest spadkobiercą Gomułki. Władza nad aparatem sądowniczym, nadrzędność partii nad państwem, centralne zarządzanie wszystkim i wszystkimi – przecież to wszystko jest podobne. A gdy słucham jego wystąpień, to jakbym miał przed oczami towarzysza Wiesława.

A nie przemawia przez pana żal, że PiS kradnie wam wyborców na wsi?

Panie redaktorze, PSL jest partią z długą tradycją, należącą do międzynarodówki ludowej. Nie boimy się konkurencji. Nas się niesłusznie kojarzy tylko z rolnictwem. A my jesteśmy, co często podkreślał Waldemar Pawlak, partią miejsca.

Miejsca?

Tak, miejsca. Czyli swojego środowiska. Każdy z nas ma swój matecznik. U nas nie ma spadochroniarzy.

To dlaczego przegrywacie z PiS na wsi?

Przegrywamy dlatego, że rolników na wsi jest już tylko 10 proc., a z rolnictwa głównie żyje już nie więcej niż 6 proc. Zbyt wolno przekształcamy się w partię samorządową. I nadal nie do końca potrafimy gromadzić wokół siebie środowiska przedsiębiorców oraz usługodawców.

Pamiętam, jak doradzał wam to ćwierć wieku temu Andrzej Micewski.

To prawda. Wciąż wszystkie media wpychają nas w dyskusję tylko o wsi.

eprasa.pl c4240ca7a8

A pan jest wiceszefem Komisji Spraw Zagranicznych.
No właśnie. A przychodzi Migalski i rozmawia ze mną tylko o tym, że PiS nam kradnie chłopów. Dobrze, że nie kradnie nam jeszcze kobiet.

Dlaczego nie daliście ludziom „500+", gdy rządziliście?
Byliśmy w koalicji z PO. Mieliśmy tylko trzydziestu kilku posłów. Poza tym, jednak Kosiniak-Kamysz dał rodzinom po tysiąc złotych. Wszystkim kobietom, które urodziły dziecko, na cały pierwszy rok.

Dlaczego ludzie o tym nie pamiętają?
Widocznie 500 to więcej niż tysiąc.

Zwłaszcza pomnożone przez 18 lat.
No właśnie. To my jednak położyliśmy podwaliny pod politykę prorodzinną. Natomiast rzeczywiście PiS w tej sprawie nas przelicytował.

Nie żałuje pan, że byliście tak ulegli Platformie przez osiem lat?
Jeśli wobec 210 posłów PO ma się swoich 30, to …

To oni są kluczowi, bo bez tych 30 nie ma 231 mandatów.
Znaj proporcje, mocium panie. PSL w koalicji z PiS też nie mogłoby zrobić wiele więcej. Kaczyński ma bowiem jedną zasadę: nie bierze jeńców. PiS bierze koalicjanta po to, by go wykończyć.

Gdyby można było rządzić z PiS, to obawialibyście się, że zostaniecie potraktowani jak Samoobrona?
Niewykluczone. Taka obawa wśród członków PSL jest.

A u pana?
Ja się nie boję. W polityce jestem już długo i dobrze znam PiS. Dobrze wspominam Przemysława Gosiewskiego i Lecha Kaczyńskiego.

Wymienia pan tylko zmarłych.
To byli ludzie, z którymi gdy się coś ustaliło, dotrzymali słowa.

A dziś są tacy w PiS?
Tego nie mogę powiedzieć o Jarosławie Kaczyńskim. Prowadziłem po wyborach rozmowy z panami Kuchcińskim i Terleckim. Są to marszałkowie, ale bez buławy.

Gdyby to od pana zależało, wolałby pan wejść do koalicji z liberałami z PO czy z socjalnie wrażliwymi PiS-owcami?
Zaskoczę pana: wybory są za dwa lata.

Nie zaskoczył mnie pan tą informacją.
W Polsce nadchodzi taki moment jak we Francji.

Idzie coś nowego?
I PO, i PiS nie muszą po następnych wyborach odgrywać decydującej roli.

Wszystkie maluchy tak się pocieszają.
Wybory samorządowe przebudują scenę polityczną.

Nie przebudują.
One dadzą łupnia i PiS, i PO.

Ależ skąd! Wzmocnią i PiS, i PO, i was. A przyniosą problemy Nowoczesnej i Kukizowi.
PiS oberwie, bo poziom zawłaszczania państwa, niekompetencji i braku szacunku dla prawa jest tak wysoki, że Kaczyński zapłaci za to już w wyborach samorządowych. A w PO przywództwo Schetyny nie jest niepodważalne.

Akurat chyba zaczęło być niepodważalne, bo skończył się tam bunt młodych. Schetyna ciął ostro.
Grzesiek ciął ostro wtedy, gdy był drugi. I robił to na konto szefa. Natomiast dzisiaj Grzesiek już nie tnie.

A przywództwo Kosiniaka-Kamysza w PSL jest takie jak Schetyny w PO?
U nas jest inna forma zarządzania.

Jego przywództwo jest kwestionowane?
Nie jest. U nas prezes odgrywa zupełnie inną rolę.

Wiem, możecie go odwołać bez problemu przez Radę Naczelną.
U nas większą władzę mają prezesi wojewódzcy niż prezes centralny.

À propos przywództwa: jest pan jedynym znanym PSL-owcem, który nie był prezesem.
Nie muszę być prezesem, by spełniać swoje ambicje. Byłem szefem klubu, dziś jestem jego wiceprzewodniczącym, byłem wiceszefem Rady Naczelnej.

I co, Marek Sawicki chce mi powiedzieć, że nie chce być szefem partii?
Dzisiaj już nie.

Dlaczego?
Może 10 lat temu tak, ale dziś władzę w partii powinni przejąć ludzie młodzi, czyli obecny prezes i ludzie jego pokolenia.

Eksperyment z Piechocińskim był błędem?
Eksperyment z Piechocińskim był błędem. Odradzałem mu to. To zresztą ja go zmieniałem na stanowisku prezesa mazowieckiego PSL po sromotnym łupniu, którego dostał w wyborach na prezydenta Warszawy.

To jakim cudem wygrał potem wybory na prezesa PSL?
Jak się przyłoży, to potrafi być wszędzie. Jest dosyć dobrym mówcą. I jest wiecowy. Czego nie można było powiedzieć o Pawlaku. Był na wszystkich zjazdach wojewódzkich…

Dopieszczał tych działaczy…
Tak. A Pawlak na kongresie go zlekceważył. Pawlak oraz osoby prowadzące kongres. A on przyjechał wcześniej, każdego delegata witał osobiście i osobiście prosił o głos. Te 17 głosów przewagi skądś się przecież wzięło.

Dlaczego więc się później nie sprawdził jako szef?
Nie była to prezesura zbyt poważna. Tak bym to delikatnie określił.

W czym się ta niepowaga przejawiała?
Już jako prezes mógł darować sobie te grzyby.

I to klękanie.
Ten gest kompletnie do niczego nie pasował. I tak jak zaczął tym gestem, tak już potem całą tę prezesurę prowadził.

Czyli?
Czyli w mojej ocenie mało poważnie. Można było od niego, jako polityka centralnego, oczekiwać więcej.

Dziś PSL jest na dobrej drodze do sukcesu?
Wszyscy nas od wielu lat spisują na straty. Jednak PSL wciąż trwa. I przewiduję, że w następnych wyborach nasza partia będzie ugrupowaniem może nie pierwszoplanowym, ale na pewno wagi średniej.

I rozgrywającym?
Nie chcę wracać do tego słynnego stwierdzenia Waldemara Pawlaka, że niezależnie od tego, kto wygra, będzie to nasz koalicjant…

To akurat zabawne.
W Polsce potrzeba partii środka, która potrafi łączyć i współdziałać, a nie dzielić i konfliktować. Taką właśnie partią jest PSL.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c4240ca7a8

Z Janem Olszewskim, byłym premierem
rozmawia Piotr Semka

4 czerwca spadło wiele masek

PIOTR SEMKA: Rankiem 4 czerwca 1992 r. ówczesny szef MSW Antoni Macierewicz dostarczył Konwentowi Seniorów Sejmu RP zalakowane koperty z listami „członków najwyższych władz RP, którzy według zachowanych zapisów archiwalnych z czasów PRL byli ewidencjonowani przez UB i SB jako ich tajni współpracownicy". Nie prościej było użyć nazwy „lista agentów"?

JAN OLSZEWSKI: Nie, bo to byłoby nadużycie. Dokładnie tydzień wcześniej, 28 maja 1992 r., Janusz Korwin-Mikke przeforsował w Sejmie uchwałę nakazującą ministrowi spraw wewnętrznych w ciągu siedmiu dni „ujawnienie nazwisk posłów, senatorów, ministrów, wojewodów, sędziów i prokuratorów będących tajnymi współpracownikami UB i SB w latach 1945–1990". Po przegłosowaniu uchwały zarządziłem naradę z udziałem ministra Macierewicza i szefa UOP – Piotra Naimskiego, aby zastanowić się, jak można wykonać uchwałę.

W czym był problem?

Według zapisów uchwały Sejmu mieliśmy w ciągu tygodnia jednoznacznie określić, kto był agentem spośród setek, a być może i tysięcy ludzi. Uznaliśmy, że tak szybkie jej wykonanie w pełnym zakresie jest niewykonalne. Jednocześnie nie mogliśmy odmówić wykonania uchwały Sejmu.

Co uradziliście?

Po pierwsze, trzeba zaznaczyć, że lista jest dokumentem poufnym. Jest tajna i może być przedstawiona tylko prezydium Sejmu oraz szefom klubów.

Po drugie, ustaliliśmy, że trzeba wyraźnie podkreślić, iż jest to lista osób, co do których w archiwach UB i SB znajduje się dokumentacja wskazująca na ich współpracę. Możemy tylko oceniać, czy taka współpraca jest wysoce prawdopodobna, bo np. są liczne dokumenty potwierdzające aktywną i gorliwą kooperację, czy są jakieś znaki zapytania.

Co jeszcze ustaliliście?

Uznaliśmy, że krótki czas na wypełnienie uchwały pozwala jedynie na stworzenie listy kwerendy archiwalnej posłów i urzędników Kancelarii Prezydenta. Widziałem w tym początek dłuższego procesu, który z czasem obejmie badania akt wojewodów czy sędziów. Wreszcie uzupełniłem listy wnioskiem do Sejmu o powołanie komisji do badania przypadków osób, które uznałyby, że są na tej liście niesłusznie. Na przykład gdy ktoś podpisał zobowiązanie do współpracy, ale potrafi udowodnić, że potem się od niej uchylał.

To miała być ta słynna komisja Strzembosza?

Tak, zwróciłem się do pierwszego prezesa Sądu Najwyższego, prof. Adama Strzembosza, z pytaniem, czy podjąłby się stworzenia takiego organu quasi-sądowego, do którego mogliby odwoływać się ludzie chcący bronić swego dobrego imienia.

Jak zareagował prof. Strzembosz?

Bardzo pozytywnie. Zaproponował nawet do składu komisji paru sędziów SN, których uważał za ludzi wyróżniających się pozytywnie w stanie wojennym. Oczywiście wraz z późniejszym zablokowaniem lustracji komisja nigdy nie powstała.

Czy decydował pan osobiście o ostatecznym kształcie listy, nazwanej potem „listą Macierewicza"?

Nie, to jakaś legenda, że mogłem kogoś skreślić albo wpisać. Listę weryfikowano bardzo uważnie. Skrupulatnie szukano ewentualnych omyłek niemal do ostatnich chwil przed zawiezieniem listy do Sejmu. Jednak mniej więcej miałem ogólne pojęcie, kto jest na liście, ale o szczegóły nie dopytywałem.

Kto sprawdzał dane z archiwów UB i SB?

Zespół lustracyjny, który postanowiliśmy wraz z ministrem Macierewiczem powołać tuż po objęciu przeze mnie stanowiska premiera w styczniu 1992 r. Nazywany był potocznie grupą Piotra Woyciechowskiego, od nazwiska jej szefa. Świadomie sięgnęliśmy po ludzi dostatecznie młodych, aby mieć pewność, że w ich przypadku nie wchodzą w grę jakiekolwiek uwikłania z lat PRL. Dla absolutnej przejrzystości sytuacji nakazałem im zacząć badania od akt ich bezpośredniego zwierzchnika, Piotra Naimskiego, jako szefa UOP, potem akt Antoniego Macierewicza, a wreszcie teczek na mój temat. Powołując zespół, planowaliśmy przeprowadzenie lustracji na podstawie rządowego projektu we wrześniu 1992 r., ale gdy w Sejmie w maju przeszła uchwała Korwin-Mikkego, musieliśmy przyspieszyć.

eprasa.pl c4240ca7a8

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI/FORUM

Może lepiej było poczekać? Przygotować precyzyjniejszą ustawę, która nie nakazuje tworzenia listy w tydzień?

Na pewno. Jednak nie mieliśmy wyboru. Jako rząd powołany przez Sejm byliśmy zobowiązani do wykonania jego uchwały. Zresztą sam uważałem, że jeśli zignorujemy uchwałę Korwin-Mikkego, to pogrzebiemy sprawę lustracji na wiele lat. Jeśli lustracja nie zostałaby przeprowadzona szybko, to idea ta ugrzęzłaby w tchórzostwie i obawach polityków ówczesnego Sejmu.

Dość często zarzuca się panu, że Korwin-Mikke działał na rzecz przedłużenia bytu pana rządu i że była to reakcja na decyzję Unii Wolności i Kongresu Liberalno-Demokratycznego, zapowiadającą wotum nieufności dla rządu, oraz zapowiedzi Wałęsy, że wycofuje swe poparcie dla pana gabinetu.

To insynuacje wymyślone post factum. Nie mieliśmy żadnego wpływu na Korwin-Mikkego. Zresztą każdy, kto zna jego styl uprawiania polityki w ostatnich 25 latach, wie, że nikt nie ma na niego wpływu.

Decyzja o likwidacji mojego rządu miała związek z zablokowaniem przeze mnie projektu stworzenia na terenie byłych baz sowieckich w Polsce mieszanych spółek biznesowych. Wałęsę zaniepokoiły z kolei starania o objęcie WSI – istnego skansenu PRL – normalną demokratyczną kontrolą. Zagroziłem bardzo poważnym interesom i uznano, że trzeba mój gabinet zlikwidować. Jednak wtedy jeszcze nie widziałem tego tak wyraźne. Moją, o wiele ważniejszą od lustracji, troską było przeforsowanie projektu budżetu rządu.

„Gazeta Wyborcza" zaczęła jednak tworzyć napięcie wokół lustracji.

Tak. Nagle znów pokochano Wałęsę, choć jeszcze rok wcześniej mianowano go zagrożeniem dla demokracji. W wielu pismach nagle zaczęły się ukazywać kłamliwe sensacje na temat rzekomego „wycieku" szczegółów planowanej lustracji. Tworzono aurę lęku i zagrożenia.

Pamiętam, jak „Wyborcza" ogłosiła, że dotarła do ustawy dekomunizacyjnej mającej działać do szczebla brygadzisty w fabrykach.

Tak, kłamano na całego. Adam Michnik budował wspólnotę strachu. Wbijano do głowy, że archiwa SB są pełne fałszywek i że na każdego coś się znajdzie, że wszyscy zostaną obrzuceni błotem. Wtedy to lekceważyłem. Uznałem to za typowy styl „Wyborczej", do którego zdążyłem się już prz zwyczaić. Nie doceniłem wpływu „Gazety Wyborczej" na elity polityczne.

W końcu trafiła na pana ręce lista przygotowywana dla Sejmu. Coś pana zaszokowało?

Niespecjalnie. Już wspomniałem, że poznałem listę Milczanowskiego po powołaniu mnie na szefa rządu. Milczanowski jako szef UOP zjawił się u mnie z listą parę godzin po głosowaniu w Sejmie w grudniu 1991 r. To, co wtedy przykuło moją uwagę, to nazwisko Stefana Niesiołowskiego, który był na liście Milczanowskiego. Obecność Leszka Moczulskiego, lidera KPN, mniej zaskakiwała. W opozycji wiadomo było, że niezależnie od swej odważnej działalności w latach 70. i 80. miał poplątany życiorys, był w PPR, potem go z partii wyrzucono.

Jednak Wałęsy na liście Milczanowskiego nie było?

Nie, nie. Chyba pan żartuje. Milczanowski miał tyle politycznego „rozsądku", by nie narażać się Wałęsie.

A marszałek Wiesław Chrzanowski był?

Był, ale fakt jego wymuszonej przez UB deklaracji współpracy w 1947 r. znałem z jego własnej opowieści w czasach opozycji, więc uznałem, że to echo tamtej sprawy. Byłem pewny, że Chrzanowski odwoła się do komisji Strzembosza i wyjdzie ze sprawy z podniesionym czołem.

To samo sądził pan w przypadku Wałęsy? Naprawdę?

Tak, naprawdę. Wiedziałem o podpisaniu przez Wałęsę jakiejś formy współpracy tuż po grudniu 1970 r., bo w kręgach opozycji coś się o tym szeptało. Parę razy mówił o tym Jacek Kuroń. Uznawałem to za kłopot, ale do przezwyciężenia. Co więcej, gdy zbliżała się wizyta Wałęsy w Rosji, w maju 1992 r., poprosiłem ministra Macierewicza, aby uczulił prezydenta, że kopie jego wszystkich papierów muszą być w Moskwie i mogą być użyte jako element nacisku przy negocjacjach w sprawie spółek w dawnych bazach armii sowieckiej w Polsce.

Czy wiedział pan, jak długa była współpraca Wałęsy i ile brał za nią pieniędzy?

Nie, tego nie wiedziałem i dlatego – z dzisiejszej perspektywy – naiwnie

eprasa.pl c4240ca7a8

założyłem jako coś oczywistego, że Wałęsa skorzysta z okazji, by grzech z młodości wyjaśnić. Co więcej, byłem pewny, że Polacy mu to potknięcie z młodości wybaczą. Tyle że wtedy nie wiedziałem, jak bardzo te materiały wyglądają – przepraszam, że użyję tego słowa – plugawie. Ja wtedy ich szczegółowo nie znałem, wiedziałem jedynie, że są solidne podstawy do wpisania Wałęsy na listę. Pełne akta sprawy „Bolka" trafiły z gdańskiej delegatury UOP do Warszawy dopiero na początku czerwca 1992 r.

Wierzyłem, że w Wałęsie zwycięży jakiś ludowy zdrowy rozsądek i zechce cały ten agenturalny ciężar raz na zawsze strącić z barków. Zresztą jego zachowanie 4 czerwca do południa tę hipotezę zdawało się potwierdzać, ale o tym za chwilę.

Wracając do list. Paradoks polegał na tym, że Milczanowski, dziś kreowany na wzór praworządności, uznawał swoją listę za jednoznaczny spis agentów. A to właśnie pan, kreowany potem na obsesyjnego lustratora, podkreślał, że jest to informacja o zasobie archiwalnym i trzeba wyznaczyć osobom z listy Macierewicza, jeśli poczują się skrzywdzone, ścieżkę obrony swego dobrego imienia.

Tak, to prawda. Milczanowski traktował ją jako miarodajną listę agentów. Był o tym absolutnie przekonany.

Jarosław Kaczyński namawiał pana wiosną 1992 r. do wciągnięcia do koalicji Unii Demokratycznej na czele z Tadeuszem Mazowieckim. To było realne?

Pan Kaczyński patrzył na politykę jak na grę możliwości politycznych i konfiguracji sejmowych. Ja spotkałem Mazowieckiego parę razy na wieczornych spacerach – mieszkał blisko mnie w rządowym mieszkaniu. W trakcie tych rozmów szybko pojąłem, że jego wizja polityki wyklucza jakiekolwiek zanegowanie wpływów elit rodem z PRL. I że trzy lata po oddaniu władzy przez PZPR Mazowiecki wciąż serio bierze groźbę jakiegoś buntu ludzi z dawnego ludowego wojska czy komunistycznej bezpieki. Dlatego nie miałem żadnych nadziei na sukces negocjacji z UD.

Politycy Konfederacji Polski Niepodległej twierdzą, że 2 czerwca wysłannicy pana rządu wywierali na nich nacisk, aby weszli do koalicji rządowej, sypiąc wzmiankami, że na liście jest ich lider Moczulski.

Owszem, 2 albo 3 czerwca odbyło się spotkanie z politykami KPN na temat warunków ich poparcia dla projektu budżetu. Dyskusja skupiła się wówczas wokół ich pomysłu tzw. budżetu otwartego, czyli pomysłu, by w razie problemów gospodarczych dodrukowywać pieniądze. Odrzuciłem ten pomysł, bo finanse państwa i tak były w złym stanie. Tematu obecności Moczulskiego na tym spotkaniu nie było.

A Macierewicz podjął ten temat?

Nie wiem, czy odbyło się jakieś spotkanie ministra Macierewicza z wysłannikami KPN, więc nie będę się wypowiadać. Jednak teorie o szantażu teczkami to typowa mitologia z okresu nagonki po obaleniu mojego rządu. Zresztą jeszcze 4 czerwca po południu delegacja klubu KPN zgłosiła się do mnie w URM, pytając o dokumenty obciążające Moczulskiego. Zadzwoniłem do Naimskiego, aby ich przyjął i pokazał im materiały. Pojechali, obejrzeli i wyjechali. Późną nocą i tak głosowali za odwołaniem mojego rządu.

Między 28 maja a 4 czerwca atmosfera szybko gęstniała. Miał pan jakieś zaskakujące wizyty?

Tak, 3 czerwca odwiedził mnie wicemarszałek Sejmu Józef Zych z PSL. Uprzedził mnie, że w jego klubie w związku z lustracją panuje ogromne zaniepokojenie, i zaproponował jakieś spotkanie z ludowcami, aby wyjaśnić, jak wyglądać będzie lustracja. Ostrzegł mnie – choć nie wprost – że są prowadzone jakieś rozmowy z Waldemarem Pawlakiem, że padają jakieś kuszące propozycje. Mile wspominam ten gest życzliwości. Przyszedł też do mnie w tym okresie jeden z wiceministrów rolnictwa. Lojalnie uprzedził, że miał epizod współpracy, więc chciałby zawczasu złożyć dymisję i odejść bez aury skandalu.

> **Wałęsa zachowywał się upiornie. Możliwe, że tak odreagowywał zagłuszanie swego sumienia**

Przejdźmy do dnia 4 czerwca. Rano koperty z „listą Macierewicza" trafiają do prezydium Sejmu. Pan od rana był w gmachu URM. Czuć było napięcie?

Początkowo nie. Mój rzecznik Jan Polkowski przyniósł mi oświadczenie Wałęsy przesłane do PAP, w którym, w swoim stylu, wyznawał, że miał incydent współpracy w młodości. Uznałem, że prezydent działa racjonalnie i chce sprawę zamknąć raz na zawsze.

Jednak potem Wałęsa depeszę wycofał.

Tak i kolejna wizyta Polkowskiego z tą, już niedobrą, informacją była sygnałem, że sprawy mogą pójść w złym kierunku.

Kiedy zaczął się pan orientować, że w Sejmie rozkręcana jest polityczna histeria?

Z Wiejskiej wciąż dochodziły jakieś nerwowe sygnały. W pewnym momencie do URM przybył do mnie wielce poruszony minister rolnictwa Gabriel Janowski z informacją, że jeszcze wieczorem może być zwołane nadzwyczajne posiedzenie Sejmu i głosować będą odwołaniem rządu. Taką możliwość brałem pod uwagę, ale zakładałem, że najpierw będzie głosowanie nad budżetem. Po stanie jego wzburzenia zorientowałem się, że gra idzie już na bardzo ostro. Poprosiłem ministra Włodarczyka, by zorientował się, jak wygląda sytuacja w Sejmie. Szybko dał mi znać, że trzeba się liczyć z próbą odwołania rządu jeszcze tego dnia.

I wtedy pojawił się pomysł wystąpienia telewizyjnego?

Tak, uznałem, że Polacy mają prawo dowiedzieć się, o co toczy się ta gra.

Później próbowano kreować pana wystąpienie niemal na zachętę do wyjścia wojska na ulice.

No, tak – kolejna czarna legenda. Kłamano w tamtym okresie o jakichś pożarach lasów wokół Warszawy i zamiarach wyprowadzenia na ulice nadwiślańskich jednostek MSW. Były to wierutne bzdury, ale wtedy powtarzali je ludzie, którzy wcześniej wydawali mi się poważni.

Wreszcie okazało się, że debata nad wnioskiem Wałęsy o odwołanie rządu jest już faktem. Przyjechał pan do Sejmu, by wygłosić wystąpienie w obronie swego gabinetu. Ile czasu miał pan na jego przygotowanie?

Nie było czasu na nic, mówiłem z głowy. Całkowita improwizacja.

Co miał pan na myśli, zadając w tej mowie pytanie: „Czyja Polska?". O to, kto powinien być u władzy?

Oczywiście, że nie. Wydarzenia wokół mojego rządu – nie tylko histeria wokół lustracji, lecz także wcześniej reakcje na porządki Jana Parysa w WSI i próby powołania spółek na terenie baz sowieckich – pokazały, że pod fasadą III RP niezwykle silne były stare postkomunistyczne układy, które kontrolowały sfery polityczno-medialno-biznesowe, które stanowiły „państwo w państwie" i żyły w symbiozie z częścią elit dawnej Solidarności. Było

eprasa.pl c4240ca7a8

Sejm RP, 4 czerwca 1992 r. Za premierem Janem Olszewskim (pierwszy z prawej) siedzi Antoni Macierewicz, ówczesny minister spraw wewnętrznych FOT. A. IWAŃCZUK/REPORTER

gorzkim paradoksem, że właśnie 4 czerwca, dokładnie trzy lata po wyborczym zwycięstwie ludzi, którzy pełni nadziei na zerwanie z PRL poparli w wyborach Solidarność, odwraca się bieg wydarzeń. I że akurat w ten dzień swoją siłę pokazują postkomuniści. Ponad rok później, we wrześniu 1993 r., SLD przejmie władzę.

W trakcie pana przemówienia w Sejmie posłowie UD zachowywali się skandalicznie. Pamiętam, jak poseł Andrzej Potocki krzyczał z tylnych ław: „Cyganisz!". To było coś nowego w tej sali?

Mnie to nie dziwiło. Ten styl agresji u ludzi pozujących na arbitrów elegancji zauważałem już wcześniej.

A dziwaczny śmiech Wałęsy w jego loży prezydenckiej?

No tak, to było coś – użyję mocnego słowa – wręcz diabolicznego. Wałęsa zachowywał się upiornie. Możliwe, że tak odreagowywał zagłuszanie swego sumienia.

Ktoś jeszcze jakoś wyjątkowo nieprzyjemnie pana zaskoczył?

No, może Jan Rokita, który wyjątkowo agresywnie wzywał do jak najszybszego głosowania za odwołaniem rządu. Parę razy go broniłem jako studenta w latach 80., znałem go też z komisji badającej zbrodnie stanu wojennego. No, ale polityka ludzi zmienia.

Potem, gdy po latach oglądałem nagrania z nocnej rozmowy u Wałęsy w sprawie obalenia mojego rządu, utkwiły mi w pamięci skrupuły Waldemara Pawlaka z PSL. Jako jedyny z zebranych nieśmiało wskazywał, że cała ta akcja to – jak się wyraził – „gangsterski chwyt".

W tej samej naradzie u Wałęsy brał udział, choć milcząco, Stefan Niesiołowski. Parę godzin później w debacie sejmowej ostro bronił pana rządu. Skąd taka zmiana zachowania?

Wałęsa zaprosił Niesiołowskiego, bo znał listę Milczanowskiego i wiedział, że ten się na niej znalazł. Nie wiedział, że Macierewicz nie wpisał Niesiołowskiego na swoją listę, bo uznał, że w sprawie jest zbyt wiele niejasności. W wystąpieniu na sali sejmowej z zapałem bronił mojego gabinetu. Jednak wcześniej, w trakcie nocnej narady, siedział cicho i nie miał zbyt wyraźnej miny. W sumie żenująca historia.

Z Sejmu pojechał pan do URM?

Tak, musiałem pochować wiele ważnych dokumentów, które zostawiłem na biurku, bo najpierw musiałem szybko jechać do TVP, a potem do Sejmu. W URM spotkałem Andrzeja Gelberga, szefa „Tygodnika Solidarność", który cierpliwie czekał, aby wyrazić mi swój szacunek. To była miła chwila.

W końcu dotarł pan nocą do domu.

Tak, i wtedy dopiero sobie uświadomiłem, że prawie cały dzień nic nie jadłem. Żona już spała. Gdy zrobiłem sobie posiłek, stwierdziłem, że po raz pierwszy od dłuższego czasu czuję smak tego, co jem. Wtedy dopiero zrozumiałem, jak duże było napięcie ostatnich pięciu miesięcy kierowania rządem.

Zachowanie BOR-owców się jakoś zmieniło?

Nie, ci, którzy mnie chronili, zachowywali się bardzo dobrze. Przyjemną zmianą było to, że mogłem znów swobodnie spacerować po mojej Warszawie.

Wspominał pan o tym w swoim wystąpieniu sejmowym. „Chciałbym [...], kiedy ten gmach opuszczę, kiedy skończy się dla mnie ten – nie ukrywam – strasznie dolegliwy czas, kiedy po ulicach mojego miasta mogę się poruszać tylko samochodem albo w towarzystwie torującej mi drogę i chroniącej mnie od kontaktu z ludźmi eskorty, że wtedy, kiedy się to wreszcie skończy – będę mógł wyjść na ulice tego miasta, wyjść i popatrzeć ludziom w oczy. I tego wam – panie posłanki i panowie posłowie – życzę po tym głosowaniu".

Tak, to wtedy czułem. Jakaś ulga. Przez kolejne tygodnie odebrałem od zwykłych warszawiaków wiele podziękowań i miłych słów. Było to dla mnie bardzo ważne.

Warto było?

Warto. Lustracja była aktem uczciwości wobec tych, którzy poparli ruch Solidarności, wierząc w jej hasła przejrzystości w życiu publicznym. Byłem pewny, że zaszłości z lat PRL mogły być i pewnie były używane do szantażowania wielu polityków z partii solidarnościowych.

Mimo odwołania mojego rządu sprawy lustracji nie dało się już zamieść pod dywan.

Miałem też to szczęście, że za czasu moich rządów przestał istnieć ZSRS. Mój gabinet zapobiegł niezwykle groźnej możliwości ugrzęźnięcia Polski na dekady w jakiejś szarej strefie między Zachodem a Wschodem, czego symbolem były pomysły na polsko-rosyjskie szemrane spółki w dawnych bazach sowieckich. To mój rząd postawił po raz pierwszy jasno postulat wejścia Polski do NATO. Dzisiaj sporo polityków wypina piersi do pochwał za ten polityczny zwrot, ale wtedy wielu z nich rugało mnie za „brak realizmu" i wymyślało, tak jak Lech Wałęsa, jakieś idee „NATO-bis".

I jeszcze jedno – dzień 4 czerwca, w którym zablokowano lustrację, pokazał, jak silne były niejawne mechanizmy realnej władzy III RP. Bez tej porażającej wiedzy nie byłaby możliwa ciężka praca, którą wykonał obóz niepodległościowy przez kolejne 13 lat. Bez niej niemożliwa byłaby wygrana Lecha Kaczyńskiego i PiS w 2005 r. To w tamtą czerwcową noc spadło wiele masek i Polacy dobrze to zapamiętali.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c4240ca7a8

Niemiecki

Piotr Semka

Wraz z Kohlem odchodzi polityczna kultura katolickich Niemiec

W 1990 r. zgodę na sportretowanie kanclerza uzyskał Helmut Newton. Współpracownicy Helmuta Kohla mieli sporo wątpliwości – Newton jako fotografik znany był raczej ze śmiałych aktów, ale zwyciężyła chęć puszczenia sygnału, że zwalisty chadek potrafi być „trendy".

Newton przeszedł się po ogrodzie kanclerskim i szybko wpadł na pomysł, który rozsławił jego zdjęcie. Kazał kanclerzowi stanąć na tle szerokiego pnia rozłożystego dębu. Kohl w mig pojął symbolizm pomysłu i posłusznie stanął pod drzewem. Określenia „Deutsche Eiche" („Niemiecki Dąb") używano wobec Marcina Lutra i Ottona von Bismarcka. Do dziś jest to jedno z najlepszych zdjęć ojca jedności Niemiec.

DOKŁADNIE NA CZAS

Każdy polityk ma swoje pięć minut, gdy umiejętność odpowiedzi na wyzwanie losu daje mu szanse na wielkość.

Dla Kohla tą chwilą był najpierw kryzys reżimu NRD, a potem upadek muru. Podjął wtedy decyzję o szybkim zjednoczeniu Niemiec za wszelką cenę. Złośliwi wypominali mu, że było to dość nagłe nawrócenie się na wiarę w unifikację. Dwa lata wcześniej, w 1987 r., witał w Bonn z honorami (z NRD-owskim hymnem i powitaniem przez kompanią honorową Bundeswehry na lotnisku) Ericha Honeckera, pierwszego sekretarza komunistycznej partii SED. Oficjalnie zjednoczenie Niemiec były pryncypium Republiki Federalnej, ale w praktyce nauczono się już na zachodzie żyć z „drugim" państwem niemieckim.

Wystarczył jednak powiew „wiatru zmian", by potężny kanclerz zaczął szybko działać. Kohl wiedział, że Republika Federalna ma tylko jedną skuteczną broń – książeczkę czekową. Szybko zaproponował Michaiłowi Gorbaczowowi i jego szefowi dyplomacji Eduardowi Szewardnadze – gigantyczny zastrzyk marek niemieckich dla chwiejącej się sowieckiej gospodarki. Jako ukłon dla Kremla ustalono, że Honecker będzie mógł wyjechać do siostry w Chile. Cały świat oglądał, jak Kohl, szef dyplomacji RFN Hans-Dietrich Genscher i „Gorby" świętują zgodę na zjednoczenie Niemiec w kurorcie Archyz na Kaukazie.

Kohl musiał działać szybko, bo zjednoczenie Niemiec miało też wrogów na niemieckiej lewicy. Günther Grass wzywał już, by NRD zdemokratyzować, ale pozostawić jako osobne państwo. Podobne poglądy wyrażała część NRD-owskich dysydentów, która, owszem, odrzucała Honeckera, ale nadal uważała kraj zachodnich „braci" za nieludzką dyktaturę kapitału. Zupełnie inne nastroje panowały wśród zwykłych Niemców, którzy podjęli hasło „Wir sind ein Volk" („Jesteśmy jednym narodem").

Kohl kupił wschodnich Niemców za pomocą wymiany marki NRD-owskiej w stosunku 1:1 do zachodnioniemieckiej. Był to finansowy absurd, ale uciszył nastroje antyzjednoczeniowe. Co by było, gdyby Kohl nie miał dostatecznie dużo determinacji? Demokratyczna NRD mogłaby bardzo przypominać Polskę lat 90. Skłócone partyjki opozycjonistów i połączona „solidarnością strachu" jedna, zreformowana partia postkomunistów. Znaleziono by kogoś na NRD-owskiego Kwaśniewskiego, szef wywiadu Stasi Markus Wolf straszyłby teczkami polityków opozycji, a elity drżące przed nimi wykpiwałyby propozycje lustracji.

Tak się nie stało i był to wynik determinacji jednego człowieka – Helmuta Kohla. 3 października 1990 r. zjednoczenie stało się faktem.

Miałem okazję na własne oczy oglądać „kanclerza jedności" na trybunie pod Reichstagiem w tamtą pamiętną noc. To była największa chwila w jego życiu.

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl c4240ca7a8

Dąb

Wprost jaśniał z dumy i wzruszenia, przytulając do siebie swoją żonę, Hannelore. A fajerwerki nad Berlinem wybuchały wtedy do późnej nocy. Wbrew uspokajającym zaklęciom Niemcy wróciły z tą chwilą do roli, którą utraciły w 1945 r.

Owszem, po roku wyszły na jaw słabości szybkiej unifikacji. Firmy na wschodzie wykupywali za grosze aroganccy biznesowi kulturträgerzy. W 1990 r. na wiecu w Halle Kohla dosięgły rzucane z tłumu jajka. Jednak Niemcy były już na jednoznacznym kursie – kursie europejskiego mocarstwa.

OSTATNI NADREŃCZYK

Jednocząc Niemcy, Kohl likwidował jednocześnie republikę bońską, w której zrobił karierę. Urodzony w 1930 r. w nadreńskim Ludwigshafen otarł się co prawda o Hitlerjugend, ale był wystarczająco młody, by robić karierę w epoce Konrada Adenauera bez obciążeń z lat III Rzeszy.

Jego pokolenie przejmowało w latach 60. wpływy po generacji starego kanclerza. Był tak jak Adenauer reprezentantem tych Niemiec, które po wojnie odrzuciły tradycję pruską. Z jego Nadrenii bliżej było do Francji niż do Rosji. Uwielbiał wino, a nie piwo. Jadał sycące Saumagen – świńskie żołądki faszerowane kawałkami golonki. I – co najważniejsze – kojarzył się z Gemütlichkeit – nieco kiczowatą swojskością. Jego główny rywal po śmierci Adenauera – Franz Josef Strauss z bawarskiej CSU – był o wiele lepszym politykiem, ale jak na gusty większości Niemców z RFN był zbyt agresywny i wyrazisty. A Kohl, niczym dziś Angela Merkel, kojarzył się z bezpiecznym średniactwem – akurat na skalę premiera landu Nadrenia-Palatynat, którym został w 1969 r. W 1976 r., już jako szef CDU, przegrał wyścig do kanclerstwa z Helmutem Schmidtem z SPD. Strauss triumfował – wykpiwał go jako gamonia i obiecywał, że szybciej kaktus wyrośnie mu na dłoni, niż Kohl zostanie kanclerzem. A jednak pokaźnemu Nadreńczykowi pomógł łut szczęścia. W 1983 r. liberalna FDP postanowiła zmienić koalicjanta – wcześniej była to SPD – i dała chadekom władzę na tacy.

Kohl został kanclerzem na 14 lat, zaskakując wszystkich swoim sprytem i umiejętnością usuwania sobie z drogi potencjalnych rywali.

Dla Polaków pamiętających lata 80. i 90. Kohl to symbol epoki RFN – państwa przyjaznego i sympatycznego. To czas paczek z Niemiec, azylu dla solidarnościowych emigrantów, szczerych wyrazów skruchy za wojenne zbrodnie, wizyt polskich biskupów u swych niemieckich braci i kurtuazji Bonn wobec Jana Pawła II. Związek wypędzonych dyskretnie spychano na margines, a ekipę Gierka kuszono kredytami. W oczach opozycji Kohl i jego CDU jawili się o wiele sympatyczniej niż SPD zakochana w władzach PRL i tygodniku „Polityka". Szczególnie w latach 80. Kohl i jego chadecja kojarzyły się z antykomunizmem, proamerykańskością i szczerą chęcią wyrównania krzywd z lat wojny.

I tak wizerunek dobrych chadeków zachwycił całą generację szacownych intelektualistów z „Tygodnika Powszechnego", „Więzi", ze „Znaku" i z Klubów Inteligencji Katolickiej. To ta atmosfera doprowadziła do słynnej mszy pojednania w Krzyżowej w listopadzie 1989 r. Obrazki z tej uroczystości, szczególnie uścisk Tadeusza Mazowieckiego z Kohlem, były wielokrotnie przywoływane w dniu śmierci kanclerza w polskich mediach jako dowód przyjaźni obu polityków. Znacznie mniej chętnie mówiono, co było potem. Już negocjacje w 1990 r. w sprawie zjednoczenia Niemiec zaszokowały Polaków i Mazowieckiego osobiście. Kohl na tyle długo odwlekał jednoznaczne uznanie granicy na Odrze i Nysie, że ówczesny polski premier zachęcał, by nie spieszyć się z hasłami wymarszu armii sowieckiej wobec braku jasnej wizji polityki Kohla. W końcu presja Zachodu zmusiła Bonn do jednoznaczności, ale niemiłe zaskoczenie pozostało w pamięci. Tak samo jak presja Niemiec, by uznać mniejszość niemiecką w Polsce, ale bez uznania polskiej mniejszości w RFN. W 1991 r. podpisano traktat polsko-niemiecki (bez obecności kanclerza) i potem Kohl o Polsce zapomniał. Owszem, wspierał nasze starania o wejści do NATO i Unii, ale na dystans. Odwiedził nasz kraj jeszcze tylko raz – w 1995 r. Władysław Bartoszewski potem z goryczą wspominał, jak w trakcie przygotowań do wizyty Kohl niechętnie zareagował na propozycję, aby wspólnie odwiedzić Oświęcim. – Ja już tam byłem – krzywił się „kanclerz zjednoczenia". – Ja też – odparł zjadliwie Bartoszewski, były więzień obozu. I dopiero, gdy sens jego słów dotarł do Kohla, ten zgodził się na przyjazd do obozu.

O JEDNE WYBORY ZA DUŻO

Każdy polityk ma problem z wyborem momentu odejścia. W 1994 r. Kohl wygrał ponownie. Mijało już wzburzenie w „nowych landach" z racji wilczej prywatyzacji. Kolejne lata także wydawały się pasmem sukcesów Kohla – wprowadzenie euro, efekty układu z Schengen, optymizm wokół rozszerzenia Unii na wschód. Wszystko to skłoniło lidera CDU do startu w wyborach w 1998 r., by potem już ostatecznie odejść w chwale. Nie udało się. Wygrał bezczelny nuworysz z SPD, Gerhardt Schröder, który obiecywał niemieckim wyborcom jeszcze lepszy socjal.

I wtedy wielki dąb runął. Rychło wybuchła afera lewych kont partii, a główną królobójczynią i następczynią okazała się Angela Merkel – wieloletnia protegowana Kohla. Były kanclerz nigdy nie ujawnił, kto finansował jego partie. Wszedł w ciemną dolinę życia. Żona Hannelore popełniła samobójstwo wskutek fotodermatozy, czyli alergii świetlnej, synowie zerwali relacje z ojcem, mszcząc się za jego wieloletni despotyzm, a pełną, wręcz dyktatorską kontrolę nad starym politykiem objęła jego była sekretarka i nowa żona.

Kanclerz milczał. W ważnych sprawach niemieckich, ale i tych, w których liczono na jego głos w Polsce. Nie zabrał głosu, gdy w jego partii Erika Steinbach zaczęła mówić o polskich winach za „wygnanie", a Rudi Pawelka założył Powiernictwo Pruskie, żądając odszkodowań za majątek pozostawiony na polskich ziemiach zachodnich.

Odezwał się dopiero, gdy Merkel ściągnęła do Niemiec falę imigrantów. Dał znać, że on by do czegoś podobnego nie dopuścił, demonstracyjnie przyjmując Viktora Orbána.

Z jego odejściem żegnamy kulturę polityczną katolickich, nadreńskich Niemiec. Symbolem tej nieco już przyblakłej karolińskiej tradycji będzie msza żałobna ku czci kanclerza w katedrze w Spirze. Media donoszą, że żona Kohla wyraźnie podkreśliła, że nie chce, by nad jego grobem przemawiała Angela Merkel. I woli, aby mowę wygłosił Viktor Orbán. Trudno o lepszą puentę do życia „kanclerza jedności".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c4240ca7a8

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Zamach na Reagana

Stany Zjednoczone w swojej krótkiej historii miały 45 prezydentów. Najwybitniejszym z nich był bez wątpienia Ronald Reagan. Człowiek, który zniszczył komunizm, a co za tym idzie – wyzwolił setki milionów ludzi. W tym blisko 40 mln Polaków.

Reagan był jednocześnie prezydentem najbardziej znienawidzonym przez amerykańską i światową lewicę, co stanowi chyba najlepszą możliwą rekomendację dla postaci historycznej. Do dzisiaj dźwięk jego nazwiska wywołuje wściekłość u wszelkiej maści socjalistów.

Mało jednak brakowało, aby Reagan nie odegrał swojej historycznej roli. Wystarczyłoby, żeby kula wystrzelona przez Johna Hinckleya poleciała 2,5 cm w bok. Trafiłaby wówczas prosto w serce amerykańskiego prezydenta. Mowa o zamachu na życie Reagana dokonanym w Waszyngtonie 30 marca 1981 r. Tak, ten dzień mógł zmienić bieg historii świata. I to o nim opowiada „Zabić Reagana" – nowa książka Billa O'Reilly'ego, gwiazdy telewizji Fox News.

To opowieść nie tylko o zamachu, lecz także o niebywałym szczęściu prezydenta. Zamachowiec tego dnia wystrzelił bowiem w jego kierunku aż sześć kul. Jednak w Reagana trafił tylko raz. Kula, która odbiła się od limuzyny, ugodziła prezydenta w lewą pachę i przeszyła płuco.

W książce znalazła się niezwykle sugestywna rekonstrukcja zamachu. „Ktoś uderza Hinckleya w głowę. Kilka osób z tłumu rzuca się na zamachowca. Zostaje przygwożdżony do ziemi przez rozwścieczonych ludzi, ale agenci Secret Service chcą go mieć żywego. Jak na ironię muszą teraz chronić Hinckleya z taką samą determinacją, z jaką chronili prezydenta.

Zamachowiec zostaje obezwładniony. Czterej mężczyźni trafieni przez zamachowca walczą o życie. Jednym z nich jest Reagan".

Reagan, jako prawdziwy twardziel, szybko wylizał się z ran i wrócił do urzędowania. Według lekarzy zamach z 1981 r. miał jednak poważny wpływ na pogorszenie się jego zdrowia i przyszłą śmierć.

Ciekawie potoczyły się natomiast losy niedoszłego mordercy. Hinckley uniknął surowej kary, ponieważ sąd uznał, że był niepoczytalny. Miał on obsesję na punkcie Jodie Foster i uznał, że jeżeli zamorduje prezydenta, to zaimponuje aktorce. W efekcie Hinckley trafił do szpitala, skąd w 2016 r. został zwolniony. Obecnie mieszka w domu swojej matki w Wirginii. ©℗

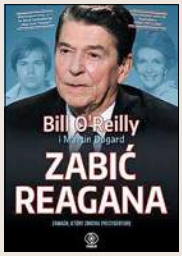

★★★★★★

BILL O'REILLY, MARTIN DUGARD „ZABIĆ REAGANA" REBIS

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Śląsk i jego twórcy

To były prawdziwe wizytówki epoki PRL. Mazowsze i Śląsk koncertowały w kilkudziesięciu krajach świata, a bilety na ich występy zawsze się wyprzedawały. Pierwsze zadebiutowało Mazowsze, które pod kierownictwem Tadeusza Sygietyńskiego i Miry Zimińskiej-Sygietyńskiej szybko zdobyło uznanie w kraju i za granicą. Jego sukcesy pilnie obserwował pochodzący z okolic Cieszyna muzykolog i kompozytor Stanisław Hadyna, uważający, że Śląsk jest tak bogaty w tradycje ludowe, iż powinien mieć własny zespół. Udało mu się do projektu przekonać władze w Katowicach, co zapewniło dotacje oraz siedzibę w pałacu w Koszęcinie. Dzięki temu 1 lipca 1953 r. oficjalnie powołano do życia Państwowy Zespół Ludowy Pieśni i Tańca „Śląsk".

Zespoły Mazowsze i Śląsk były wizytówkami epoki PRL

Hadyna miał rozmach, jednak z powodów finansowych musiał ograniczyć liczebność zespołu. Z planowanych 300 osób (w chórze, balecie i orkiestrze) zatrudniono tylko połowę. Lepiej poszło z wyposażeniem w instrumenty. Ich koszt także przekraczał możliwości budżetowe, wobec czego znaczna ich część pochodziła z szabru na poniemieckich „ziemiach odzyskanych"...

Założyciel zespołu był świetnym organizatorem, ale nie byłoby Śląska bez Elwiry Kamińskiej zajmującej się choreografią i kostiumami. Bez jej nowatorskich pomysłów Śląsk nigdy nie osiągnąłby sukcesów, czego być może zazdrościł jej sam Hadyna, gdyż we wspomnieniowej książce „W pogoni za wiosną" poświęcił Kamińskiej zaledwie kilka wzmianek. Czy z powodu rywalizacji zawodowej, czy z innych względów? Tego zapewne nigdy się nie dowiemy.

Hadynę zmuszono do dymisji w 1973 r., gdy odmówił zwiększenia liczby przedstawień kosztem ich jakości, a kilka lat później na przedwczesną emeryturę odeszła Elwira Kamińska. Gdy w 1983 r. zmarła, w parku w Koszęcinie postanowiono ufundować pomnik na jej cześć, nie przejmując się specjalnie tym, że nigdy nie lubiła publicznych dowodów uznania. Z planów tych nic jednak nie wyszło, gdyż zaraz po uchwaleniu wniosku nad pałacem rozpętała się burza i piorun uderzył w stare drzewo w pobliżu zamierzonej lokalizacji monumentu. W tej sytuacji uznano, że do tematu lepiej już nie wracać.

Oba zespoły istnieją i koncertują do dziś, chociaż w realiach gospodarki rynkowej ich składy znacznie zmniejszono. Oba też noszą imiona swoich założycieli, Sygietyńskiego i Hadyny, a nazwiska Zimińskiej i Kamińskiej są znane raczej tylko specjalistom. ©℗

eprasa.pl c4240ca7a8

KONIEC systemu

Wtorek 21:30

Dorota Kania

republika

Teraz Telewizja Republika NA ŻYWO i ZA DARMO on-line ▶ www.telewizjarepublika.pl

Maciej Szymanowski

Niedoceniony sukces

Grupa Wyszehradzka rozwija się gospodarczo lepiej niż reszta UE, a jednocześnie jest coraz mniej znana wśród mieszkańców tworzących ją państw

Ostatni czerwcowy tydzień to jednocześnie ostatni tydzień sprawowania przez Polskę rotacyjnego przewodnictwa w Grupie Wyszehradzkiej. Zarazem tylko kilka dni dzieli nas od spotkania prezydenta USA z przywódcami unijnych państw położonych w trójkącie wyznaczonym przez Bałtyk, Adriatyk i Morze Czarne. To chyba więc dobry czas na podjęcie próby zarysowania konturów naszego regionu na geopolitycznej mapie Europy „tu i teraz".

Zacznijmy od tego, że wbrew usilnie propagowanej w okolicach 1989 r. przez niektóre polityczne środowiska wizji komunizmu jako „zamrażarki" konfliktów narodowościowych, które nieuchronnie dojdą po jego upadku do głosu, być może nawet ze zdwojoną siłą, w Europie Środkowej nic takiego się nie stało. Powrotowi do napięć charakterystycznych dla okresu międzywojennego skutecznie zapobiegło wyciągnięcie wniosków z lekcji pod tytułem: Monachium, Jałta, rok 1956 na Węgrzech czy 1968 w Czechosłowacji. W realnej polityce przybrały one postać zdecydowanych zabiegów o uzyskanie członkostwa w NATO i UE, ale też w zawarciu regionalnego porozumienia pod nazwą Grupa Wyszehradzka. Porozumienia, któremu w niczym istotnym nie zaszkodziły ani rozpad Czechosłowacji, ani okres negocjacji akcesyjnych odbywających się w atmosferze czegoś w rodzaju konkursu „na najlepszego ucznia", ani kolejne zmiany rządów (i ich polityczne odcienie) w: Bratysławie, Budapeszcie, Pradze i Warszawie.

TWARDE JĄDRO

Dzisiaj Grupa Wyszehradzka jawi się w oczach wielu jako twarde jądro Europy Środkowej, co zresztą potwierdzają kolejne jej szczyty, z których mniej więcej połowa zwykła odbywać się w formule rozszerzonej o inne państwa. Wzrost gospodarczy krajów V4, choć wciąż pozostaje poniżej oczekiwań społeczeństw, długookresowo okazał się wyższy niż w strefie euro. Dla Niemiec, najsilniejszej gospodarki Unii, V4 jako całość stała się najważniejszym partnerem handlowym na świecie, dystansując takie kraje jak Francja i USA. Nawzajem dla siebie, dla każdego z państw wyszehradzkich pozostała trójka przedstawia obecnie z kolei przynajmniej trzeci najważniejszy rynek dla rodzimego eksportu, o wysokości porównywalnej tylko z rynkiem niemieckim lub nawet wyższej – jak to jest w przypadku eksportu Słowacji.

Czy to na poziomie prezydenckim, czy rządowym, a od roku także parlamentarnym, stało się już regułą, że najważniejsze wydarzenia międzynarodowe poprzedzane są konsultacjami właśnie w formule wyszehradzkiej. I nawet jeśli podczas tych konsultacji nie udaje się uzgodnić jednolitego stanowiska, to na pewno osiąga się zbliżenie punktów widzenia.

Jednakże Grupa Wyszehradzka staje się coraz mniej znana wśród mieszkańców tworzących ją państw. Jak pokazują opublikowane w ubiegłym roku badania przeprowadzone przez Instytut Spraw Międzynarodowych w Bratysławie, wiedza o istnieniu Grupy Wyszehradzkiej jest niska i od lat maleje zarówno w Polsce, jak i na Węgrzech („coś słyszałem" – odpowiednio: 17 proc. i 26 proc.), przy lepszym, choć od lat utrzymującym się na tym samym poziomie wyniku wśród Czechów (37 proc.) i Słowaków (54 proc.).

Mimo że w rankingach najbardziej lubianych narodów świata opracowywanych w poszczególnych państwach cieszymy się nawzajem rosnącą popularnością (w Polsce w 2017 r. według CBOS: 1. Czesi, 2. Słowacy, 4. i 5. Węgrzy ex aequo z Amerykanami; Polacy z kolei: 2. w Czechach, 3. na Słowacji, na Węgrzech 1.–3. w zależności od badania), w prasie w krajach wyszehradzkich pojawiło się zjawisko kwestionowania sensu współpracy regionalnej, w tym współpracy z Polską. „Ztraceni mezi třemi mori" („Zagubieni w Trójmorzu") – wybił przed miesiącem w tytule prestiżowy czeski dziennik „Hospodářské noviny", posługując się w tekście krytykującym polską politykę zagraniczną argumentacją nie tyle nawet z okresu przedunijnego, ile wręcz przedwojennego.

Można odnieść również wrażenie, że na wielu konferencjach i w różnych dysku-

eprasa.pl c4240ca7a8

Przedstawiciele państw V4 na szczycie grupy w marcu w Warszawie FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

sjach ostatnio prowadzonych do głosu dochodzi coś w rodzaju obawy przed peryferyzacją obszaru Europy Środkowej (jakkolwiek śmiesznie samo zestawienie tych słów by brzmiało), czyli tego regionu naszego kontynentu, o który trwały zacięte zapasy w czasie obu wojen światowych, zimnej wojny, a który następnie stał się ogólnoświatowym przykładem udanej ustrojowej transformacji. Oczywiście należy przyznać, że skądkolwiek wspomniane obawy biorą swoje źródło, mają zarazem rację bytu w tym znaczeniu, że tzw. koncepcja Europy dwóch prędkości, czyli mówiąc wprost – defragmentacji UE, faktycznie może okazać się procesem tak samo łatwym do uruchomienia, co trudnym do zatrzymania.

KUMULACJA KRYZYSÓW

Unia Europejska, a wcześniej Europejska Wspólnota Gospodarcza były pogrążone w różnych kryzysach chyba od zawsze, co kiedyś zresztą bardzo rozpalało wyobraźnię komunistycznych reżimów wieszczących nadchodzący ponoć nieuchronnie rozpad. Jeśli w omawianej kwestii mamy do czynienia dzisiaj z jakimś novum, to zjawiskiem jednoczesnej kumulacji kryzysów: finansowo-zadłużeniowego, imigranckiego, brexitu, a w końcu modelu funkcjonowania niektórych europejskich instytucji takich jak Komisja Europejska – coraz bardziej generującej, a nie rozwiązującej problemy. Aby nie być gołosłownym, podam drobny przykład: czy wszczęta przez Komisję procedura z powodu uchylania się Czech, Polski i Węgier od udziału w tzw. stałym mechanizmie relokacji, gdyby okazała się skuteczna, nie tworzy całej serii nowych problemów? Pierwszy z brzegu: Jakimi metodami da się skutecznie powstrzymywać reemigrację uchodźców i imigrantów do krajów bogatszych, dysponujących lepszą opieką socjalną? Zresztą jak nas przybliża ta decyzja do rozwiązania problemu uciekających masowo od wschodu i południa przed wojną czy zwykłą biedą? A co zrobimy za 25 lat, kiedy według prognoz tylko Nigeria będzie liczyć 500 mln mieszkańców, czyli mniej więcej tyle, ile obecnie UE?

Taka polityka ma mało wspólnego ze standardową unią, mechanizmem służącym do eliminacji konfliktów, a zarazem rozumnie wspierającym współpracę i lepsze wykorzystywanie potencjałów tkwiących w poszczególnych państwach czy narodach – z korzyścią dla wszystkich. I nie inaczej jest w przypadku koncepcji Europy dwóch prędkości, zgodnie z którą UE miałaby się podzielić na członków i niecłonków strefy euro, w ślad za czym przypisano by na nowo państwom prawa i obowiązki. Fakt, że opowiadają się za nią często te same osoby, które do niedawna – wskazując na Grecję i kilka innych państw – domagały się raczej redukcji strefy euro, skłania do pewnej ostrożności w formułowaniu ostatecznych sądów co do dalszych losów tej koncepcji, ale także w tym przypadku mamy do czynienia z takim modelem unii, który zamiast jednoczyć, dzieli.

BEZPIECZEŃSTWO

Na majowym szczycie przewodniczących parlamentów państw Europy Środkowej i Wschodniej w Warszawie kwestie bezpieczeństwa były odmieniane przez wszystkich przez wszystkie przypadki. Zgodzono się, że trudno wyobrazić sobie bezpieczną Unię bez zapewnienia bezpieczeństwa na całym kontynencie. Oraz że trudno sobie wyobrazić bezpieczną Europę bez silnej UE. Problem bezpieczeństwa, z którym kwestie migracyjne są integralnie związane, oraz konsekwentne opowiadanie się po stronie swobody przepływu ludzi, kapitału, towarów i usług w UE pozostają kluczem do przyszłości Grupy Wyszehradzkiej i każdego z tworzących ją państw z osobna. Podobnie jak powodzenie takich projektów jak dywersyfikacja źródeł gazu w regionie, kanał Odra–Dunaj–Łaba czy uzupełniająca sowiecką równoleżnikową sieć komunikacji magistrala drogowa północ–południe Via Carpatia, która przez terytoria wschodniej Polski, Słowacji i Węgier połączy litewską Kłajpedę z greckimi Salonikami.

1 lipca, kiedy po Polsce przewodnictwo w Grupie Wyszehradzkiej przejmą Węgry, prezydencję w Radzie Unii Europejskiej obejmie Estonia, po której z kolei pałeczkę przejmą w przyszłym roku Bułgaria i Austria, następnie Rumunia i Finlandia, a w końcu, już w 2020 r., Chorwacja. Czas na Europę Środkową? Ten już biegnie w najlepsze, choć jak to czas – często mało zauważalnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Maciej Szymanowski – wykładowca Uniwersytetu Katolickiego w Budapeszcie, doradca marszałka Sejmu. Artykuł, który wyraża prywatne poglądy autora, został równolegle opublikowany w czeskim tygodniku „Echo", węgierskim dzienniku „Magyar Idök" i słowackim „Postoj".

eprasa.pl c4240ca7a8

FOT. STEFAN CERNETIC/FACEBOOK

FIKCYJNY KSIĄŻĘ OCZAROWAŁ CELEBRYTÓW

To historia łudząco podobna do wyczynów Czesława Śliwy vel Jacka Ben Silbersteina, oszusta, który w PRL porwał się na udawanie austriackiego konsula i zdołał to wmówić m.in. władzom Wrocławia (na podstawie tej historii powstał film „Konsul" z Piotrem Fronczewskim w roli głównej). 57-letni Włoch z Triestu podawał się za księcia Czarnogóry i Macedonii. Po Apulii poruszał się samochodem z flagą i godłem Czarnogóry, mieszkał w drogich hotelach. W Internecie dokumentował spotkania z VIP-ami. A tych odbywał wiele. Spotykali się z nim hierarchowie kościelni, biznesmeni, celebryci. Być może dlatego, że „książę" rozdawał im tytuły szlacheckie. W 2015 r. taki tytuł wręczył np. aktorce Pameli Anderson. Przygoda arystokraty dobiegła jednak końca, gdy zaczęła tropić go policja – w jego domu funkcjonariusze odnaleźli fałszywe paszporty dyplomatyczne i inne podrabiane dokumenty.

WŁOSKI PERSONEL TO RASIZM

Restaurator w Mogliano koło Treviso napisał w witrynie restauracji, że w jego lokalu personel jest „w stu procentach włoski". I wywołał burzę. Gdy media nagłośniły jego sprawę, wiceburmistrz miasteczka zażądał zdjęcia napisu. „Mogliano nie jest takie, jest otwarte, gościnne" – powiedział prasie urzędnik. Restaurator dziwił się zarzutom o rasizm. Tłumaczył, że po pierwsze napis to tylko stwierdzenie faktu – obecnie wszyscy pracujący u niego są Włochami. A po drugie taką informację uznaje za pewnego rodzaju certyfikat jakości. Uważa bowiem, że tylko Włosi pracujący nad włoskimi daniami dają gwarancję osiągnięcia „włoskiej jakości".

HOMAR PRZED SĄDEM

Włoski Sąd Najwyższy rozpatrywał niedawno sprawę restauratora, któremu wlepiono 5 tys. euro kary za przechowywanie żywych homarów w skrzynkach wyłożonych lodem. Sędziowie uznali, że to „na pewno powoduje ich cierpienia" i że „społeczna wrażliwość" wymaga innych sposobów przechowywania, np. w akwariach. Właściwie trudno się z tym nie zgadzać. Tyle że w tej samej sprawie sędziowie ganiący sposób przetrzymywania homarów nie znaleźli niczego sprzecznego z prawem w zwyczaju gotowania ich żywcem. Widocznie lód, na którym leżą, jest gorszy niż ukrop, który je czeka.

TRENER ZWOLNIONY ZA WYGRANĄ

W większości przypadków trenerów sportowych zwalnia się, gdy prowadzona przez nich drużyna przegrywa ważne mecze albo zalicza serie niepowodzeń. Przypadek hiszpańskiego trenera 10- i 11-latków jest wyjątkiem od tej reguły. Stracił posadę po meczu, w którym jego podopieczni z drużyny CD Serranos z Walencji pokonali rywali 25:0. Przedstawiciel dziecięcej sekcji klubu piłkarskiego tłumaczył, że trener nie powinien był dopuścić do takiego wyniku, bo dla pokonanych chłopców mogło to być bardzo trudne przeżycie. Jak miał zareagować trener lepszych piłkarzy? Zdaniem przedstawiciela klubu mógł np. poprosić chłopców, by przed oddaniem strzału wymieniali obowiązkowo najpierw 15–16 podań.

CZUJNI JAK HOLENDRZY

Holendrzy mają nie tylko roztargnionych żołnierzy, lecz także dość specyficzny system zabezpieczenia pojazdów wojskowych. 21-latek z Holandii, wykorzystując nieuwagę jednego z żołnierzy, wykradł z jego plecaka kartę wejścia do bazy wojskowej w Oirschot oraz uniwersalny klucz do wszystkich zaparkowanych tam samochodów. Jedną z ciężarówek wyjechał sobie na ulice Eindhoven. Minister obrony na swoją obronę przedstawiał to, że dowcipniś nie zdołał się dostać do pomieszczeń z bronią. ©℗

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **ŁUKASZ ZBORALSKI**

eprasa.pl c4240ca7a8

Z George'em Neumayrem, autorem książki „Polityczny papież" *rozmawia Piotr Włoczyk*

Grozi nam schizma

FOT. POOL/REUTERS/FORUM

PIOTR WŁOCZYK: Czy tytułem książki zarzuca pan papieżowi Franciszkowi angażowanie się w politykę?

GEORGE NEUMAYR: Wybrałem ten tytuł, ponieważ nie ulega wątpliwości, że papież Franciszek realizuje w Watykanie swoją bardzo osobistą agendę polityczną. Stawia to Franciszka w kontrze do jego poprzedników.

Nie sądzi pan jednak, że tytuł równie dobrze pasowałby do opisania pontyfikatu Jana Pawła II, który zwalczał komunizm?

Zgoda, jednak Franciszek swoją politykę opiera na innych wartościach niż Jan Paweł II czy Benedykt XVI. Zarzutem nie jest sam fakt, że papież stara się wpływać na świat polityki – szczególnie w kwestii walki z „prawem" do aborcji – to wręcz obowiązek.

Krytykuję jedynie to, że Franciszek prowadzi politykę na podstawie swoich osobistych poglądów, które w wielu punktach nie są zbieżne z nauczaniem Kościoła. Mam na myśli m.in. bezwarunkowe zaakceptowanie przez niego przekazu lewicy w sprawie ocieplenia klimatu. To samo tyczy się wzywania do pełnego otwarcia granic i ograniczenia dostępu do broni palnej. Bodaj najbardziej jaskrawym przykładem tej polityki Franciszka jest postulat zniesienia nie tylko kary śmierci, lecz także dożywocia. Na coś takiego nie pozwalają sobie nawet przedstawiciele lewego skrzydła ultraliberalnej Partii Demokratycznej.

Wzywanie do walki ze zmianami klimatycznymi, wspieranie liberalnej polityki imigracyjnej i wprowadzanie ograniczeń w dostępie do broni to jednak – przyzna pan – sprawy podlegające dyskusji. Nie wszyscy katolicy muszą się w tych kwestiach ze sobą zgadzać. Jak brzmi pański najpoważniejszy zarzut odnośnie do tego domniemanego odejścia Franciszka od nauki Kościoła?

Na razie wygląda na to, że w długiej perspektywie najwięcej szkód spowoduje „Amoris laetitia", w której papież otworzył przed cudzołożnikami (rozwiedzionymi, żyjącymi w nowych związkach) możliwość przystępowania do komunii świętej. Ten dokument w zasadzie ogłasza, że można równocześnie cudzołożyć i być w stanie łaski.

Gwoli ścisłości: papież nie napisał niczego takiego w „Amoris laetitia". To tylko jedna z interpretacji jego słów.

Problem w tym, że papież nie wypowiedział się jednoznacznie w sprawie

eprasa.pl c4240ca7a8

tych wątpliwości. Efekt jest taki, że wierny z diecezji w San Diego, który się rozwiódł i ma nową partnerkę, z którą współżyje, może przystępować do komunii świętej. Tymczasem osoba dokładnie w takiej samej sytuacji, która mieszka w Filadelfii, nie może przyjmować komunii, ponieważ tamtejszy biskup pozostaje wierny nauce Kościoła.

Przez lata będzie to bardzo źle wpływało na jedność Kościoła. Był to jasny sygnał dla wszystkich liberalnie nastawionych biskupów, że cudzołóstwo nie jest już potępiane.

Obawiam się, że doprowadzi to – de facto – do schizmy w Kościele między tymi, którzy uznają podstawy wiary, a tymi, którzy wybierają „nowoczesność". Chciałbym to podkreślić: nie będzie to zapewne schizma formalna, lecz faktyczna. Zwiastunem tego, co nas czeka, jest list czterech kardynałów, którzy poprosili Franciszka o wyjaśnienie jego stanowiska w sprawie cudzołóstwa. Jeżeli nic się nie zmieni, to katolicyzmowi grozi podział taki jak w anglikanizmie.

Jorge Mario Bergoglio (z lewej) i przełożony generalny Towarzystwa Jezusowego Pedro Arrupe FOT. FRANCO ORIGLIA/GETTY IMAGES

W swojej książce cytuje pan anonimowych amerykańskich duchownych niższego i wyższego szczebla, z którymi pan rozmawiał na te tematy. Jaki obraz wyłania się z tych rozmów?

Ci duchowni są podłamani tą nową atmosferą. W Rzymie szukają przewodnictwa w krzewieniu tradycji, ale niczego takiego tam nie znajdują.

To, co oni mówią swoim parafianom, i to, co parafianie słyszą z Watykanu, to dwa różne przekazy. Wprowadza to zamęt i pozwala ludziom żyjącym w herezji dumnie podnosić czoło i mówić kapłanom: „To, co opowiadacie, nie ma sankcji Watykanu. Będziemy więc słuchać bezpośrednio papieża". Jeden z księży, który bardzo poważnie podchodzi do nauki Kościoła, powiedział mi wręcz, że on i jego koledzy czują się tak, jakby mieli przypięte do pleców tarcze strzelnicze.

Czarę goryczy przelało to, co Franciszek zrobił z kard. Raymondem Burke'em, na którego z nadzieją patrzy bardzo wielu amerykańskich konserwatywnych katolików, w tym również ja.

Kardynał Burke faktycznie został odsunięty na margines, ale czy Franciszek nie miał prawa tego zrobić jako jego przełożony?

Ta sprawa to przejaw brutalnej papieskiej polityki. Kardynał Burke został zmarginalizowany i upokorzony tylko dlatego, że jest wierny ortodoksji i nie po drodze jest mu z „nowoczesną" linią tego pontyfikatu. Pozbycie się tego kardynała jest częścią agendy Franciszka – papieżowi zależy najwyraźniej na tym, aby nową ortodoksją stała się heterodoksja.

Franciszek chce się otaczać ludźmi takimi jak choćby kard. Óscar Maradiaga, przewodniczący Rady Kardynałów, który ostatnio ostro skrytykował kard. Burke'a. Teraz to kard. Maradiaga, znany ze swojej lewicowości, ma być wzorem duchownego. To środowisko musiało usunąć kard. Burke'a z urzędu prefekta Najwyższego Trybunału Sygnatury Apostolskiej, ponieważ oczywiste było, że będzie on stawiał opór liberalizacji.

Jak w takim razie wytłumaczy pan to, że pół roku temu Franciszek mianował bardzo konserwatywnego abp. Marka Jędraszewskiego metropolitą krakowskim? To bardzo ważne miejsce na kościelnej mapie Polski...

Tak, ten papież na pewno zna się na polityce i widzi, że czasem trzeba zaspokoić oczekiwania konserwatystów. Takich przykładów jest trochę więcej. Na przykład konserwatywny kard. Robert Sarah został mianowany przez Franciszka prefektem Kongregacji ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów.

Są to jednak tylko wyjątki potwierdzające niepokojącą regułę: konserwatyści są za tego pontyfikatu degradowani, natomiast liberałowie są awansowani. Przyjrzyjmy się choćby składowi Rady Kardynałów. Zdecydowana większość jej członków to przedstawiciele tzw. lewicy katolickiej. Kardynał Maradiaga, z racji swoich wpływów często nazywany wicepapieżem, ma przecież wręcz socjalistyczne poglądy. W 2016 r. WikiLeaks ujawniło, że miliarder George Soros lobbował w otoczeniu papieża, by podczas wizyty Franciszka w USA nie poruszano zasadniczych dla Kościoła kwestii. To właśnie kard. Maradiaga współpracował w tej sprawie z Sorosem...

W swojej książce twierdzi pan, że Franciszek nie tylko wspiera lewicowo nastawionych duchownych, lecz także sympatyzuje z „marksistami". To niezwykle poważne oskarżenie. Czym je pan uzasadnia?

W mojej książce podaję całą listę dowodów na to, więc każdy może zweryfikować moje słowa. Nie ma żadnych wątpliwości, że obecny papież otoczył się ludźmi o bardzo lewicowych poglądach.

Kardynał Maradiaga to tylko jeden przykład. Profesor Margaret Archer od 2014 r. szefuje Papieskiej Akademii Nauk Społecznych, chociaż sama przyznała się do przynależności do marksistowskiej lewicy.

Z kolei nowy przełożony jezuitów, Wenezuelczyk Arturo Sosa Abascal, ma na swoim sumieniu podpisanie

eprasa.pl c4240ca7a8

listu z pochwałą Fidela Castro i jawnie marksistowskie wypowiedzi. Ostatnio „zasłynął" stwierdzeniem, że słowa Jezusa odnośnie do nierozerwalności małżeństwa są „względne". Ten duchowny jest bliskim współpracownikiem papieża Franciszka, z którego błogosławieństwem stanął na czele Towarzystwa Jezusowego.

Spójrzmy też na listę ludzi, z którymi papież konsultował encyklikę „Laudato si'", nazywaną przez media „zieloną encykliką". Wśród tych nazwisk wybija się Naomi Klein, znana kanadyjska skrajnie lewicowa aktywistka. Klein wprost mówi, że uważa walkę z globalnym ociepleniem za wehikuł służący rozprzestrzenianiu po świecie socjalistycznych idei. Innym konsultantem był Leonardo Boff, zwolennik marksizmu, propagator teologii wyzwolenia, który porzucił zakon franciszkański.

Jakby tego było mało, Franciszek zaprasza do Watykanu na wykłady zwolenników ograniczenia przyrostu naturalnego i aborcji, chociażby Paula Ehrlicha...

Chyba jednak trudno oskarżać Franciszka o sprzyjanie marksizmowi, skoro jeszcze jako prowincjał jezuitów w Argentynie ostro potępiał księży chwytających za karabiny, czym zresztą naraził się wielu skrajnie lewicowo nastawionym argentyńskim duchownym.

Tak, ale pamiętajmy, że był to element walki między dwoma środowiskami wśród jezuitów: skrajnie lewicowym i umiarkowanie lewicowym. Ówczesny generał jezuitów Pedro Arrupe również sprzeciwiał się wojującemu marksizmowi. Jednocześnie jednak Arrupe nie miał nic przeciwko włączaniu marksizmu do teologii, pod warunkiem jednak, że nie prowadziło to do użycia przemocy.

W ten sposób dotarliśmy do sedna problemu z Franciszkiem. Jorge Bergoglio kształtował się jako kapłan w czasach, gdy jezuici zaczęli się przesuwać w lewo w sensie zarówno teologicznym, jak i politycznym. Franciszek jest uczniem tej nowej szkoły jezuickiego wychowania. Był on protegowanym Pedra Arrupe, który zasłynął daleko posuniętą liberalizacją zakonu. Arrupe mianował zaledwie 36-letniego Jorge Bergoglia prowincjałem jezuitów w Argentynie. Dlaczego? Ponieważ doskonale wiedział, że może na nim polegać. W książce opisuję dokładnie, jak Arrupe użył młodego Jorge Bergoglia do stłumienia niezadowolenia wyrażanego głośno przez niektórych konserwatywnych jezuitów.

Jak pan w takim razie wyjaśnia swoim czytelnikom wybór, którego dokonali kardynałowie w 2013 r.? Zostali wprowadzeni w błąd? Nie wiedzieli, na kogo głosują?

Wybór Franciszka to zwycięstwo „nowocześnie" nastawionych katolików w teologicznej wojnie domowej, która twa już ponad sto lat. Przecież część lewicujących kardynałów przyznała, że od dawna planowała obsadzenie Jorge Bergoglia na Tronie Piotrowym. Nie jest tajemnicą istnienie tzw. grupy z Sankt Gallen, złożonej z liberalnych dostojników kościelnych, którzy przez wiele lat spotykali się w tym szwajcarskim mieście z nadzieją, że uda im się przejąć kontrolę nad Watykanem. Nie udało im się to w 2005 r., ale osiem lat później odnieśli sukces.

Pamiętajmy jednak, że kardynałowie, którzy wybrali Franciszka, sami zostali wskazani przez Jana Pawła II oraz przez Benedykta XVI. Chyba nikt przy zdrowych zmysłach nie oskarży tych dwóch papieży o lewicowe sympatie.

Niestety, obu tym konserwatywnym papieżom nie udało się oczyścić Kościoła. Przykładem jest choćby kariera ultraliberalnego kard. Waltera Kaspera z Niemiec, który jest potężną postacią u boku Franciszka. Jan Paweł II i Benedykt XVI mogli go zneutralizować, ale nie zrobili tego. Zamiast tego dali mu władzę, co ostatecznie skończyło się wyborem Franciszka.

Obaj papieże byli nieustannie pod presją liberałów, zdecydowali się iść na pewne kompromisy, by utrzymać jedność Kościoła. Moim zdaniem to nie było właściwe podejście, ponieważ trzeba było już lata temu przeciąć ten wrzód i usunąć w cień liberalnych kardynałów. To był błąd i teraz żyjemy z jego konsekwencjami. Nie chcę jednak zanadto krytykować poprzedników Franciszka, ponieważ wiem, pod jaką presją się znajdowali. Według mnie wzorem do naśladowania był Pius X, który robił wszystko, by nie dopuszczać liberałów do wysokich urzędów kościelnych. Gdyby jego polityka była kontynuowana, Jorge Bergoglio nigdy nie zostałby wybrany.

Nie wierzy pan w to, że Benedykt XVI abdykował z uwagi na stan zdrowia?

Każdy, kto śledzi te sprawy, wie, że bardziej chodziło tu o kwestie psychologiczne niż o zdrowie fizyczne. Wola Benedykta XVI została w końcu złamana, ponieważ od zawsze był w mniejszości w Watykanie.

Jak się pan czuje z nawoływaniem namiestnika Chrystusa do zmiany kursu?

Nie atakuję papiestwa ani tej części działalności Franciszka, która pozostaje w zgodzie z nauczaniem Kościoła. Krytykuję tylko te działania, które przekreślają ortodoksję katolicką. Już św. Tomasz z Akwinu powiedział przecież, że podwładni mogą dla dobra wspólnoty zwrócić swoim przełożonym uwagę na odchylenie od normy. Właśnie wierny tej tradycji zabieram głos.

Moją motywacją jest pragnienie obrony spójności wiary katolickiej. Obawiam się, że dla niektórych katolików wierność wobec papieża jest ważniejsza od obrony nauczania Kościoła. Tymczasem Franciszek jest jak liberalny taran, który poważnie zmienia Kościół. Napisałem tę książkę z nadzieją, że czytelnicy zrozumieją, iż każdy w Kościele, również papież, musi się trzymać podstaw wiary.

Studiował pan na jezuickim uniwersytecie w San Francisco. To stąd bierze się pański sceptycyzm odnośnie do jezuitów?

To, co widziałem i słyszałem z ust jezuickich wykładowców w San Francisco, doprowadziło mnie do przekonania, że ten zakon jest jak wroga siła wewnątrz Kościoła. Mam wrażenie, że część jezuitów kocha każdą religię oprócz własnej. Ci wykładowcy chcą wyeliminować tradycyjny katolicyzm, odrzucić nauczanie Kościoła w tak fundamentalnych sprawach jak obrona życia i małżeństwo, a zamiast tego nauczać programu wyborczego Partii Demokratycznej. Trudno zrozumieć, jak to możliwe, że ci ludzie krytykują Kościół w ten sam sposób co wrogowie Kościoła. Wykorzystują oni swoją pozycję na uniwersytetach po to, by przekonywać do tej wizji kolejne pokolenia młodych ludzi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

George Neumayr – amerykański publicysta katolicki, współpracuje m.in. z konserwatywnym magazynem „The American Spectator". W USA ukazała się właśnie jego najnowsza książka pt. „Polityczny papież" („The Political Pope").

eprasa.pl c4240ca7a8

Z Robertem Gwiazdowskim, szefem rady Warsaw Enterprise Institute
rozmawia Stefan Sękowski

Dobrze, że to koniec OFE

FOT. KRYSTIAN DOBUSZYŃSKI/REPORTER

STEFAN SĘKOWSKI: Ministerstwo Rozwoju planuje przekształcenie Otwartych Funduszy Emerytalnych w fundusze inwestycyjne w III filarze i przekazanie części ich aktywów do Funduszu Rezerwy Demograficznej. Cieszy pana, że nie będzie już OFE?

ROBERT GWIAZDOWSKI: Tak. OFE dały zbyt dużo zupełnie niepotrzebnych nadziei. Z ich powodu z systemu emerytalnego zniknęło za dużo pieniędzy. Lepiej późno niż wcale.

Czy to rzeczywiście będzie zmiana jakościowa?

Nie, my w dalszym ciągu tkwimy w systemie, który jest niewydolny, zamiast zasadniczo zmienić system emerytalny. Z obliczeń opartych na algorytmach ustawodawcy wynika, że za kilkanaście lat trzech na czterech pracowników przechodzących na emeryturę będzie miało emeryturę minimalną, czyli tzw. obywatelską. Nie będą mieli emerytury kapitałowej, bo ich składki będą za niskie, więc dostaną minimum zagwarantowane przez państwo, a co czwarty będzie miał emeryturę troszeczkę wyższą. Jedni o 10, inni o 100 zł – średnio zapewne o ok. 50–60 zł. To absurd, bo w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych pracuje 45 tys. osób, które wyliczają wysokość emerytur i system komputerowy, na którego utrzymanie wydajemy 800 mln zł rocznie, który też tylko to liczy. Tymczasem gdybyśmy przeprowadzili porządną reformę systemu emerytalnego, to ten system komputerowy mógłby liczyć to, co mają liczyć systemy w urzędach skarbowych, których jeszcze nie mamy. Pracownicy ZUS zamiast liczyć podatek dochodowy od emerytury, co jest przelewaniem pustego w próżne, zajęliby się kontrolowaniem podatków, które mają sens dla gospodarki. Przeszkolenie pracownika ZUS, by uszczelniał system VAT i akcyzy, to nie jest jakieś wielkie zadanie.

Jednak reforma części kapitałowej ma przynieść większe przychody przyszłym emerytom.

One będą zależały od tego, jaki wypracujemy dochód narodowy i jak go podzielimy przy urnie wyborczej między tych, którzy go wytwarzają, i tych, którzy go nie wytwarzają, czyli emerytów.

Nie tylko przy urnie wyborczej. Pieniądze, które trafią do Funduszu Rezerwy Demograficznej, mają być inwestowane.

OFE też inwestowały. Szykuje się przewał. Jedną z zadziwiających inwestycji OFE było kupienie akcji węgierskiego banku OTP. To była czysta spekulacja. ZUS, zarządzając środkami Funduszu Rezerwy Demograficznej, prowadził pasywną politykę. Komputer mówił, w co należy inwestować.

Głównie w obligacje skarbowe.

Jednak też w akcje i FRD miał lepsze wyniki niż większość OFE. Dzisiaj zanosi się na to, że państwo zostanie spekulantem giełdowym. Zdaje się, że nie będzie takiego pasywnego inwestowania,

eprasa.pl c4240ca7a8

jakie uprawiał ZUS, ale zarządzający będą grać tymi ciężkimi miliardami na giełdzie.

FRD ma być zarządzany przez towarzystwo funduszy inwestycyjnych, którego jedynym udziałowcem jest Polski Fundusz Rozwoju, i w ten sposób realizować strategię Morawieckiego.

Można powiedzieć, że będzie inwestował w ważną infrastrukturę, przez co będą stworzone warunki do przyszłego rozwoju i wypracowywania wyższego dochodu, dzięki czemu emeryci będą mogli liczyć na wyższą emeryturę. Jednak niestety istnieje ryzyko, że wiele z tych inwestycji będzie politycznych, a nie ekonomicznych, a ponadto, że będą to inwestycje giełdowe i że nie unikniemy takiej sytuacji jak z OTP, czyli prywatnych spekulacji.

Prawdopodobnie takich zakupów nie będzie, bo chodzi o to, by rozwijać polską gospodarkę i inwestować w polskie firmy.

Jakie firmy? FRD będzie kupować akcje PKN Orlen? Jakie to będzie inwestowanie w polską gospodarkę? Takie działanie jest obarczone wielkim ryzykiem. Jeśli inwestujemy w biznes, który ma być silny w przyszłości, to jest to zawsze ryzykowne. Fundusze emerytalne często inwestują pasywnie, a przynajmniej bezpiecznie. Jeśli spojrzymy na Plan Odpowiedzialnego Rozwoju, to istnieje ryzyko, że zarządzający zainwestują te pieniądze np. w Centralny Port Lotniczy im. Lecha Kaczyńskiego.

Czy problemem jest to, że część aktywów OFE trafi do FRD, czy to, że fundusz będzie inaczej funkcjonował?

Moim zdaniem to, że będzie inaczej funkcjonował. Chwaliłem go, gdy powstał, ale on nie spełnił pokładanych w nim nadziei.

Bo był na bieżąco drenowany przez polityków.

To prawda. W FRD są grosze. Nie wiem, czy one wystarczą na wypłatę emerytur przez miesiąc. Nie zwiększymy szybko tej kwoty do satysfakcjonującego rozmiaru.

25 proc. aktywów OFE ma trafić do FRD, same OFE mają się przekształcić w towarzystwa inwestycyjne i prowadzić indywidualne konta zabezpieczenia emerytalnego (IKZE). One mają być dobrowolne i należeć do nas.

Jeśli tak będzie, to jestem „za". Bez względu na to, jak będzie naprężał muskuły Mateusz Morawiecki z Naczelnikiem Kaczyńskim czy Grzegorz Schetyna z Ryszardem Petru, nas czeka zapaść demograficzna. Nawet jeśli dzięki programowi „500+" współczynnik dzietności wzrośnie z 1,3 do 1,5, to i tak będzie to za mało, bo reprodukcja prosta wynosi 2. Jesteśmy starzejącym się społeczeństwem. Jeśli to jest nieuchronne i wiemy, że w przyszłości coraz więcej osób będzie w podeszłym wieku, a coraz mniej osób będzie wchodzić na rynek pracy, to musimy zacząć oszczędzać, bo emerytura państwowa będzie minimalna. Obecnie superoptymistycznym założeniem jest to, że stopa zastąpienia za 30 lat będzie wynosić ok. 40 proc.

Minister Morawiecki chce nas właśnie skłonić do oszczędzania. Tych pieniędzy, które znajdą się w IKZE, nie będzie można od razu wypłacić – do 2019 r. to nie będzie w ogóle możliwe, do 2024 r. będzie to obłożone ogromnym podatkiem. Czy takie podejście do naszych pieniędzy jest w porządku?

Najpierw Sąd Najwyższy, a później Trybunał Konstytucyjny słusznie stwierdziły, że środki, które są w OFE, są publiczne. Środki zabrane nam przez organ podatkowy stają się pieniędzmi publicznymi. One zostały nam zabrane i wydane. Jeśli państwo nam w jakiś sposób je zwróci, bez względu na to, jaki to będzie sposób – czy odłożony w czasie i obłożony wysokim podatkiem – to i tak będziemy do przodu. Ponadto jestem za propagowaniem oszczędzania w tych funduszach – ludzie, oszczędzajcie, bo będziecie mieli głodowe emerytury.

I to rząd chce robić. Innym planem jest zbudowanie systemu Pracowniczych Programów Kapitałowych. Według projektów każdy pracujący ma być domyślnie zapisany do PPK. Każdy pracodawca będzie musiał mu zapewnić możliwość przynależenia do takiego planu.

To jest dodatkowe opodatkowanie pracy. PiS ma szczęście, bo mamy dobrą koniunkturę gospodarczą i na rynku pracy jest poduszka, która to zamortyzuje. Najwięcej pracowników zatrudniają takie instytucje jak ZUS, Poczta Polska czy PKN Orlen. Te państwowe molochy nie będą miały problemu z zapewnieniem pracownikom dostępu do tych programów. Takie problemy będą miały małe i średnie przedsiębiorstwa. Polska cierpiała przez wysokie opodatkowanie pracy przez ostatnie 25 lat, bo na początku lat 90. XX w. zostało ono bez sensu podniesione.

Jednak pracownik będzie mógł zrezygnować z przynależności do PPK.

Tak samo, jak miał prawo zrezygnować z przeniesienia części aktywów z OFE do ZUS za czasów Donalda Tuska. Ludzie byli automatycznie zapisywani do ZUS i wystarczyło nie robić nic, by trafić do ZUS. W związku z tym większość trafiła do ZUS. Tak samo może być z przynależnością do PPK – wystarczy się nie wypisać, by do niego należeć. Jednak to i tak lepsza sytuacja niż wtedy, gdy nie można wcale zrezygnować. Przy czym pracownik może zrezygnować, ale pracodawca nie, a to wszystko po to, by odkładać jeszcze więcej na chimeryczną przyszłą emeryturę.

Nie tak chimeryczną, ze slajdów ilustrujących Program Budowy Kapitału ministra Morawieckiego wynika, że przynależność do PPK może przynieść nam nawet dodatkowych 1,4 tys. zł emerytury miesięcznie.

Nie będzie żadnych dodatkowych 1,4 tys. zł emerytury! Skąd oni je wezmą? Ile osób będzie pracowało za 30 lat? Założenie, że będzie gigantyczny wzrost gospodarczy albo że roboty będą na nas pracowały, to jest paranoja.

Czy planowana reforma ma także dobre strony?

Zakończenie nieudanego eksperymentu z OFE oceniam pozytywnie. Jak porównujemy to, co chce zrobić Morawiecki, z tym, co mamy, to będzie lepiej, niż jest. Jednak nie będzie dobrze dopóty, dopóki ten system jest tak skonstruowany i nie zmieni tego ani ten plan, ani żaden inny. System emerytalny oparty na opodatkowaniu pracy jest złym systemem z uwagi na coś, co się nazywa pigułka antykoncepcyjna. Dopóki rodziło się więcej dzieci, niż umierało dorosłych, taki system jakoś funkcjonował. W momencie, gdy możemy nie mieć dzieci, a mieć przyjemność, to ten system się nie utrzyma.

Za kilkanaście lat trzech na czterech pracowników przechodzących na emeryturę będzie miało emeryturę minimalną

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Robert Gwiazdowski – adwokat, profesor Uczelni Łazarskiego i szef rady Warsaw Enterprise Institute. Były prezes Rady Nadzorczej ZUS, autor książki „Emerytalna katastrofa".

eprasa.pl c4240ca7a8

FOT. DARIUSZ GORĄŚKI/FORUM

Surowce: cena wolności

Agnieszka Łakoma

Polska za pięć lat może przestać kupować gaz z Rosji i zastąpić go norweskim, amerykańskim, katarskim lub jakimkolwiek innym. A gdyby Rosjanie zakręcili kurek na ropociągu Przyjaźń, skorzystamy z Naftoportu. To prawdziwa rewolucja i jak każda, ta też jest kosztowna

Jesteśmy w trakcie rewolucji, bo tylko tak można określić plan rezygnacji Polski z rosyjskiego gazu, który sprowadzamy od dziesięcioleci. A mając jeden niewielki rurociąg z Niemcami, Polska zdana była na łaskę i niełaskę jednej tylko firmy – koncernu Gazprom.

MAŁYMI KROKAMI

Polska ma już za sobą zmianę ewolucyjną, bo od roku działa na dobre gazoport w Świnoujściu i statkami sprowadza gaz skroplony z Kataru, Norwegii i USA. W porównaniu z potrzebami kraju (16 mld m sześc. rocznie) dostawy są niewielkie, a i sam terminal nie jest w pełni wykorzystywany. Nadal zatem – choć mamy nową drogę importu paliwa – i tak najwięcej kupujemy od rosyjskiego Gazpromu. Na dodatek musimy zapłacić za określoną w kontrakcie ilość gazu, nawet jeśli potrzebowalibyśmy go znacznie mniej. W myśl zasady „take or pay", czyli „bierz lub płać", co niektórzy z ekspertów interpretują jako „płacz i płać". Ta zasada to tylko jeden z powodów, które skłoniły Polskę do szukania możliwości zróżnicowania dróg i kierunków importu gazu. Lista powodów jest długa, wynika z historii i często napiętych relacji na linii Gazprom – Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo. I nie chodzi tylko o wyczekiwanie polskich prezesów na rozmowy z „partnerami" pod drzwiami w moskiewskim biurowcu potentata. Przede wszystkim chodzi o dyktat cenowy, czyli to, że przepłacaliśmy za gaz i przez lata uzbierały się za to miliardy złotych, oraz o niepewność.

To dlatego Polska chce zrealizować rewolucyjny plan, a po uruchomieniu gazoportu jego drugi etap, czyli połączenie ze złożami norweskimi i gazociągiem Baltic Pipe. Ta skomplikowana i kosztowna inwestycja ma powstać przed końcem 2022 r. – tak, by gaz z Norwegii popłynął, gdy w następnym roku wygaśnie kontrakt z rosyjskim Gazpromem.

MILIARDY ZA DYWERSYFIKACJĘ

Jeśli podsumować dotychczasowe wydatki spółki Gaz System – odpowiedzialnej za największe gazociągi oraz budowę terminalu w Świnoujściu – to okazuje się, że sięgają one 8 mld zł. Teraz szykują się kolejne – w ramach projektu Baltic Pipe – 874 mln euro. To część wstępnie oszacowanych wydatków i tylko w odniesieniu do strony polskiej, bo duńscy partnerzy mają do wykonania własne prace – wcale nie tańsze. Poza tym polska firma musi wybudować nowe gazociągi za kilka miliardów złotych.

Skale wydatków na Baltic Pipe trudno jednoznacznie ocenić. Za wcześnie na to, a i tak w trakcie prac mogą się zmienić. Chodzi jednak o 1,7–2 mld euro. Nikt nie ma wątpliwości, że projekt, który jest tak skomplikowany, musi kosztować. W końcu trzeba ułożyć rurociągi na dnie morskim, wybudować tłocznie gazu i dopasować (przygotować) naszą sieć rurociągów tak, by ten nowy gaz można było rozprowadzić po kraju.

ENERGY Congress NEWS
28-29 CZERWCA 2017
PATRONATY HONOROWE:
MINISTERSTWO ENERGII
MINISTERSTWO ROZWOJU
20 LAT Urząd Regulacji Energetyki

eprasa.pl c4240ca7a8

Minister Naimski zapewnia, że „zdążymy i jest to oczywistą rzeczą". Szefowie Gaz Systemu przekonują, że sobie poradzą z wydatkami, chociaż nie mogą liczyć na unijne pieniądze. Wprawdzie Baltic Pipe znalazł się na liście tzw. projektów szczególnego zainteresowania UE, czyli priorytetów, ale poza wsparciem. Unijni decydenci najwyraźniej uznali, że wspólnota dopłaciła już wystarczająco dużo do polskiego bezpieczeństwa energetycznego – dofinansowując budowę gazoportu w Świnoujściu.

Minister Naimski na niedawnym spotkaniu z dziennikarzami przyznał, że nie będzie dofinansowania unijnego, bo projekt jest opłacalny, czyli jest typowym biznesowym przedsięwzięciem. Czy się nie myli – to pokaże badanie rynku. Polska i duńska firma zbierają teraz zamówienia od firm zainteresowanych skorzystaniem z Baltic Pipe.

BEZPIECZEŃSTWO MUSI KOSZTOWAĆ

To swoisty test prawdy i już za miesiąc będą znane wyniki. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że to przede wszystkim stronie polskiej zależy na inwestycji. A na razie jest jeden pewny klient Baltic Pipe – to Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo. Firma ma złoża na szelfie norweskim, na razie wydobywa 600 mln m sześc., ale planuje, że za pięć lat będzie to nawet ok. 3 mld. To jednak ciągle mało, skoro gazociąg będzie miał możliwości trzy razy takie. Szef Gaz Systemu Tomasz Stępień wyjaśnia, że decyzja o rozpoczęciu budowy zależy przede wszystkim od pozytywnych wyników badania rynku. I dopiero na podstawie otrzymanych ofert na zarezerwowanie mocy rurociągu obaj inwestorzy przeprowadzą test ekonomiczny i zdecydują się na umowy z klientami. Jednocześnie liczą, że chętni będą, zwłaszcza że prognozy zakładają wzrost importu gazu do Polski z 12,4 mld m sześc. obecnie do 17,6 mld m sześc. w 2023 r.

– Na pewno gazoport i Baltic Pipe to nie jest tanie rozwiązanie, ale mamy określony cel – uniezależnienie się od rosyjskiego gazu, czyli w praktyce bezpieczeństwo i stabilność – mówi Marcin Roszkowski, prezes Instytutu Jagiellońskiego. – Wystarczy przypomnieć sobie, że gdy uruchomiliśmy gazoport w Świnoujściu, nasza pozycja negocjacyjna z Gazpromem się poprawiła. Jego zdaniem po wybudowaniu połączenia z Norwegią będziemy mogli, tak jak inne kraje, korzystać na grze rynkowej. I być może uda nam się też stworzyć hub gazowy – swoistą giełdę handlu gazem dla naszej części Europy.

– Nie można zapewnić sobie bezpieczeństwa, nie angażując sił i środków, nikt nam tego nie zafunduje – przekonuje Marcin Tarnawski z Instytutu Kościuszki. – Przy tego typu projektach nie można brać pod uwagę tylko kwestii czysto komercyjnej. Tym bardziej że nie wiemy, jak szybko będzie postępować transformacja energetyki.

Ekspert przypomina, że Unia Europejska naciska na rezygnację z węgla, a i polski rząd zapowiada, że stopniowo do 2050 r. energetyka będzie wykorzystywać mniej tego paliwa. Zatem może się okazać, że będziemy produkować energię elektryczną z gazu i będzie to opłacalne.

Szefowie Gaz Systemu jak dotąd niewiele mówią o skutkach inwestycji w bezpieczeństwie energetycznym dla klientów. W oficjalnym komunikacie, cytowanym przez PAP, pojawiła się tylko jedna informacja – przesyłanie gazu polskimi rurociągami będzie droższe. Za pięć lat stawka będzie wyższa o ponad jedną czwartą. Prezes Stępień zapewnia jednak, że to nie będzie efekt wydatków na Baltic Pipe. A po prostu w najbliższych latach skumulują się wydatki na nowe gazociągi w kraju i połączenia z sąsiadami.

W praktyce wszyscy, którzy będą korzystać z sieci Gaz Systemu (czyli największych rurociągów, bo za takie odpowiada firma), będą płacić drożej. W opinii ekspertów ta podwyżka taryf to nie problem. Marcin Tarnawski uważa, że nawet jeśli wzrosną, to będzie to mniejszy koszt dla wszystkich, niż gdyby okazało się, iż za kilka lat wzrośnie popyt na gaz i musielibyśmy zależeć od rosyjskiego dostawcy.

NIE TYLKO NAFTOPORT

Uzależnienie Polski od rosyjskiego gazu jest niemal legendarne. Znacznie korzystniejszą pozycję nasz kraj ma, gdy chodzi o import ropy, bo od lat działa Naftoport w Gdańsku. I ma możliwości przewyższające potrzeby naftowe polskich rafinerii w Płocku i Gdańsku, które ropę rosyjską odbierają przede wszystkim z rurociągu Przyjaźń. Od początku Naftoport uznawany jest za podstawowy element bezpieczeństwa i dlatego, że istnieje, udało się uniknąć takich kryzysów jak gazowe – gdy np. Gazprom, zakręcając zimą kurek na Ukrainie, powodował, iż kilka państw europejskich – w tym Polska – gaz otrzymywało.

– Chociaż Naftoport gwarantuje nam możliwość sprowadzenia ropy statkami, i to na dużą skalę, a w sytuacji kryzysowej – na którą zawsze trzeba być przygotowanym – jedynym problemem byłoby odpowiednie ustalenie harmonogramu dla statków, to jeszcze nie wszystko – mówi prezes PERN Igor Wasilewski. – Musimy mieć możliwości zmagazynowania ropy i przesyłania jej z Gdańska do Płocka – dodaje.

Dlatego teraz PERN (odpowiedzialny i za Naftoport, i za polski odcinek Przyjaźni) szykuje nowe inwestycje liczone na setki milionów złotych. Na początek rozbuduje jeszcze terminal naftowy w Gdańsku, który uruchomiono półtora roku temu. – Ta baza naftowa musi być przygotowana na przechowywanie różnych gatunków ropy, bo w ramach dywersyfikacji tak Orlen, jak Lotos sprowadzają od niedawna też ropę z krajów arabskich – wyjaśnia prezes Wasilewski. – Jeśli do tego, jak planujemy, powstaną dodatkowe zbiorniki na paliwo i uda się rozbudować rurociąg między Gdańskiem a Płockiem, to kwestia bezpieczeństwa przestanie być dyskusyjna – dodaje.

To plan na najbliższe trzy lata.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

PARTNER:

PGE

PARTNERZY:

PERN

PGNiG

GAZ system

PFR Polski Fundusz Rozwoju

ORGANIZATORZY:

Centrum Gospodarcze im. Mikołaja Kopernika

DO RZECZY

eprasa.pl c4240ca7a8

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kręć jak Austriak!

Po wszczęciu przez Komisję Europejską postępowania przeciw Polsce, Węgrom i Czechom, w związku z objawianą przez nie niechęcią do przyjęcia tysięcy imigrantów, którzy i tak się do nich nie wybierali ani nie wybierają, w przestrzeni publicznej pojawiły się – i to wcale nieodosobnione – głosy, że władze Polski popełniły kardynalny błąd, twardo obstając przy swoim. Należało bowiem postąpić tak jak Austriacy, którzy w ostatniej chwili uchronili się przed podobnym postępowaniem ze strony Komisji Europejskiej, bo zadeklarowali w maju przyjęcie 50 osób, „z których pewnie i tak ani jednej nie przyjmą". „Bo przecież wiadomo, jak to się robi w UE: trzeba przytaknąć, zgodzić się na dictum silniejszych państw, coraz bardziej bezceremonialnie narzucających swą wolę słabszym, a potem słowa nie dotrzymać albo dotrzymać tylko w części, chwytając się każdej nadarzającej się okazji, która pozwala na obstrukcję". Inaczej mówiąc, autorzy tych sugestii proponowali uciekanie się do „kręcenia", czyli – w istocie – oszustwa jako metody uprawiania polityki.

Pewnie, można i tak, tym bardziej że wiadomo, iż w polityce nie wystarczy mieć racji; trzeba jeszcze być na tyle skutecznym, by umieć postawić na swoim. Lecz, po pierwsze, wcale nie jest pewne, czy skorzystanie z tricku, do jakiego uciekli się Austriacy, także w przypadku Polski rządzonej przez nieakceptowany przez Berlin rząd PiS przyniosłoby taki sam efekt. „Stare" państwa Unii coraz mniej starannie ukrywają przecież to, że im – a więc także Austrii – wolno dużo więcej niż „nowym" państwom UE.

A po drugie – i to jest po stokroć ważniejsze – warto pamiętać, że to właśnie ta – rzeczywiście już niemal powszechna w UE – metoda uprawiania polityki za pomocą oszustw, wzajemnego wyprowadzania się w pole, czarowania się i upartego zaklinania rzeczywistości doprowadziła Unię wprost do miejsca, w którym dziś tkwi. Czyli w samo serce dziesiątków kryzysów, które jeden po drugim zdają się „coraz bardziej nierozwiązywalne". I pewnie dlatego tak wielu politykom wydaje się, że jedyne, co w tej sytuacji można uczynić, to brnąć dalej: oszukiwać się, że się je rozwiązuje, niczego takiego nie robiąc – tak jak w sprawie imigrantów – lub nazywać ich rozwiązywaniem coś wprost przeciwnego – tak jak w sprawie strefy euro, którą zamiast zlikwidować, uparcie próbuje się powiększać. Nieuchronnie prowadząc w ten sposób do upadku UE.

A przecież bez trudu można byłoby wybrać inne wyjście. To, które proponuje m.in. Polska: przestać się oszukiwać, stanąć oko w oko z nazwanymi po imieniu problemami i zabrać się do ich usuwania. Czyli – w pierwszej kolejności – raz na zawsze pożegnać się z przekonaniem, że prawdziwy Europejczyk to taki, który nie ma żadnych skrupułów, by oszukiwać dla opacznie pojmowanego dobra Unii. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Zmarnowane miliardy złotych

Ostatnie rankingi uczelni wyższych w Polsce pokazały dwa trendy. Po pierwsze, uczelnie prywatne zaczęły szybko gonić publiczne, mimo że prawie nie korzystają z państwowych środków, w odróżnieniu od publicznych, które bez cycka podatnika nie przetrwałyby nawet jednego semestru. Po drugie, uczelnie publiczne co roku są coraz niżej w rankingach międzynarodowych. Na przykład najlepsze polskie uczelnie są daleko za najlepszymi Kazachstanu.

Ten stan rzeczy mamy mimo tego, że w uczelnie publiczne wpompowano w minionej dekadzie miliardy złotych dotacji unijnych. Niedawno odwiedził mnie w Ałma Acie przedstawiciel jednej z czołowych polskich uczelni publicznych i powiedział, że jego placówka od 2004 r. otrzymała łącznie ponad 3,5 mld zł dofinansowania. I co? I nic! Spada w rankingach międzynarodowych.

Najlepsze polskie uczelnie są daleko za najlepszymi uczelniami Kazachstanu

Gdyby którakolwiek z czołowych uczelni prywatnych w Polsce dostała w ciągu dekady 3,5 mld zł, dzisiaj byłaby najlepsza w Polsce i wśród liderów na świecie.

Kiedy byłem rektorem w Polsce, odbyło się spotkanie na wysokim szczeblu, na którym przedstawiałem, w jaki sposób proces przejęć i fuzji na rynku prywatnego szkolnictwa wyższego sprzyja budowaniu jakości i dodatkowo generuje spore dochody – bez ingerencji i finansowania sektora publicznego. Rektorzy uczelni publicznych z kolei postulowali, że aby uczelnie publiczne zaczęły się łączyć, potrzebne jest dodatkowe finansowanie na odpowiednie motywacje. Czyli w prywatnym szkolnictwie wyższym procesy restrukturyzacji służą większej efektywności, w publicznym mają – zdaniem owych rektorów – prowadzić do jeszcze większego marnotrawstwa. Od lat toczy się jałowa dyskusja o etosie uniwersytetu. A potem absolwent z etosowym dyplomem świetnie sobie radzi jako kelner.

Bez przerwy słyszę postulat: uczelnie publiczne mają za mało pieniędzy, dajcie więcej i wtedy będą efekty. Już dekadę temu publicznie proponowałem zmniejszyć finansowanie uczelni o połowę, poczekać trzy lata i tym, które się ostaną, podwoić je. Taka kuracja pozwoli na głęboką reformę tego przegniłego od lat systemu.

Oczywiście nie można uogólniać. Na wielu uczelniach, publicznych i prywatnych, są wspaniałe zespoły badawcze, wybitni dydaktycy, którzy liczą się w świecie. Jest ich jednak niewielu jak na potencjał i potrzeby Polski. Czas to zmienić. ©℗

Autor jest rektorem Narxoz University w Ałma Acie w Kazachstanie.

eprasa.pl c4240ca7a8

TYGODNIK POLSKIEGO DO RZECZY

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY” + KSIĄŻKA PIOTRA GOĆKA „KRETA SUBIEKTYWNIE”

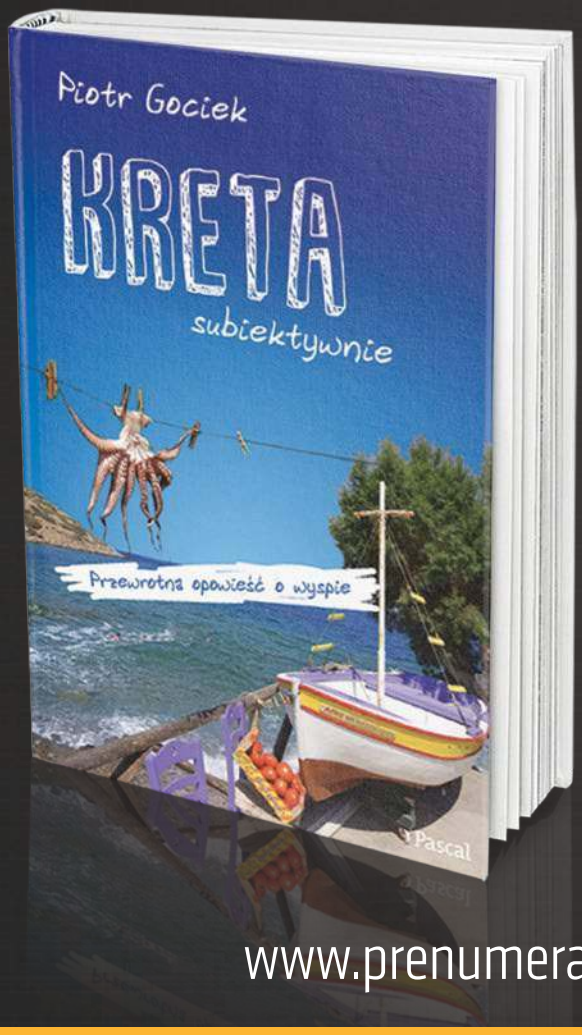

Kreta subiektywnie – czyli wesołe zapiski dyletanta. Przewrotna opowieść o wyspie, na której im więcej zobaczysz, tym więcej pozostaje do odkrycia.

- Co można robić nad zatoką, przy której tańczył Grek Zorba?
- Dlaczego król Grecji musiał nocować w wąwozie Samaria?
- Czego absolutnie nie należy mówić Kreteńczykom?
- Czy Knossos to archeologiczny Disneyland?
- Jak trafić na urodziny Giorgiosa i pozostać trzeźwym?
- Co polscy żołnierze w służbie rosyjskiego cara robili na Krecie?
- Które miasto wyspy było dumą Rzymu i dlaczego nic o tym nie wiecie?
- Dlaczego autor spacerował po Rethymnonie w górze od pidżamy, żółtych szortach i z fuksjową parasolką?

138 zł

oszczędność 81 zł

www.prenumerata.dorzeczy.pl

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:
E-MAIL: **prenumerata@point-group.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **www.prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl c4240ca7a8

Skrzydła władzy

Jacek Przybylski

Polska ma już pierwszy z nowych samolotów do przewozu najważniejszych osób w państwie. Podobnymi maszynami podróżują prezydent USA oraz władcy Szwecji i Kuwejtu. Jak latają najważniejsi prezydenci i książęta?

Książę Józef Poniatowski. Taki napis i portret wymalowany jest przy dziobie pierwszego z dwóch małych samolotów do przewozu najważniejszych osób w państwie, który w środę wylądował na warszawskim Okęciu. Wyprodukowany przez amerykańską firmę General Dynamics Gulfstream G550 w biało-czerwonych barwach może zabrać na pokład 14 pasażerów. Dzięki maksymalnemu zasięgowi, który wynosi 12,5 tys. km, samolot potrafi bez międzylądowania przelecieć z Warszawy aż do Los Angeles lub Tokio. Samolot napędzają dwa wydajne silniki odrzutowe marki Rolls-Royce serii BR700. Każdy z nich waży ok. 1,8 t, ma ponad 4,5 m długości oraz niemal 2 m średnicy i zużywa mniej więcej tonę paliwa na godzinę lotu.

Nowy samolot jest nie tylko luksusowy, lecz także bezpieczny. Jest wyposażony m.in. w system identyfikacji „swój-obcy", a także w nowoczesny system Enhanced Visual System, który umożliwia wykonywanie lotu przy słabej widoczności. Umieszczona z przodu samolotu kamera termowizyjna ułatwia pilotom wykonywanie lotów we mgle, w nocy lub np. podczas silnych opadów. Nawet w trudnych warunkach mogą bowiem zobaczyć zarys terenu. Specjalne systemy łączności pozwalają z kolei na prowadzenie zaszyfrowanych rozmów.

Za dwie maszyny Gulfstream G550 – następny samolot, który ma przylecieć w lipcu, będzie nosić imię gen. Kazimierza Pułaskiego – Ministerstwo Obrony Narodowej zapłaciło ponad 440 mln zł netto. Polskie VIP-y, które na tę umowę czekały ponad dwie dekady, nowymi maszynami mają zacząć latać jesienią. Jesienią również najważniejsze osoby w państwie otrzymają większy samolot. Używany boeing 737-800, który może zabrać na pokład 132 pasażerów, będzie nosił nazwisko marszałka Piłsudskiego. Dwie kolejne maszyny tego typu, ale już zupełnie nowe, mają przylecieć do Warszawy do roku 2020. Wersja z salonką będzie mogła zabrać w transatlantycką podróż 66 osób, a bez salonki 130 pasażerów. Samoloty otrzymają nazwy: Ignacy Paderewski i Roman Dmowski.

Około 200 samolotów Gulfstream przewozi członków 35 rządów na całym świecie. Wprowadzony do sprzedaży w 2004 r. model G550 to sprawdzona maszyna – latają nią VIP-y z 12 krajów, m.in. władze Szwecji, Turcji, Arabii Saudyjskiej, Azerbejdżanu, Kuwejtu, Maroka i Stanów Zjednoczonych. Samoloty Gulfstream kupiły też takie gwiazdy jak aktor John Travolta i golfista Tiger Woods.

TRUMP FORCE ONE

Jeszcze zanim Donald Trump został 45. prezydentem Stanów Zjednoczonych,

eprasa.pl c4240ca7a8

Książę Józef Poniatowski, czyli pierwszy należący do Polski samolot Gulfstream G550 FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

FOT. RAFAŁ OLEŚIEWICZ/REPORTER

miał już do dyspozycji własny samolot. Należący do miliardera boeing 757, nazywany Trump Force One, jest wart niemal 100 mln dol. i jest wyjątkowo luksusowo urządzony. Maszyna, która oryginalnie mogła zabrać na pokład 239 pasażerów, po dostosowaniu jej do potrzeb miliardera ma obecnie 43 miejsca, a także m.in. marmurową łazienkę z elementami pokrytymi 24-karatowym złotem, sypialnię z szerokim łóżkiem i olbrzymim telewizorem, dużą jadalnię, kuchnię, pokój gościnny i salon z 57-calowym telewizorem.

Do służbowego Air Force One – jednego z dwóch specjalnie zmodyfikowanych boeingów 747, czyli słynnych jumbo jetów – nowy amerykański prezydent przesiadał się więc dość niechętnie. Ostatecznie zdecydował się na tę podniebną przeprowadzkę ze względów bezpieczeństwa. Charakterystyczny „odrzutowy słoń", nazywany też latającym Białym Domem, to bowiem w porównaniu z typowym samolotem pasażerskim prawdziwa latająca twierdza. Samolot ma pancerne okna, opancerzoną powłokę, systemy służące do wprowadzania w błąd radarów wroga, a także wyrzutnie flar, które mają za zadanie zmylić zmierzające ku prezydenckiemu samolotowi pociski dysponujące systemem naprowadzania. Jest też wyposażony w zabezpieczenia chroniące przed impulsami elektromagnetycznymi powstającymi podczas wybuchu jądrowego. Z pokładu Air Force One prezydent może też bezpiecznie zarządzać krajem w sytuacji zagrożenia, w tym np. podejmować decyzje dotyczące amerykańskiego arsenału jądrowego i łączyć się bezpośrednio z dowódcami wszystkich rodzajów sił zbrojnych. W razie potrzeby samolot ten można tankować w powietrzu.

I chociaż złoceń jest tu mniej niż w prywatnym samolocie Donalda Trumpa, to pasażerowie też nie mają powodu do narzekań. Poza prezydenckim gabinetem i centrum dowodzenia na pokładzie znajdują się również m.in. siłownia, kuchnia, a także sala operacyjna przystosowana do prowadzenia nawet skomplikowanych zabiegów.

W amerykańskich hangarach stoją dwie takie same maszyny, które w zależności od tego, czy na pokładzie podróżuje prezydent czy wiceprezydent, nazywane są Air Force One lub Air Force Two. Jeden z najsłynniejszych samolotów świata już 5 lipca ma wylądować w Warszawie. Na jego pokładzie do stolicy Polski na szczyt państw Trójmorza przylecą Donald Trump oraz pierwsza dama Melania.

Niemcy do przewozu najważniejszych osób w państwie używają m.in. dwóch zmodyfikowanych długodystansowych odrzutowców Airbus A340 oraz mniejszych challengerów 601 kanadyjskiego bombardiera. Większe maszyny mogą zabrać na pokład 140 pasażerów (pierwszy samolot nosi nazwę Konrad Adenauer, a drugi Theodor Heuss). Kanclerz Angela Merkel na ich pokładzie ma do dyspozycji m.in. gabinet do pracy, salę konferencyjną dla 12 osób, pokój z łóżkiem, a także łazienkę z prysznicem. Duży zasięg Airbusa A340, który wynosi aż 13,5 tys. km, pozwala szefowej niemieckiego rządu na podróż bez międzylądowania z Berlina do Pekinu lub do Rio de Janeiro. Obie maszyny są również wyposażone w specjalne systemy obrony przeciwrakietowej. Na pokładzie

eprasa.pl c4240ca7a8

mają także specjalną salę medyczną, przystosowaną do udzielania pomocy czterem rannym lub ciężko chorym osobom jednocześnie.

PODNIEBNE PAŁACE

W wyjątkowo luksusowych warunkach lata po świecie prezydent Rosji. Samolot Władimira Putina to ił-96-300PU Rossija. Wnętrza maszyny zostały urządzone z iście carskim przepychem: złote są więc nie tylko krany, umywalki i elementy kabiny prysznicowej (m.in. prowadnice drzwi kabiny), lecz także klamki, herby czy masywne nogi od dużego stołu w samolotowej sali konferencyjnej. Rosjanie chwalą się, iż w samolocie jest tyle złota, że aby unieść je w powietrze, trzeba było zainstalować specjalnie wzmocnione silniki. „Latający Kreml", który kosztował ponoć ok. 300 mln dol., może pokonać bez międzylądowania trasę z Rosji do Stanów Zjednoczonych. Na pokładzie oprócz olbrzymiej prezydenckiej sypialni, a także kilku saloników, znajdują się również siłownia, kuchnia oraz świetnie wyposażony gabinet lekarski.

Pełne przepychu są również wnętrza boeinga 747-430 należącego do sułtana Brunei Hassanala Bolkiaha. Pokład wartej ponad 200 mln dol. maszyny lśni złotymi i kryształowymi ozdobami. Blask luksusowego samolotu sułtana blaknie jednak, gdy zestawi się go z wyłożonym marmurami i wypełnionym złotem podniebnym pałacem saudyjskiego księcia. Al-Walid ibn Talal ibn Abd al-Aziz Al Su'ud w wartym 1,5 mld dol. potężnym airbusie A380 ma m.in. do dyspozycji salę koncertową, jadalnię na 14 osób z pozłacanym stołem, pięć królewskich sypialni z łazienkami, łaźnię turecką oraz 20 mniejszych sypialni dla gości. Na trzypoziomowym pokładzie znalazło się też miejsce postojowe dla książęcego rolls-royce'a. Są też m.in. salon z pozłacanym tronem, a także pokój do modlitwy, w którym komputer tak steruje dywanikami, aby modlący się zawsze był zwrócony twarzą w kierunku Mekki. Po wylądowaniu z samolotu automatycznie wysuwa się zaś czerwony dywan. I chociaż A380 robi kolosalne wrażenie, to nazywany „Arabskim Warrenem Buffettem" 62-letni książę – którego majątek szacuje się na ok. 19 mld dol. – ma w swoich hangarach do dyspozycji całą flotę mniejszych luksusowych maszyn, której zachodni prezydenci i premierzy mogą mu tylko pozazdrościć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Donald Trump już za kilka dni przyleci do Polski na pokładzie słynnego Air Force One

FOT. WIKIWAND, MATERIAŁY PRASOWE

Wnętrza „Latającego Kremla" są urządzone niczym carskie komnaty

FOT. WIKIWAND, MATERIAŁY PRASOWE

Podniebny pałac saudyjskiego księcia jest wart pół miliarda dolarów FOT. GETTY IMAGES

eprasa.pl c4240ca7a8

TEST „DO RZECZY": ROBOT GOTUJĄCY KOHERSEN MYCOOK

Jetsonowie – jeden z najbardziej znanych amerykańskich seriali animowanych, dobrze pamiętany zwłaszcza przez urodzonych jeszcze w XX w. – pokazywał, jakie gadżety mogą powstać w odległej przyszłości. I chociaż z założenia akcja toczyła się w 2062 r., to już dziś wiele sprzętów może ułatwiać życie niczym Rosie, słynny robot gosposia. Testowany robot co prawda nie potrafi sprzątać ani robić prania, ale za to zamiast podgrzewać jedzenie w mikrofalówce, może niemal samodzielnie przygotować wiele różnych produktów: od pieczywa poprzez masło, powidła i majonez do różnego rodzaju zup, karkówki w sosie myśliwskim, pstrąga na parze czy budyniu czekoladowego.

Robot Kohersen to urządzenie typu „wszystko w jednym": zastępuje więc m.in. płytę indukcyjną, czajnik elektryczny, garnek do gotowania na parze, mikser, maszynkę do mielenia, malakser, blender oraz kuchenną wagę. Wbrew pozorom solidnie wyglądający robot nie zajmuje połowy kuchennego blatu. Misa wykonana jest ze stali nierdzewnej, która jest odporna na przypalanie i nie przesiąka zapachami gotowanych potraw.

Robota docenią zwłaszcza te osoby, które chciałyby zdrowo jeść, ale same nie mają czasu na gotowanie ani chęci spędzania przy garach połowy wolnego dnia. Zmielenie twarogu na sernik zajmuje półtorej minuty, przygotowanie domowego masła 3 min, a zupy kremu z papryki ok. 10 min. Co więcej, nawet jeśli coś musi gotować się dłużej, to w trakcie pichcenia można zająć się czymś innym – potrawa nie wymaga bowiem systematycznego doglądania, mieszania etc.

Robot gotujący to również świetny gadżet dla tych, którym nie zawsze dobrze wychodzą autorskie eksperymenty kulinarne. Niestety, początkowo urządzenie wydaje się mało intuicyjne. Na szczęście po zrobieniu kilku prostszych potraw łatwo jest przejść do bardziej skomplikowanych bez obawy przed różnymi pokrętłami i przyciskami.

Pomocna w pokonaniu strachu przed robotem jest dołączona w zestawie ładnie wydana książka kucharska, napisana na tyle prosto, że z gotowaniem powinny sobie poradzić nawet te osoby, których umiejętności kulinarne zatrzymały się na parzeniu herbaty. Po prostu wrzucamy do misy kolejne składniki i postępujemy krok po kroku według wskazówek.

Zaletą robota jest również to, że smak dań zrobionych za jego pomocą jest przewidywalny i powtarzalny. Jeżeli więc lubimy barszcz ukraiński, to za każdym razem będzie smakował tak samo. Jeśli zaś nasza ukochana uwielbia np. jarzyny w sosie beszamelowym, to możemy mieć pewność, że gdy zaprosimy ją na piątkową randkę, nie będzie ryzyka kulinarnej wpadki.

Kolejnym plusem jest możliwość zmniejszenia bałaganu w kuchni. Gotując przykładowo zupę, zarówno mielenie składników, jak i późniejsze gotowanie odbywa się w jednym naczyniu. Również sama waga zamontowana jest w środku urządzenia. Czyszczenie samego robota również nie sprawia większych kłopotów.

Największą wadą urządzenia jest jego cena, która wynosi aż 3499 zł. ©℗

Jacek Przybylski

INTELIGENTNY OGRODNICZEK

Lubią państwo grillować w ogrodzie lub na działce? Jasne! Kto nie lubi? Zimne piwo, grillowana kaszanka lub karkówka, dobra muzyka, różne okoliczności przyrody typu komary, biedronki... Żeby jednak było bardziej imprezowo, ogródek trzeba skosić, przyciąć – i tu już zaczynają się schody, bo trzeba się jednak trochę namęczyć. Chociaż producenci robotów roomba przekonują, że niekoniecznie. Pracują już nad stworzeniem inteligentnego minirobota, który sam skosi trawę w ogródku. Nazywa się Tertill i jest solarnym ogrodnikiem domowym (można go już zamówić na Kickstarter.com). Działa podobnie jak domowe inteligentne odkurzacze. Naszpikowany jest czujnikami, które oceniają stan ziemi, upraw, monitorują poziom zachwaszczenia. Owo małe ufo jeździ sobie po ogródku i gdy uzna, że potrzeba korekty, zaczyna automatyczne pielenie. Chwastów nie wyrywa z korzeniami, lecz jedynie przycina je przy samej ziemi. Za równowartość ok. 1 tys. zł – bo tyle trzeba wpłacić, by po roku odebrać Tertilla (takie są daty dostaw) – zyskamy pewien komfort: spokój ducha przy grillowaniu. Z pewnym zastrzeżeniem – błogą ciszę może przerwać niewieści ryk pytający groźnie o to, kto eksterminował pelargonie, fiołki alpejskie czy inne niejadalne świństwo.

MANTA W NATARCIU

Producent, którego nazwa jest wyznacznikiem pewnej, całkiem niezłej, jakości, wypuścił na rynek kolejną sportową kamerkę: Manta MM9359 Steadycam Active z dobrej klasy stabilizatorem obrazu. Obiektyw kamery „może widzieć" pod kątem 170 stopni, a sensor Sony umożliwia nagrywanie w rozdzielczości 16 Mpix. Niestety, wymienna bateria do zbyt silnych już nie należy (1050 mAh). Producent przekonuje, że do urządzenia można dokupić specjalną wodoszczelną obudowę pozwalającą na rejestrowanie swoich wyczynów w wodzie nawet na głębokości do 40 m. Ważąca nieco ponad 50 g kamerka kosztuje ok. 450 zł. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl c4240ca7a8

Katarzyna Pinkosz

Leki biologiczne zamiast skalpela

Te choroby nie goszczą na pierwszych stronach gazet. Łatwiej czytać o zawale serca, cukrzycy czy raku niż o krwistej biegunce i kilkunastu wizytach dziennie w toalecie. Nawet jeśli dotyczy to osób, które mają 20–30 lat

Gdy J.R.R. wchodzi na scenę, choroba przestaje istnieć, jakby nigdy jej nie było. Ma 23 lata i niedługo kończy studia. Od dzieciństwa miewał bóle żołądka, ale nie były specjalnie dokuczliwe. Prawdziwe problemy zaczęły się, kiedy po 18. urodzinach miał lecieć na wymarzoną wyprawę do Afryki i musiał zaszczepić się przeciw kilku chorobom tropikalnym. Po powrocie zaczęły się silne biegunki. Po wykluczeniu wszelkich chorób „przywleczonych" z Afryki lekarze podejrzewali nadwrażliwość jelita grubego. Leczenie jednak nie pomagało, biegunki nasilały się, nie można było już ich opanować. J.R.-R. zaczął chudnąć. Trzy lata temu lekarze postawili diagnozę: wrzodziejące zapalenie jelita grubego (WZJG).

CHOROBY CYWILIZACJI

WZJG wraz z chorobą Leśniowskiego-Crohna zaliczane są do tzw. nieswoistych zapaleń jelit. To choroby z tzw. autoagresji: organizm wytwarza przeciwciała przeciw własnym tkankom, w wyniku czego w przewodzie pokarmowym toczy się nieustanny proces zapalny. W przypadku WZJG obejmuje on tylko jelito grube, w przypadku Leśniowskiego-Crohna może toczyć się w każdym odcinku przewodu pokarmowego – od jamy ustnej do odbytu. Pojawiają się bóle brzucha, biegunki, często z dodatkiem krwi, stany podgorączkowe lub gorączka, chudnięcie. Mogą też występować objawy pozajelitowe, np. zapalenie przedniego odcinka oka, zmiany skórne, bóle i obrzęki stawów. Przyczyny nie są znane – najprawdopodobniej to splot predyspozycji genetycznych, czynników środowiskowych, być może także infekcji przewodu pokarmowego.

Liczba osób z nieswoistymi zapaleniami jelit w całym rozwiniętym świecie

FOT. FOTOLIA

eprasa.pl c4240ca7a8

gwałtownie rośnie, dlatego są one uważane za choroby cywilizacji. W Polsce choruje już kilkadziesiąt tysięcy osób i jest pewne, że ta liczba będzie rosła. Choroby atakują głównie ludzi młodych. – Można zachorować w każdym okresie życia, jednak zwykle choroba zaczyna się między 20. a 40. rokiem życia. 70 proc. osób w momencie diagnozy ma mniej niż 35 lat – mówi prof. Grażyna Rydzewska, kierownik Kliniki Chorób Wewnętrznych i Gastroenterologii Centralnego Szpitala Klinicznego MSWiA w Warszawie.

Obecnie żadne leki nie są w stanie wyleczyć ani WZJG, ani choroby Leśniowskiego-Crohna, jednak dzięki zastosowaniu właściwych linii terapii można starać się doprowadzić nawet do wieloletniego ustąpienia objawów.

SZANSA W LEKACH BIOLOGICZNYCH

J.R.R. przez pół roku dostawał sterydy, ale po ich odstawieniu już po czterech miesiącach silne bóle brzucha i biegunki wróciły. Miał 11–12 wypróżnień dziennie, często z krwią. Chudł – ważył 68 kg przy wzroście 194 cm. Gdy pierwszy raz trafił do szpitala na SOR, wyniki badań krwi były jeszcze na tyle dobre, że lekarze po zwiększeniu dawki sterydów wypuścili go do domu. Jednak było coraz gorzej. – Byłem 16–17 razy dziennie w toalecie, leciała już tylko krew, a ja dalej miałem parcie – opowiada J.R.R. Znów trafił do szpitala. Zwiększenie dawki sterydów pomagało na krótko, inne leki też nie działały. Ostatnią szansą była terapia biologiczna.

W leczeniu nieswoistych zapaleń jelit wprowadzenie leków biologicznych było przełomem porównywalnym z antybiotykami w leczeniu chorób bakteryjnych. J.R.R. udało się zakwalifikować do leczenia biologicznego, jednak pierwsza terapia nie podziałała. Obecnie jest na drugiej – na razie jest skuteczna, dlatego może przygotowywać się do obrony dyplomu na studiach i szukać pracy. Ma jednak nadzieję, że jeśli doszłoby u niego do wznowy choroby, to będzie miał szansę dostać nowe leki, które wchodzą na rynek i mają dobre wyniki.

Leczenie biologiczne nieswoistych zapaleń jelit w Polsce przez wiele lat odbiegało od europejskich standardów. Nadal jest gorsze nawet niż na Węgrzech, w Czechach czy w Rumunii, choć dzięki decyzjom Ministerstwa Zdrowia od stycznia 2017 r. leki starszej generacji są i tak bardziej dostępne niż wcześniej. Lekarze chcieliby jednak mieć możliwość ich stosowania u chorych tak długo, jak są skuteczne (obecnie obowiązują ramy czasowe – jeden z leków można stosować najwyżej rok, drugi – dwa lata). Chcieliby też mieć możliwość podawania chorym terapii biologicznych nowej generacji.

– Obecnie możemy stosować tylko tzw. leki anty-TNF-alfa (adalimumab i infliksimab). Nie wszyscy chorzy na nie reagują. Poza tym już w badaniach klinicznych okazało się, że po 52 tygodniach połowa pacjentów, którzy początkowo odpowiadali na leczenie, przestaje na nie reagować. Dla tych chorych musi być alternatywa – mówi prof. Rydzewska.

Taką alternatywą są nowe leki biologiczne, tzw. antyintegrynowe, jak vedolizumab. – Jest bardzo dobrze tolerowany i bezpieczny, ponieważ działa wyłącznie w jelicie. Nie powoduje ogólnych działań niepożądanych. Może być skuteczny u osób, którym nie pomagają leki biologiczne pierwszej generacji – dodaje prof. Rydzewska. W Polsce ten lek jest nierefundowany. – Chorzy jeżdżą po całym kraju, by dostać się do badań klinicznych, bo są dla nich szansą. Część osób wyjeżdża za granicę na studia tylko po to, by dostać leczenie w Polsce nierefundowane – dodaje dr Małgorzata Mossakowska, założycielka Polskiego Towarzystwa Wspierania Osób z Nieswoistymi Zapaleniami Jelita „J-elita".

Nowe leki biologiczne, tzw. antyintegrynowe, są bardzo dobrze tolerowane i bezpieczne, ponieważ działają wyłącznie w jelicie

W RĘCE CHIRURGA?

Brak odpowiedniego leczenia skutkuje poważnymi powikłaniami w przewodzie pokarmowym. – Odczyn zapalny powoduje, że w jelitach pojawiają się ropnie, owrzodzenia, dochodzi do zwężenia jelita albo może w nim zrobić się dziura (dochodzi do perforacji). Chorzy najczęściej trafiają do nas z wielkim guzem zapalnym w brzuchu. Staramy się odtworzyć ciągłość przewodu pokarmowego, a jeśli to się nie udaje, to konieczne jest wyłonienie stomii (sztucznego odbytu) – opowiada prof. Wiesław Tarnowski, kierownik Kliniki Chirurgii Ogólnej, Onkologicznej i Przewodu Pokarmowego w Samodzielnym Publicznym Szpitalu Klinicznym im. Witolda Orłowskiego w Warszawie.

Chorzy, którzy trafiają do jego kliniki, często są tak wyniszczeni, że muszą wiele tygodni być przygotowywani do operacji poprzez podawanie leków czy żywienie pozajelitowe. Operacje są skomplikowane, tylko kilka klinik w Polsce się ich podejmuje.

– To młodzi ludzie, mają 20–30 lat, chcą pracować, mieć rodzinę, dzieci. Wielu z nich nie trafiłoby na nasz oddział, gdyby byli optymalnie leczeni – nie ma wątpliwości prof. Tarnowski. Oburza go szczególnie fakt, że efekty skomplikowanych operacji często są marnowane, gdyż wielu chorych nie dostaje potem podtrzymującego leczenia biologicznego. – 30–50 proc. osób, które nie dostaną leczenia biologicznego, w ciągu 10 lat będzie musiało mieć powtórną operację, a 70–80 proc. osób w ciągu 20 lat. A przecież i dla pacjenta, i dla chirurga powtórna operacja jest znacznie trudniejsza – dodaje prof. Tarnowski.

Brak optymalnego leczenia to też straty dla budżetu. Z raportu przygotowanego przez Uczelnię Łazarskiego wynika, że co roku ZUS wydaje ponad 56 mln zł na renty, zasiłki chorobowe osób z nieswoistymi zapaleniami jelit. – 2,5 tys. osób z nieswoistymi zapaleniami jelit w wieku produkcyjnym jest na rentach. Czy naprawdę stać nas na nieleczenie tych chorób? – oburza się dr Małgorzata Gałązka-Sobotka, dyrektor Instytutu Zarządzania w Ochronie Zdrowia.

J.R.R. obawia się, że ujawnienie nazwiska mogłoby utrudnić mu znalezienie po studiach pracy. Bo jak to: artysta i taka „toaletowa" choroba? Stara się normalnie żyć. – Mam wsparcie stowarzyszenia „J-elita", a wokół kochające osoby – mamę, dziewczynę. Lepiej się żyje, gdy ktoś bierze na siebie taką chorobę wraz z tobą. Wierzę też, że jeśli lek, który teraz biorę, przestanie działać, to będzie jeszcze dla mnie kolejna opcja – dodaje z nadzieją.

Gdy wychodzi na scenę, nie ma już choroby. Liczy się tylko rola, którą ma zagrać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c4240ca7a8

JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Kresowy sposób na upały

Nie ma nic lepszego na letni gorąc niż litewskie chłodniki, o których wspominają praktycznie wszystkie książki kucharskie z XIX w., łącznie z „Kucharzem wielkopolskim" z 1892 r. Opisywane szeroko w literaturze, łącznie z „Panem Tadeuszem", doczekały się kilkunastu przepisów – zarówno w wersjach z owocami, jak i mięsnych, a nawet rybnych oraz rakowych. Lucyna Ćwierczakiewiczowa radzi np. przygotowywać je z zakwasu z żytniego (białego) barszczu albo kwasu przyrządzonego ze szczawiu. Wszystko zaczyna się od tego, że bierzemy garść kopru z solą, młodej botwiny, krajemy to drobno i gotujemy w wodzie. Osobno zaś odlewamy zakwas, podgotowujemy go, mieszamy z częścią przegotowanej botwiny, ze szczypiorkiem, z kwaśną śmietaną i wynosimy do piwniczki, aby zupa się ochłodziła. Później zaś dodajemy – w zależności od tego, na co mamy smak – albo kilka jajec ugotowanych na twardo i pokrojonych w ćwiartki, albo pół kopy (30 sztuk) nóżek i szyjek rakowych, ewentualnie kawałki jesiotra czy też podgotowanej cielęciny pokrajanej w drobne plasterki. Ćwierczakiewiczowa radzi też po przygotowaniu wylewać chłodnik na kilka kawałków lodu – aby dłużej pozostawał zimny.

Inne kresowe chłodniki przygotowujemy na słodko. Na przykład z wiśni. Bierzemy zatem trzy kwarty (oczywiście „Kucharka litewska" nie podaje, czy chodzi o jednostkę objętości – ok. 1 litra – czy wagi, ale zapewne o tę pierwszą). Obieramy wiśnie z ogonków, tłuczemy w moździerzu razem z pestkami, wsypujemy trochę cynamonu, kilka utłuczonych goździków i zostawiamy to wszystko na kilka godzin w glinianym naczyniu, aby się przeżarło. Następnie wyciskamy sok przez serwetkę, zaprawiamy 1,5 funta cukru, a więc ok. 0,4 kg, wlewamy pół litra czerwonego wina oraz trochę przegotowanej wody. Następnie studzimy wszystko i podajemy z biszkoptami.

Całkiem podobny jest chłodnik z czernic, czyli – mówiąc słownictwem Polski centralnej – jeżyn. Garniec tych owoców rozcieramy w – uwaga, uwaga! – makotrze. A jest to po prostu zwykła duża donica. Następnie wyciskamy czernice przez serwetę lub gęste sito i odstawiamy na kilka godzin, aby na dnie zostały tzw. męty. Później zlewamy sok z wierzchu, zaprawiamy ok. 100 g cukru, szklanką czerwonego wina, kwartą kwaśnej śmietany (tu chodzi chyba raczej o kwartę wagi, a więc dużą łyżkę, ale można spróbować dodać jej pół litra). Po schłodzeniu podajemy ze słodkimi sucharkami.

Chłodniki nie są specjalnością tylko polskiej kuchni. Andaluzyjska zna np. gazpacho z warzyw, które można urozmaicić, dorzucając do woli oliwek, jajek, szynki, orzechów albo startego chleba. Francuzi przygotowują z kolei vichyssoise z porów, cebuli, kartofli i czasem utartego mięsa z kurczaka. Rosyjska specjalność to okroszka – zabielana śmietaną zupa z żółtek, musztardy, ogórków, cielęciny i szynki. Jak jednak przyrządzano ów litewski chłodnik, wspomniany choćby przez Mickiewicza? Poniżej podaję dwa przepisy. ©℗

FOT. FOTOLIA

Chłodnik litewski

Kroimy garść kopru i mieszamy z solą, gotujemy siekany szczaw, botwinę albo pokrojone buraki. Studzimy, dolewamy rosołu i pół garnca śmietany (ok. dwa litry lub tak, by zupa się zabieliła). Mieszamy wszystko razem z koprem i próbujemy – jeśli zupa jest za gęsta lub za kwaśna, to dodajemy rosołu. A jeśli jeszcze nie wykrzywia gęby – to śmietany. Całość musi być „biała i zawiesista". Podajemy schłodzoną mieszaninę, z kawałkami lodu, dorzucamy kilka ugotowanych na twardo jajek pokrajanych na cztery części, wkładamy kawałki ugotowanej ryby bez ości, ewentualnie duszonej cielęciny.

Wielkopolski chłodnik z ogórków

Gotujemy trochę pokrajanej w paski botwiny. Zlewamy litr wody z kiszonych ogórków. Gotujemy, a następnie studzimy. Całość mieszamy z pół litrem kwaśnej śmietany, ćwikłą i kilkoma garściami krojonych w cienkie plastry, surowych ogórków. Sieczemy trochę kopru, bierzemy kilka jajek na twardo i kroimy na cząstki. Wszystko to dodajemy do zupy, chłodzimy ją w lodówce albo obkładamy garnek lodem, aby podać na zimno.

eprasa.pl c4240ca7a8

KRZYSZTOF RUTKOWSKI O POLICJANTACH, CO NA KIEŁBASĘ CZEKALI

W swojej karierze prowadziłem wiele spraw, pamiętam jeden przypadek ze świata policjantów, przestępców i... wędliniarzy. W jednym z polskich miast właściciel masarni każdego dnia rano, rozpoczynając rozwożenie wędlin, zatrzymywał się przy policyjnym patrolu i dawał policjantom na śniadanie kilka pęt kiełbasy, które trafiały na komendę do oficera dyżurnego, i wszyscy pracownicy mogli się częstować. Jednak pewnego razu samochód z masarni przejechał koło patrolu i nie zatrzymał się. Policjanci machnęli tylko ręką do kierowcy „cześć", ten odmachnął, ale kiełbasy nie zostawił. Przekazali tę smutną dla nich informację oficerowi dyżurnemu, a po chwili na komendę wbiegł zziajany właściciel masarni, krzycząc, że ukradziono mu samochód.

Zestaw z młodą kapustą

Abstrahując od złodziei, policjantów i wędlin – o tej porze roku chętnie jadam i każdemu polecam młodą kapustę. Najlepiej z zestawem z młodymi ziemniaczkami gotowanymi w wodzie i posypanymi koperkiem oraz z panierowanym kotletem schabowym. Kapustę szatkuję, wrzucam do garnka z wodą, doprawiam cukrem i odrobiną octu i gotuję, aż będzie miękka. Do tego przygotowuję zasmażkę z łopatki lub innego mięsa niezbyt chudego, by dało dobry smak. Mięso kroimy w kostkę, podsmażamy na maśle na skwarki, można też dodać nieco mąki. Zasmażkę dodajemy do kapusty. Smakuje wybornie we wspomnianym zestawie z młodymi ziemniakami i panierowanym schabowym. ©℗

oprac. raw

Krzysztof Rutkowski jest przedsiębiorcą, był detektywem i posłem na Sejm.

FOT. JUSTYNA ROJEK/EAST NEWS

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Gotuj (szybko) i jedz

Mnogość książek kucharskich i wszechobecność tematyki jedzeniowej w mediach nie rozwiązuje podstawowego problemu codzienności: co jutro zrobić na obiad. Do problemu podchodziło już wielu autorów, wśród nich mój ulubiony Jamie Oliver w swoich półgodzinnych seansach nad fajerką. Wiadomo, że czas, jaki spędzamy w kuchni, jest dzisiaj jednym z podstawowych kryteriów przydatności porad: im szybciej można coś ugotować, tym lepiej.

Teraz mamy kolejne podejście do tematu. „Jedz. Mała księga szybkich dań" Nigela Slatera. Gruby tom w miękkiej oprawie, 600 przepisów, zwięzłych, poprzedzonych listą produktów plus miejsce na notatki. „Bywa, że mamy najwyżej godzinę, by coś ugotować – pisze autor. – Chcemy zjeść coś pysznego po dniu wypełnionym obowiązkami. Oczywiście możemy zamówić pizzę albo jakiś orientalny specjał na wynos. Po drodze z pracy możemy wpaść do wietnamskiej knajpy lub porwać ze sklepowej półki smakołyk do odgrzania w mikrofalówce. Sam lubię od czasu do czasu zjeść coś takiego, ale wiem, że zyskam, jeśli zrobię coś więcej oprócz otwarcia tekturowego pudełka. Właśnie dlatego napisałem tę książkę [...]. To zbiór przepisów na posiłki, które pojawią się na stole w niecałą godzinę".

Przepisy są fajne, czas gotowania obliczony w miarę dokładnie. Nie ma długiego pichcenia.

NIGEL SLATER
„JEDZ. MAŁA KSIĘGA SZYBKICH DAŃ"
FILO 2017

Moją wątpliwość budzi tylko przydatność tych przepisów w polskich warunkach. Chodzi o dostępność składników. Wiele z nich jest nieznanych. Poszukiwanie ich w sklepach zajęłoby prawdopodobnie dużo więcej niż godzinę, o ile w ogóle udałoby się je zdobyć... Coraz więcej składników sezonowych można dostać przez cały rok, ale konia z rzędem temu, kto znajdzie pasternak czy pancettę w spożywczaku po drodze z pracy. A mieszkam przecież w Warszawie, w małym mieście będzie z tym jeszcze gorzej.

Muszę jednak autorowi przyznać, że daje również sporo przepisów prostych i przydatnych. Risotto z kurczakiem – świetny przepis. Kto robił risotto, ten wie, że osiągnąć prawdziwie włoską, gęstą i kremową konsystencję to sztuka wcale nie tak łatwa. Ziemniaki w przyprawach ze szpinakiem – nowatorskie podejście do dobrze znanych smaków. Pikantna frittata z warzyw korzeniowych – nietrudna i szybka zimowa wariacja na temat omletu. Przepisy Slatera uświadamiają, jak szczypta przypraw może zmienić smak znanych składników, i wyjaśniają, jakie powinniśmy koniecznie mieć w kuchni.

A na dodatek książka ma przyjemny, nie za duży format oraz zakładkę-tasiemkę, co bardzo się przydaje. ©℗

eprasa 40ca7a8

NASZ TEST: SKODA SUPERB 2.0 TSI (280 KM)

Kuszący czerwony lakier, dynamicznie zarysowana sylwetka i biksenonowe reflektory sprawiają, że flagowy model czeskiego producenta przyciąga uwagę. Podrasowana Skoda Superb to dowód na to, że można stworzyć rodzinny samochód, który jest jednocześnie szybki, komfortowy i praktyczny. A także... drogi.

W KABINIE

Przepastne wnętrze to jedna z głównych zalet Skody Superb. Miejsca jest bardzo dużo. Przednie fotele da się zaś rozłożyć tak mocno, że pasażer może spać niczym na fotelu w lotniczej biznes class. Ewentualnie podczas romantycznej randki można położyć oba fotele i przez szyberdach podziwiać nocą rozświetlone niebo. Sporo miejsca – choć już z gorszym widokiem na gwiazdy, bo przeszklona jest tylko przednia część dachu – mają też do dyspozycji osoby na tylnej kanapie.

Klasyczna deska rozdzielcza jest dobrze rozplanowana, a wskaźniki wyraźne i czytelne. Kabina w testowanej wersji Laurin & Klement jest wykończona materiałami wysokiej jakości. Trudno jednak mówić o jakimś niewyobrażalnym luksusie: w niektórych miejscach, choćby na drzwiach, mogą np. przeszkadzać twarde plastiki. Na pochwałę zasługują za to wygodne, wyprofilowane fotele – z opcją podgrzewania lub wentylowania – które dobrze trzymają ciało przy dynamicznym pokonywaniu zakrętów. Wrażenie robi przepastny bagażnik o pojemności 625 l. Fajnym gadżetem są też, znane z rolls-royce'ów, parasolki ukryte w drzwiach.

JAZDA

Czeska limuzyna z silnikiem 2.0 TSI (280 KM) na rozpędzenie się do pierwszej setki potrzebuje zaledwie 5,8 s. Maksymalnie można nią jechać 250 km/godz. Auto z napędem 4 x 4 dobrze trzyma się drogi, choć na zakrętach nieco się przechyla. Układ kierowniczy jest precyzyjny, ale mógłby przekazywać nieco więcej informacji o tym, co akurat dzieje się z kołami. Miłośników dynamicznej jazdy ucieszy jednak to, że automatyczna skrzynia biegów DSG sprawnie zmienia biegi, dobrze dostosowując się do wybranego przez kierowcę stylu jazdy.

Na pochwałę zasługuje również stosunkowo miękkie zawieszenie, które świetnie radzi sobie z tłumieniem dziur czy przeskakiwaniem nad „leżącymi policjantami". Podróż superbem jest więc naprawdę komfortowa, niezależnie od tego, czy jedziemy po autostradzie, dziurawej miejskiej drodze, czy musimy przejechać kawałek po leśnych duktach. A jeśli do komfortowego zawieszenia dołożymy niezłe wytłumienie kabiny, to sunąc po autostradzie, będziemy mogli odnieść wrażenie, że podróżujemy o wiele droższą niemiecką limuzyną.

W wersji Laurin & Klement można wybrać, jaki styl jazdy preferujemy, np. eko, komfortowy lub sportowy, i zmieniać parametry zawieszenia czy pracy silnika w zależności od nastroju i warunków na drodze. Podczas testu Skoda Superb spalała średnio w cyklu mieszanym ok. 9,5 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP Skoda Superb zdobyła komplet pięciu gwiazdek.

Kierowca może też liczyć na wsparcie różnych elektronicznych systemów, które monitorują, czy nie jedziemy zbyt blisko poprzedzającego pojazdu, ostrzegają przed samochodami w martwym polu lusterek, zapobiegają niezamierzonej zmianie pasa ruchu (auto w razie potrzeby może samo pokonać np. ostry zakręt na autostradzie, choć po takim manewrze komputer pokładowy ostro nas zruga za to, że nie trzymamy rąk na kierownicy).

CENA

Skoda Superb z ręczną skrzynią biegów i silnikiem 1.4 TSI (125 KM) kosztuje 90 tys. zł. Za auto w wersji Laurin & Klement z silnikiem 2.0 TSI (280 KM) i automatyczną skrzynią trzeba zapłacić 170 tys. zł.

KONKURENCI

Ford Mondeo, Kia Optima, Mazda 6, Opel Insignia, VW Passat ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c4240ca7a8

PAŁAC NA WODZIE

EMOTIONS & THERMAL SPA

Zainwestuj w Apartament w funkcjonującym hotelu

Zarabiaj już dziś

7% stopa zwrotu

10 lat umowa najmu

14 dni pobyt właścicielski

Baseny termalne

Thermal SPA

Restauracja

Prywatny staw

Pałac Na Wodzie Emotions & Thermal SPA

jedyny aparthotel w Polsce z własnym ujęciem wody termalnej, położony w samym sercu Karkonoszy

22 299 11 44 apartamenty@palacnawodzie.pl apartamenty.palacnawodzie.pl

wprost

Prezentowane informacje nie stanowią oferty w rozumieniu Art. 66 § 1 Kodeksu Cywilnego.
Stopa zwrotu liczona od wartości netto apartamentu, w przypadku korzystania z pobytu właścicielskiego wynosi 6%

eprasa.pl c4240ca7a8

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Pojedynek z „Wyborczą"

MARCIN MAKOWSKI: Znowu przyleciałeś do Warszawy, tym razem zamiast politycznego tournée chodzi o wyrównanie starych porachunków...

MATTHEW TYRMAND: Można tak powiedzieć. Kiedy ta rozmowa ukaże się w druku, będę już po pierwszej rozprawie z „Gazetą Wyborczą", którą zapowiadałem na naszej kolumnie prawie rok temu. Chodzi o zniesławienie, którego dopuścił się Tomasz Piątek, twierdząc, że jestem opłacany przez Donalda Trumpa i pracuję pośrednio w interesie Putina i Netanjahu, podważając szlachetne intencje fundacyjnych przybudówek George'a Sorosa w Polsce. Tego samego Sorosa, wspierającego fundusz MDIF, który wykupił część akcji Agory. Do Warszawy w roli świadka przyleciał również mój przyjaciel James O'Keefe z fundacji Project Veritas. Gwarantuję ci, że uczynimy z tej rozprawy sprawę głośną na świecie właśnie w kontekście wpływów Sorosa, który zza kurtyny steruje przeróżnymi mediami, lobbując swoją agendę polityczną, podważając demokratyczny wybór w krajach, w których się z jego rezultatem nie zgadza.

A może to tylko twoje pobożne życzenie i nikt się tym nie przejmie?

Jeśli ktoś może sobie tego życzyć, to na pewno „Wyborcza", która już czuje pismo nosem i zaproponowała pójście na ugodę. Nigdy się na to nie zgodzę. Wiem, że na rozprawie będzie sporo mediów, a za sprawą Jamesa, który po ostatnich wyborach stał się postacią rozpoznawaną w życiu społecznym USA, rozkręcimy historię o lewicowych mediach, które nie cofną się przed żadnym kłamstwem w walce z przeciwnikami politycznymi. I to za pieniądze jednego z największych spekulantów walutowych świata. „Wyborcza" nie musiała się do tej pory mierzyć z tego typu pozwem, Piątek nie ma żadnych kontrargumentów na podparcie swoich kłamstw i moim zdaniem przegra. Tyle lat na sucho uchodziło im zniesławianie ludzi, którzy nie mogli albo nie chcieli się bronić, aż trafili na twardego przeciwnika. Tak jak mówiłem od początku, nie spocznę dopóty, dopóki nie wykończę finansowo „Wyborczej", żądając przelania zadośćuczynienia na fundacje, z którymi walczą ideowo. Dla mnie to jak staroświecki pojedynek, z którego jedna strona wyjdzie na tarczy. Mam czas, środki finansowe i motywację, żeby stanąć do niego jak równy z równym.

W takim razie pozostaje trzymać kciuki. Tyle jeśli chodzi o serial „Tyrmand kontra reszta świata", a teraz wracamy do naszego regularnego przeglądu pt.: „Co nowego u Donalda Trumpa". Tym razem prezydent USA zniósł „jednostronną i szkodliwą" umowę handlową z Kubą podpisaną jeszcze przez Baracka Obamę.

Wypada się z tej decyzji jedynie cieszyć, ponieważ ugodowa postawa wobec kubańskiego reżimu stanowiła idealne podsumowanie poprzedniej administracji i Obamy, który został potraktowany przez Raula Castro jak petent, a nie głowa najpotężniejszego państwa świata. USA niczego nie ugrały, ocieplając relację z Kubą, nie doprowadziły do uwolnienia więźniów politycznych, nie posłużyły się umowami handlowymi do wymuszenia radykalnych zmian na komunistycznej wyspie. Senator Marco Rubio bardzo naciskał na Trumpa w sprawie zniesienia niekorzystnych ustępstw i dopiął swego. Teraz pora na reset, powrót do stołu i negocjacje z pozycji siły.

Myślisz, że to krok w kierunku zerwania dotychczasowych umów z Iranem? Możemy się spodziewać stopniowego odkręcania wszystkich najważniejszych geopolitycznych decyzji Obamy?

Ludzie wybrali Trumpa nie po to, aby utrzymał status quo. Sądzę, że Iran jest poważnie brany pod uwagę. Wielkim zwolennikiem renegocjacji stosunków dwustronnych był gen. Michael Flynn, a jedna z hipotez o jego odwołaniu głosi, że główny czynnik stanowiła w rzeczywistości jego ostra postawa wobec niekorzystnej dla Ameryki umowy z Iranem, który jeśli zechce, to i tak wznowi program nuklearny. Nie możemy na to pozwolić. ©℗

ROZMAWIAŁ **MARCIN MAKOWSKI**

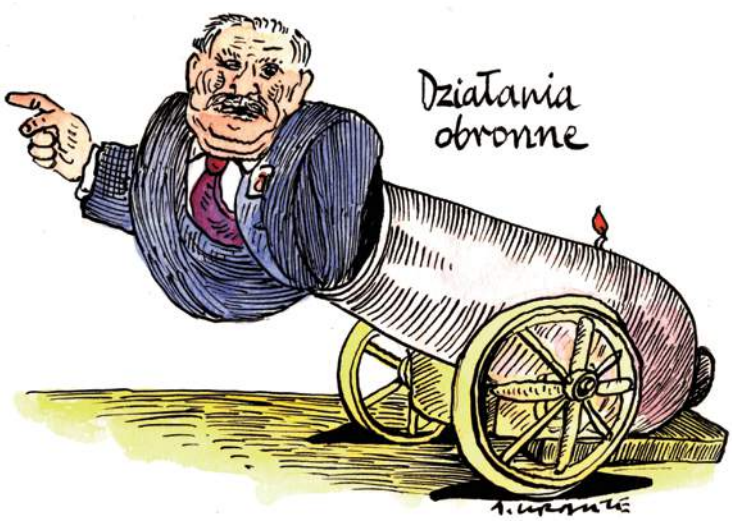

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl c4240ca7a8

II EDYCJA KONKURSU,

KTÓRY WYWOŁAŁ OGÓLNOPOLSKĄ, POWSZECHNĄ MODĘ
NA WSZYSTKO CO JEST W 100% POLSKIE!

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

100 % polski produkt

ZGŁOŚ PRODUKT NA
POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

PARTNERZY: ORLEN, Enea, PHN, ALIOR BANK, asseco, Paged COLLECTION, pesa Bydgoszcz SA, URSUS, CEDROB

PARTNER MERYTORYCZNY: pwc

ORGANIZATOR: PMPG POLSKIE MEDIA SA, DO RZECZY

eprasa.pl c4240ca7a8

OKIEM BLOGERKI

KATARYNA

Spieszmy się chwalić reformy...

... tak szybko są porzucane. Pomysł ministra zdrowia, aby dopuścić świadczenie przez szpitale komercyjnych usług, był całkiem sensowny. Był, ale już nie będzie, bo wystarczyło kilka histerycznych komentarzy, żeby wylądował w koszu, zanim na dobre rozpoczęła się dyskusja na jego temat. Szkoda, bo sensownie wdrożony mógłby bardzo ułatwić życie nie tylko tym pacjentom, których na komercyjne leczenie stać, lecz także tym, których nie stać.

Rząd – choć przecież sam przyjął projekt Radziwiłła – wystraszył się niedoinformowanych komentatorów i projekt wycofał

Publiczne szpitale mają dużo większe moce przerobowe, niż jest w stanie wykorzystać Narodowy Fundusz Zdrowia, który finansuje tylko część zabiegów, jakie szpitale mogłyby przeprowadzać. Efekt jest taki, że na planowe zabiegi czeka się często latami, w szpitalu, który ma sprzęt i personel, aby ich przeprowadzać więcej, ale po prostu nie może, bo NFZ mu za to nie zapłaci, a z kolei przepisy nie pozwalają brać pieniędzy od pacjentów. Od lat jest więc tak, że jeśli do kolejki trafi pacjent bogatszy, to może sobie czekanie skrócić, dając łapówkę za przesunięcie go na jej początek. Szpital nie ma z tego ani grosza, za opłaconą taką łapówką przyspieszoną operację i tak zapłaci NFZ, a pacjenci, których na łapówki nie stać, poczekają na swoją kolej dłużej, bo zawsze przed nich „wskoczy" ktoś bogatszy.

Tak było, tak jest i tak niestety będzie nadal, bo rząd – choć przecież sam przyjął projekt Radziwiłła – wystraszył się niedoinformowanych komentatorów i projekt wycofał. Z przytupem, wzywając ministra na dywanik do pani premier, choć ta projekt znała i się na niego zgodziła – w przeciwnym razie nie wyszedłby z rządu do konsultacji publicznych. Szkoda, że w tak ważnej sprawie zabrakło pani premier odwagi i nie powstrzymała się z decyzją do zakończenia już rozpoczętych konsultacji publicznych, które nie musiałyby wcale być dla propozycji Radziwiłła niekorzystne. Wystarczy się bez uprzedzeń wczytać w projekt, żeby zrozumieć, że bogatsi nie będą dzięki niemu wypychać biedniejszych z kolejki, przeciwnie – zwolnią swoje miejsce w kolejce po bezpłatny zabieg, a komercyjne zabiegi będą poza limitem NFZ. Biedny pacjent czekałby w kolejce krócej, bo nie byłoby już w niej tych, którzy łapówkami opłacą przyspieszenie zabiegu, szpital miałby dodatkowe pieniądze, których zawsze brakuje, a miliony, jakie polscy pacjenci zbierają w Internecie na ratujące życie operacje za granicą, których by w Polsce zwyczajnie nie dożyli, zostawią je w Polsce, wspierając rozwój polskiej służby zdrowia. Wszyscy byliby wygrani, ale wytłumaczenie tego opinii publicznej wymaga więcej wysiłku niż wyrzucenie do kosza całego projektu. Szkoda. ©℗

PODSŁUCHANE

O czytaniu

Marku, mówią mi, że sobie nie radzisz w komisji.
Kłamią, Jarku, kłamią podle! Poróżnić nas chcą.
No, nie wiem... Nie oglądałem ostatnio, ale takie mnie doszły słuchy.
A kto ci to mówił?
A czy to ważne? Zresztą w Internecie można zobaczyć. Tak słyszałem.
Gdybym wiedział kto, to bym mu... wytłumaczyłbym mu albo jej, jak naprawdę było. Rozumiesz, żeby nieporozumień w naszej kochanej partii uniknąć.
Rozumiem. No to jak było? Bo podobno pytałeś młodego Tuska o jakiś rachunek, a potem nie wiedziałeś, o co pytasz właściwie.
A, to... No, wiesz, drobiazg taki. Zresztą ja tam mam do przeczytania ogrom akt, mnóstwo stron, tysiące, dziesiątki tysięcy. To jest, rozumiesz, ogromne dla mnie obciążenie umysłowe. Dużo tego strasznie jest, czasem coś tam umknie.
Oczywiście. A co czytałeś ostatnio?
Chyba... Protokół z kontroli, w ósmym tomie...
Nie z Amber Gold. Co czytałeś tak prywatnie, ciekaw jestem.
A... No to... „Krzyżaków" chyba, już parę lat będzie.
Dobrze, dobrze, ważna książka. A twoja ulubiona w niej postać?
Kmicic oczywiście! Tak tych Krzyżaków od środka załatwić.
To chyba Wallenrod.
O właśnie, zapomniałem, jaki Kmicic miał pseudonim. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„W półtora roku PiS zamienił budzącą podziw demokrację w skrzyżowanie republiki bananowej i dyktatury. Czy zrobiliśmy dość, by to zatrzymać?".

TOMASZ LIS *na Twitterze*

eprasa.pl c4240ca7a8

fot. Jerzy Gumowski

Duplex

Łaciński termin *„homo duplex”* oznacza człowieka podwójnego, dubeltowego, rozdwojonego. Najczęściej przejawia się to u ludzi tym, że człowiek bardzo inteligentny jest równocześnie kompletnym idiotą. Exemplum Janusz Mikke, który dodał sobie przed nazwiskiem arystokratyczne *„Korwin”* (bezprawnie według heraldyków), co jest wszakże drobnostką przy głupotach historiograficznych i politologicznych ciągle przezeń wygadywanych. Podobnie jego wierny uczeń (myślę o neoendeckich zboczeniach) i były partyjny rzecznik/asystent, Rafał Ziemkiewicz. Kiedy dawno temu (pierwsza połowa lat 90–ych) przeszliśmy ze sobą na *„ty”*, nie miał jeszcze nobliwego A. między imieniem i nazwiskiem (dziś nazywa się Rafał A. Ziemkiewicz), i nie był jeszcze tak kontrpiłsudsko porąbany (przynajmniej nie demonstrował tego nazbyt często). Obaj bowiem panowie różnią się pod brodą (Mikke nosi muszki, zaś Rafał różowe krawaty — nie wiem co ta różowość ma symbolizować), natomiast nie różnią się w uporczywej zajadłości *„flekowania”* Komendanta, zniesławiają go ze wszech sił (vide ostatnia książka Ziemkiewicza — mający umniejszyć Piłsudskiego stek paszkwilanckich pomyj, typowych dla dawnej propagandy komunistycznej oraz endeckiej). Mój szkolny kolega, chirurg Wojciech Gajowniczek, lubił (po wypiciu) perswadować, że *„kobieta myśli spodem”*. Dokładnie tak samo jest z inteligencją Rafała. Wyborny komentator polityczny i pyszny szermierz antysalonowy (tu IQ brylantowe) — zmienia się w tokującego parabełkotliwie (*„myślącego spodem”*) bałwana ilekroć krzyżuje Marszałka endecko/bolszewicko, czyli hucpiarsko. *„Homo duplex”*.

Neoendecy ze stajni Mikkego i **„Najwyższego Czasu!”** tak już mają: przenikliwi i mądrzy w sprawach chociażby salonowych (politpoprawnościowych etc.) bądź ekonomicznych (podatkowych etc.) — w problematyce historiozoficznej permanentnie wygadują straszne bzdury, pastwiąc się nad dobroczyńcami ojczyzny, jak właśnie Piłsudski (wywojował nam mieczem niepodległość A.D. 1918), lub cesarz Napoleon (pobił naszych zaborców i przywrócił nam suwerenność A.D. 1807). Exemplum Marek J. Chodakiewicz, według którego *„Napoleon to krwawy rewolucjonista, a poza tym mason, wróg chrześcijaństwa”*. Przejaw ignorancji? Czy raczej typowo endeckie szkalowanie nielubianej figury łgarstwami? Trudno bowiem uwierzyć, że podający się za akademika Chodakiewicz nie wie, iż Napoleon zdławił Rewolucję Francuską, przywrócił we Francji skasowane przez nią chrześcijaństwo, a masoneria walczyła z cesarzem konsekwentnie i wreszcie go uwaliła, o czym nie brak scjentycznej literatury (Charles de Flahault, **„Les Francs–Maçons fossoyeurs du 1er Empire”/„Masoni, grabarze I Cesarstwa”**, i in.). Napoleon wiele razy sławił publicznie katolicyzm (*„Żadne społeczeństwo nie może funkcjonować bez moralności, a właściwa moralność bez religii nie istnieje. To religia daje państwom fundament, a społeczeństwom siłę chroniącą przed zepchnięciem w otchłań zła. Ze wszystkich religii katolicyzm jest tu najlepszym wyznaniem”*) i deklarował swą miłość do Jezusa Chrystusa (*„Boskość Chrystusa chłonę dzięki Eucharystii. Jego życie to wzór, Jego nauka to cud, z Nim wszystko zyskuje porządek, a cała reszta — nauka, filozofia, ziemska władza — to przy Nim rzeczy drugorzędne. Do Niego należą przeszłość, przyszłość, tudzież nieskończoność. Jest naszym Ojcem, naszym Bogiem i naszym Przyjacielem”*). Tak mówi *„wróg chrześcijaństwa”*, panie Chodakiewicz? Proszę sięgnąć do literatury; ja, z braku miejsca, podsunę panu tylko jeden cytat: *„Napoleon wyznaczył chrześcijańską drogę, którą kroczyć musi cywilizacja, jeżeli nie ma być pokonana przez absolutne zło”* (Ignacy Grabowski, 1924).

∞ „Obluzowany styk” ∞

Tego zdają się nie wiedzieć choćby kilkufakultetowi mądrale francuscy, którzy gorliwie utwardzają francuską laickość, czyniąc swój kraj bezbronną ofiarą agresywnego islamu (przypomina się celna diagnoza bohaterki **„Niebezpiecznych związków”** Choderlosa de Laclos, markizy de Merteuil, która rzekła o swym dobrym znajomym, francuskim mędrku: *„ — Jak większość intelektualistów jest głupi”*). Każdy taki mentalny *„homo duplex”* traci wiarygodność w oczach człowieka myślącego rozsądnie. To prosty mechanizm: Tusk perorujący o prawidłach etyki w polityce byłby równie wiarygodny co wytatuowana Małgorzata Rozenek, która z ekranu telewizora naucza kobiety jak być damą. I tak samo bywa z rozmaitymi perorującymi *„ex cathedra”* farmazonami: ekspertami, autorytetami, misjonarzami, dygnitarzami, akademikami, itp. Patrząc na niektórych tego rodzaju gwiazdorów (zdarza się, że o nimbie wręcz patriarchalnym lub arcykapłańskim, exemplum Geremek, Bartoszewski, Rzepliński) człowiek zaczyna rozumieć tych apostatów (neoateistów), którzy rzucili wiarę, bo kazano im wierzyć w nieśmiertelność duszy rojących się wokół kretynów i alfonsów. Zresztą nie tylko intelektualni hochsztaplerzy, lecz też prawdziwi geniusze zasługiwali na miano *„homo duplex”* w znaczeniu: mędrzec i zarazem idiota — czyż Picasso, Shaw, Brecht, Russell, Zweig, Le Corbusier, Sinclair, Kazan, Gide, Rolland, Laxness (*„e tutti quanti”*) nie byli wielbicielami Stalina i stalinizmu? Być wielbicielem Dmowskiego to grzech o wiele lżejszy — *„culpa levis”*, nie zaś *„maxima culpa”*.

Może nie dla wszystkich, jednak dla ludzi w miarę światłych wzmiankowane wyżej nazwiska to tzw. *„wielcy ludzie”*. O *„wielkich ludziach”* mam ugruntowany od dawna sceptyczny sąd, spod którego uchyla się, rzecz jasna, grono *„wyjątków potwierdzających regułę”*, czyli person historycznych naprawdę wielkich. Jeden z głównych bohaterów mojej powieści **„Statek”** mówi: *„ — Wielkie nazwiska uprawdopodobniają największe idiotyzmy, gdyż tłum ma naiwną wiarę, że wielcy ludzie bredzić nie mogą”*. Mogą, i robią to bardzo często, exemplum *„wielki człowiek”* Salonu Adam Michnik, którego bogactwo umysłowe filozof Ryszard Legutko nazwał *„intelektualną niemocą Michnika”*, lub *„wielki człowiek”* Salonu międzynarodowego, Umberto Eco, którego znakomity teoretyk literatury Wincenty Grajewski obnażył bezlitośnie (Zbigniew Mentzel: *„Grajewski dowiódł, że król jest nagi, pokazując co Eco miał do powiedzenia o noweli Nervala. Kuriozalnych błędów było tam tyle, że sprawiały wrażenie uprawianej z premedytacją parodii nauki i komunikacji naukowej”*, 2006). Tę *„homoduplexowość”* renomowanych/fałszywych autorytetów, a zarazem ich toksyczność, celnie ujął były premier Belgii Paul–Henri Spaak: *„Głupota mędrków jest dziwacznym chorobskiem: sam chory nigdy nie cierpi z jej powodu, lecz cierpią ludzie wokół niego”*. Na koniec wróćmy jeszcze do złej książki o Komendancie:

Ćwierć wieku temu (1992) Rafał Ziemkiewicz felietonem **„Odlot rozumu”** tak piętnował zapaść umysłową, która się przydarza intelektualistom: *„To po prostu coś w mózgu. Jakiś obluzowany styk”*. U autora tych celnych słów ten styk zaczyna się luzować ilekroć Rafał przystępuje do plecenia endeckich głupot o Józefie Piłsudskim. Rzecz prosta — to plecenie jest parascjentycznie logiczne, ale w manierze Bertranda Russella, którą Paul Johnson (autor **„Intelektualistów”**) roznegliżował esejem **„Russell — przykład logicznych bzdur”**. Co sprawia, iż rzeczonej książki Ziemkiewicza nie można zaliczyć gatunkowo do historiografii (nawet popularyzatorskiej), tylko do pamflecistyki sofistycznej (słownikowo *„sofizmat”* to *„rozumowanie niby poprawne, w którym popełniono błędy logiczne nadające pozory prawdziwości fałszywemu twierdzeniu”*). Drogi Rafale, przestań wreszcie obsikiwać pomniki jednego z największych Polaków! ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl c4240ca7a8

DOŁĄCZ DO WYGODNYCH MOBILNYCH

Otwórz **PKO Konto za Zero** z aplikacją mobilną IKO sprawdzoną przez ponad milion użytkowników.

- **0 zł za prowadzenie konta** przy posiadaniu karty wydanej do konta*
- **0 zł za wypłaty z ponad 3 000 bankomatów** PKO Banku Polskiego
- szybki dostęp do konta przez aplikację IKO na telefonie
- wygodne przelewy i płatności telefonem

Bank Polski
dzień dobry

The Banker
Bank of the Year 2016
POLAND

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju; w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora
+48 81 535 60 60 opłata zgodna z taryfą operatora

*W przypadku otwarcia PKO Konta za Zero bez karty debetowej opłata wynosi 6,90 zł/mies. 0 zł za kartę wydaną do konta przy dokonaniu płatności kartą na min. 300 zł rozliczonych w okresie, za który pobierana jest miesięczna opłata za kartę, w przeciwnym razie 6,90 zł/mies.

Więcej na temat konta, w tym taryfa prowizji i opłat bankowych na www.pkobp.pl i w placówkach Banku. Informacje na temat aplikacji IKO są dostępne na iko.pkobp.pl oraz w placówkach Banku.

eprasa.pl c4240ca7a8